

Pierwszy  
raz

DC  
DI CARO



Pamantha  
James

48387

Damantha  
James  
Pierwszy  
raz

Przełożyła  
Elżbieta Zawadowska-Kittel

DC

Wydawnictwo Da Capo  
Warszawa 1996

Tytuł oryginału  
*JUST ONE KISS*

Copyright © 1996 by Sandra Kleinschmit

Redaktor  
Anna Zagreduńska

Ilustracja na okładce  
Robert Pawlicki

Projekt okładki,  
skład i łamanie  
FELBERG

For the Polish translation  
Copyright © 1996 by Wydawnictwo Da Capo

For the Polish edition  
Copyright © 1996 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie I

ISBN 83-7157-045-7

Printed in Germany  
by ELSNERDRUCK-BERLIN

## *Prolog*

*Boston, 1830*

*TL* ciężkim sercem wdychała intensywny zapach morza. Wiedziała, że już nie może się dłużej oszukiwać.

Umierała.

W pokoju byli jej dwaj ukochani synowie. Przeszył ją ostry ból, nie tak jednak ogromny jak rozpacz, która gościła w jej sercu. Wstrząsnął nią kolejny paroksyzm strachu - jakże mogła im powiedzieć, że już wkrótce utracą ją na zawsze? Wszakże ich ojciec nie dbał ani o ich brudne ręce, ani o poszarpane ubrania.

Cierpiała w milczeniu. Patrick O'Connor nie troszczył się o rodzinę, czas spędzał w barze na dole pijąc do upadłego w towarzystwo swych klientów. Na samą myśl o takiej niesprawiedliwości zbierało się jej na płacz. Co stanie się z chłopcami, gdy ona odejdzie już z tego świata? Ojciec ledwo ich zauważał.

Ogarnęło ją drżenie. Co za okrutny los sprawił, że ona pożegna się z życiem, a jej dzieci - z matką? Krzyk rozpaczony i gniewu uwiązał w jej krtani, wydobyła z siebie tylko charczący szept. Poczowała, jak czyjeś maleńkie paluszki obejmują jej wychudzoną dłoń. Loretta O'Connor uścisnęła słabo dziecięcą rączkę i już jej nie puściła. Nie mogła znieść myśli o nieuchronnym rozstaniu.

Patrick O'Connor wkroczył nagle do pokoju i stanął obok łóżka, ale w jego spojrzeniu nie było śladu ciepła. Prychnął tylko pogardliwie, obrócił się na pięcie i zdjął koszulę z wieszaka. Nie

zaszczylił umierającej małżonki ani słowem, na dzieci nie spojrział. Tak, jak zwykle - pomyślała Loretta z rozpaczą. I nic się już nie zmieni.

Jej serce rozdierał płacz. Nie zwracała uwagi na podniesione głosy i rubaszny śmiech mężczyzn, jaki dobiegał z dołu. Patrzyła tkliwie tylko na swoich synów - Morgana i Nathaniela. Na jej spierzchnięte wargi wypłynął cień uśmiechu. Nikt by się nie domyślił, że ci chłopcy są braćmi. A jednak nimi byli.

Nathaniel, malec o włosach jak len i buzi aniołka, przyszedł na świat zaledwie przed czterema laty. Morgan, jego starszy brat, brunet o smagłej cerze - zawsze poważny i zamyślony - już w dziesiątej wiosnie swego życia odznaczał się spostrzegawczością i sprytem. Loretta nie mogła się nadziwić, że jej dzieci tak bardzo się od siebie różnią.

Poczuła bolesny ucisk w sercu.

Dobry Boże - myślała w niemej udręce - kto poprowadzi ich przez życie, kto im wskaże właściwą drogę? Dziękowała w duchu Stwórcy, że jej trzecie maleństwo umarło, bo jakże okrutny los czeka tych dwoje, gdy jej już nie będzie. Chwała Panu za to, że obdarzył Morgana rozumem i siłą. Obawiała się jednak poważnie o Nathaniela. Żywy i pogodny, wykazywał czasem upór i nieodpowiedzialność swego ojca (niech diabli wezmą łajdaka!), co mogło przysporzyć mu kiedyś ogromnych kłopotów.

Usłyszawszy szelest w nogach łóżka, Loretta przycisnęła chusteczkę do piersi i zobaczyła, że Nathaniel zerka na nią niepewnie. Ucichł - ach, jakże to do niego nie pasowało - a jego spokój zdawał się sięgać niebios. Choć był jeszcze taki maleńki, wyczuwał nieomylnie, że dzieje się coś złego. Spróbowała się uśmiechnąć, lecz nie mogła.

Zbliżał się koniec.

Ledwo oddychała. Zapragnęła nagle tyle powiedzieć, ale nie było już czasu.

Przeniosła wzrok na Morgana. Gdyby starczyło jej sił, wykrzyczałaby cały ból, jaki ścisnął jej serce. Chłopiec miał czerwone obwódki wokół pięknych szarych oczu, w których kręciły się łzy, jednak nie płakał. Nigdy zresztą nie płakał, choćby spotkała go największa krzywda.

Drżąc na całym ciele Loretta uściśnęła dłoń syna, a ten

wysiłek wyssał z niej resztki życia. Rozchyliła usta i przywołała go wzrokiem.

Morgan pochylił się nad łóżkiem.

Popatrzyła z miłością na jego wychudzoną bladą twarz.

- Mój dzielny chłopcze - szepnęła - jakże ja będę za tobą tęsknić... Jakże bardzo bym chciała zostać przy tobie.

Łzy napłynęły mu do oczu, lecz nie zapłakał.

- Kochanie, musisz teraz opiekować się młodszym braciszkiem. - Wiem, że wiele od ciebie wymagam, ale na pewno podołasz.

Chłopiec, oszalały z przerażenia, potrząsnął przecząco głową.

- Nie, mam, ja...

- Podołasz... - zapłakała cicho Loretta. - Jesteś starszy. Nathaniel to jeszcze mały chłopiec. Brak mu twej siły i odwagi.

Morgan znowu zaprzeczył.

- Ależ tak, kochanie. Jestem z ciebie bardzo dumna. - Chcąc podtrzymać syna na duchu, Loretta przycisnęła jego rękę do swej wychudzonej piersi. - Proszę cię, Morganie... Musisz zrobić dla niego to wszystko, czego nie mogę oczekiwać od twego ojca. Nie chcę, by twój maleńki braciszek stał się do niego podobny. Nathaniel potrzebuje kogoś takiego, jak ty. Prowadź go. Chroni go - dyszała ściskając dłoń chłopca, a na jej twarzy malowała się udręka. - Błagam cię. Nie zawieź mnie. Obiecuj, że się nim zaopiekujesz, bo w przeciwnym wypadku nigdy nie zaznam spokoju.

Morgan przełknął ślinę.

- Przyrzekam - powiedział, usiłując powstrzymać drżenie głosu. - Zrobię to. Dla ciebie, mam.

- Nie, synku. Nie dla mnie. Dla Nathaniela - mówiła coraz ciszej. - Moje ty kochanie... Bądź dzielny. Musisz być silny i odważny - za was obu... Wierz w siebie i w Pana Boga Najwyższego. A On niech błogosławi was obu, najdrożsi.

Uciekły z niej resztki sił. Przymknęła oczy, palce obejmujące dłoń Morgana osłabły i zwiotczały. Chłopiec przywarł do jej ręki, jakby chciał na zawsze zatrzymać życie, które się właśnie skończyło.

Walczył ze łzami, ale coś paliło go w gardle i wzbierał w nim gniew tak silny, że niemal rozsadał mu pierś.

Chciał krzyczeć i wrzeszczeć, by znaleźć jakieś ujście dla

tego gniewu i smutku, a przede wszystkim - strachu. Zamiast krzyczeć, stał jednak sztywno przy łóżku, wyprostowany jak żołnierz na warcie.

Nathaniel podszedł do brata i spojrzał z lękiem na matkę.

- Czy mama śpi? - spytał cichutko.

Morgan milczał. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Czuł, że już nigdy nie będzie tak bardzo cierpiał.

Usłyszał echo ostatnich słów matki. Bądź dzielny. Musisz być silny i odważny.

Przełknął ślinę.

Ale jak mam to zrobić? - myślał. - Jak?

- Nie - odparł w końcu ochrypłym szeptem. - Mama umarła. Umarła. - Zamilkł na chwilę; w pokoju zaległa przerażająca cisza. - Tak jak te kotki, które utopił ojciec.

Młodszy chłopczyk zaczął szlochać.

- Co my teraz zrobimy? - łkał. - Nikt już nas nie będzie kochał. Nikt się o nas nie zatroszczy. Tata...

Morgan niezręcznie, z wahaniem, poklepał malca po ramieniu.

- Nie martw się - powiedział. - Masz jeszcze mnie. A ja nigdy cię nie opuszczę.

Jak powiedział, tak się też miało stać.

Mijały miesiące. Maleńki Nathaniel nie cierpiał zbyt długo po stracie matki i wkrótce o niej zapomniał.

Morgan jednak wciąż pamiętał o tej, która dała mu życie.

Dochował również swej obietnicy.

Ojciec chłopców nie zmienił się. Był tak samo małoduszny i nikczemny, jak przedtem. Wciąż ponury niby chmura gradowa, coraz częściej zaglądał do kieliszka. Morgan, skończywszy dwanaście lat, nie miał już czasu dla siebie - przebywał głównie w barze i kuchni. Nathaniel często pozostawał bez opieki i nic dziwnego, że wyrósł na małego, przebiegłego nicponia, który często dopuszczał się różnych wybryków.

Właśnie wybiła północ, gdy Patrick O'Connor wrócił do domu owej nocy. Pchnął mocno drzwi i wtoczył się do pokoju jak pijak, którym w istocie był. W mięsistej dłoni dzierżył ogryzek świeczki. Chłopcy zadrżeli na twardych siennikach umieszczonych w głębi pokoju. Wstrzymali oddech i zamarli w bezruchu, by się nie zdradzić, że nie śpią.

Ale i tak nic im to nie pomogło. Patrick O'Connor zachwiał się, zrobił kilka niepewnych kroków w stronę stołu, powiódł przekrwionymi oczami po blacie, po czym przymrużył nagle powieki. Wrzasnął wściekle, zerwał brutalnie synów z posłania i wrócił na miejsce.

- Rano leżało tu jeszcze sześć złotych monet, a teraz widzę tylko pięć!

Nathaniel spojrzał na ojca swymi ogromnymi, niebieskimi oczami i zwilżył językiem wargi.

- Może spadły na podłogę? - spytał nieśmiało.

Patrick O'Connor pochylił swe zwaliste cielsko nad podłogą, przeszukując wzrokiem wyszczerbione deski.

- Chyba nie - warknął, prostując się z trudnością.

- W takim razie pewnie się mylisz.

- Wcale się nie mylę! - ryknął, a na jego twarzy pojawił się wyraz wściekłości. - Nie po raz pierwszy brakuje pieniędzy! Ale obiecuję wam, że ostatni. Odpowiadajcie natychmiast: który z was zabrał monetę?

Milczeli, ale Morgan nie uląkł się ojca. Przeciwnie, wysunął podbródek i patrzył mu w oczy z podziwu godnym spokojem.

- Odpowiadajcie, nicponie! - wrzasnął O'Connor. - Który z was ukradł monetę?!

Podłoga zaskrzypiała, choć pijany łajdak zrobił tylko jeden krok naprzód. Nathaniel stał tuż obok brata i ciężko oddychał. Morgan przypominał sobie wyraźnie, że tego popołudnia widział w jego brudnej rączce kilka cukierków. W oczach Nathaniela błysnęła strach. Malec zadrżał i przypadł do ziemi.

Morgan uniósł dumnie podbródek, modląc się w duchu, by ojciec nie zauważył, że trzęsą mu się kolana

- Ja ją wziąłem.

- Niech cię diabli! - krzyknął Patrick. - Jak śmiałeś?

Morgan wyprostował plecy.

- Haruję tak samo jak twoi kelnerzy, a nie zarabiam ani...

- Bo karmię twój kałdun i daję ci ubranie na grzbiet, ty niewdzięczny łajdaku! Sam Pan Bóg widzi, że w zamian nie dostaję prawie nic, a ty mimo wszystko śmiesz mnie okradać. Nikomu na to nie pozwolę... nikomu. A teraz - podejdź no bliżej!

Morgan nie ruszył się z miejsca na tyle szybko, by zadowolić

ojca. Patrick chwycił go brutalnie za chude ramię i przyciągnął do siebie, zdzierając mu koszulę z pleców z taką łatwością, jakby została uszyta z najdelikatniejszej tkaniny. Z grymasem okrucieństwa na ustach zaplątał postrzępione resztki odzienia wokół nadgarstków syna, związał mu ręce na plecach i popchnął tak mocno, że chłopiec upadł na podłogę.

Usłyszawszy, że ojciec zdejmuje laskę z wieszaka, Morgan zeszywniał.

Ten dźwięk był mu aż nadto dobrze znany.

Pierwszy cios przeszył go jak ogień. Przymknął oczy. Jestem starszy - mówił do siebie, jak niegdyś mówiła do niego matka. Muszę być silny i odważny.

Obiecał przecież, że będzie chronił brata.

Przygotował się na kolejny cios.

Świat łaski jeszcze wielokrotnie wdzierał się w panującą w pokoju ciszę, lecz chłopiec nie wydał z siebie żadnego dźwięku - nie zajęczał i nie zapłakał. Potrafił znieść wszystko, bo cierpiał, aby oszczędzić brata.

I tak już miało pozostać.

## Rozdział pierwszy

*Beacon HM, 1854*

Było za późno, by wrócić.

Jakie to dziwne, że pomyślała o tym dopiero wówczas, kiedy zabrnęła już tak daleko.

W istocie, przemierzyła cały ocean...

Lady Elisabeth Stanton rzuciła ostatnie, niemal proszące spojrzenie na powóz, z którego właśnie wysiadła. Ale on zniknął już za rogiem, wzbijając za sobą tumany kurzu i unosząc ku górze kłęby zeschniętych liści.

Przyciskając do piersi torebkę zebrała się na odwagę i popatrzyła za siebie.

Jednym rzutem oka objęła roztaczający się przed nią widok. Nie mogła się powstrzymać od podziwu. Nic dziwnego, że Nathaniel opisywał jej swoją siedzibę z taką dumą. Wstrzymała oddech, bo dom był rzeczywiście wspaniały - miał w sobie wiktoriański majestat, a elegancją dorównywał najpiękniejszym rezydencjom londyńskim.

Mimo ogrodzenia z kutego żelaza, surowego zarysu gałęzi drzew i zamarznętej ścieżki posiadłość nie wyglądała groźnie ani posepnie. Elisabeth potrafiła sobie świetnie wyobrazić, jak tu będzie na wiosnę, kiedy zakwitną kwiaty i kiedy zielone drzewa wystrzelą prosto w chmury.

Budynek sam w sobie był ogromny. Dojrawszy fragment delikatnej, białej koronkowej firanki przysłaniającej okno z witrażem, dziewczyna poczuła ochotę, by zacisnąć palce na żela-

ojca. Patrick chwycił go brutalnie za chude ramię i przyciągnął do siebie, zdzierając mu koszulę z pleców z taką łatwością, jakby została uszyta z najdelikatniejszej tkaniny. Z grymasem okrucieństwa na ustach zaplątał postrzępione resztki odzienia wokół nadgarstków syna, związał mu ręce na plecach i popchnął tak mocno, że chłopiec upadł na podłogę.

Usłyszawszy, że ojciec zdejmuje laskę z wieszaka, Morgan zeszczywniał.

Ten dźwięk był mu aż nadto dobrze znany.

Pierwszy cios przeszył go jak ogień. Przymknął oczy. Jestem starszy - mówił do siebie, jak niegdyś mówiła do niego matka. Muszę być silny i odważny.

Obiecał przecież, że będzie chronił brata.

Przygotował się na kolejny cios.

Świat laska jeszcze wielokrotnie wdzierał się w panującą w pokoju ciszę, lecz chłopiec nie wydał z siebie żadnego dźwięku - nie zajęczał i nie zapłakał. Potrafił znieść wszystko, bo cierpiał, aby oszczędzić brata.

I tak już miało pozostać.

## Rozdział pierwszy

*Beacon HM, 1854*

Było za późno, by wrócić.

Jakie to dziwne, że pomyślała o tym dopiero wówczas, kiedy zabrnęła już tak daleko.

W istocie, przemierzyła cały ocean...

Lady Elisabeth Stanton rzuciła ostatnie, niemal proszące spojrzenie na powóz, z którego właśnie wysiadła. Ale on zniknął już za rogiem, wzbijając za sobą tumany kurzu i unosząc ku górze kłęby zeschniętych liści.

Przyciskając do piersi torebkę zebrała się na odwagę i popatrzyła za siebie.

Jednym rzutem oka objęła roztaczający się przed nią widok. Nie mogła się powstrzymać od podziwu. Nic dziwnego, że Nathaniel opisywał jej swoją siedzibę z taką dumą. Wstrzymała oddech, bo dom był rzeczywiście wspaniały - miał w sobie wiktoriański majestat, a elegancją dorównywał najpiękniejszym rezydencjom londyńskim.

Mimo ogrodzenia z kutego żelaza, surowego zarysu gałęzi drzew i zamrożonej ścieżki posiadłość nie wyglądała groźnie ani posepnie. Elisabeth potrafiła sobie świetnie wyobrazić, jak tu będzie na wiosnę, kiedy zakwitną kwiaty i kiedy zielone drzewa wystrzelą prosto w chmury.

Budynek sam w sobie był ogromny. Dojrawszy fragment delikatnej, białej koronkowej firanki przysłaniającej okno z witrażem, dziewczyna poczuła ochotę, by zacisnąć palce na żela-

Ojciec chorował bowiem prawie miesiąc, a od sześciu tygodni spoczywał w grobie.

Elisabeth zacisnęła delikatne wargi, ale jeszcze jeden obraz z przeszłości nie dawał jej spokoju; tkwił w sercu boleśnie, jak drzazga.

Jako małe dziecko straciła matkę, która umarła na zapalenie płuc i przez wiele lat mieszkała tylko z ojcem. Później jednak, kiedy dorosła, pojęła wiele rzeczy, o których hrabia nigdy nie wspominał. Zrozumiała wówczas jego samotność i tęsknotę za kobiecym towarzystwem. Dlatego też nie była wcale zdziwiona, gdy ojciec poślubił Clarissę Kenton, wdowę po baronie z sąsiedniego hrabstwa.

Niestety, Elisabeth i Clarissa pozostały sobie obce, choć hrabia sobie tego nie uświadamiał. A dziewczyna, mimo że nigdy nie odznaczała się złośliwością, uważała macochę za osobę zimną i praktyczną; nie lubiła też jej protekcyjnego sposobu bycia.

Te cechy charakteru Clarissy dały o sobie znać zwłaszcza w ów pamiętny dzień, gdy odczytywano ostatnią wolę hrabiego.

Elisabeth wciąż jeszcze była odrętwiała z rozpaczy. I choć rozstanie z Nathanielem sprawiało jej ogromny ból - tak bardzo, niemal bezwstydnie się do niego przywiązała - wiedziała, że wkrótce los znów ich połączy. Ale ojca straciła bezpowrotnie i już nigdy nie miała zaznać jego bliskości, usłyszeć najdroższego, ciepłego głosu i śmiechu. Nie mogła przestać o tym myśleć, gdy patrzyła, jak trumna znika pod ziemią.

W posępnym nastroju słuchała adwokata ojca, Jamesa Rowlanda, który odczytywał testament. Myślami błądziła zupełnie gdzie indziej.

- Elisabeth! - Clarissa przywołała ją ostro do porządku. - Słuchasz? Sądzę, że ten fragment dotyczy ciebie.

Pan Rowland zerknął na nie zza okularów. Gdyby Elisabeth czuła się zupełnie normalnie, prawdopodobnie dostrzegłaby zakłopotanie w jego głosie.

- Czy mam kontynuować? - spytał prawnik.

- Ależ oczywiście! - odpowiedziała szorstko Clarissa.

Pan Rowland odchrząknął i zaczął znów czytać:

„Wiele mych najlepszych wspomnień łączy się z moją córką, Elisabeth, i z chwilami, jakie spędziłem z nią w Hayden Coun-

ty, mojej wiejskiej posiadłości w hrabstwie Kent. Dlatego też wyrażam wolę, by moja córka otrzymała ją w posagu, gdy wyjdzie za mąż, w nadziei, iż ona i jej mąż uczynią z niej swą letnią rezydencję.”

Elisabeth nie była zaskoczona. Spodziewała się, że ojciec pozostawi większość majątku Clarissie; tak też postąpił. Ale Hayden Park stanowił dla niej zawsze miejsce szczególne. Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, gdyż ona również wiązała z nim piękne wspomnienia.

- „W ostatnich chwilach mego życia” - czytał dalej Rowland - „żałuję jedynie tego, że nie poprowadziłem jej do ołtarza. Dlatego też pragnę, by wyszła za mąż i znalazła się pod właściwą opieką. Wiem, że moja najdroższa żona Clarissa dopilnuje, by moje ostatnie życzenie zostało spełnione i dlatego powierzam jej zadanie znalezienia męża dla Elisabeth.”

Dziewczyna zamarła z przerażenia.

- Proszę o wyjaśnienie - powiedziała cicho. - Cóż to właściwie oznacza?

Rumiane policzki pana Rowlanda przybrały jeszcze bardziej szkarłatną barwę.

- Skutek prawny tego zapisu - wyjaśnił - jest taki, że Hayden Park stanie się pani własnością dopiero po ślubie...

- Czy wybór męża dla mnie należy do mojej macochy? - przerwała Elisabeth.

- Ależ oczywiście - odparła Clarissa z triumfem, nie dopuszczając Rowlanda do słowa, po czym uśmiechnęła się tak, że dziewczyna poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. - Nie masz jednak powodu do zmartwienia. Już się wszystkim zajęłam. Lord Harry Carlton chętnie się z tobą ożeni. Wydawał się nawet zadowolony, gdy przedstawiłam mu tę propozycję.

Elisabeth zaniemówiła. Zanim skończyła dwadzieścia jeden lat, wielu mężczyzn prosiło ją o rękę. Ojciec gniewał się czasem, że nie dokonała jeszcze wyboru, lecz nie nalegał.

Znała oczywiście lorda Carltona - najstarszego syna markiza Salisbury. I choć Harry był niewątpliwie szerszy niż dłuższy, nie to przeszkadzało jej w nim najbardziej. Ten człowiek prowadził rozwiązy tryb życia, co widać było w każdym jego spojrzeniu, w sposobie, w jaki taksował wzrokiem wszystkie napotykane kobiety.



Czuła, że jest chora. Miała zdruzgotane serce. Nie mogła wydobyć głosu i wyrazić całego swego strachu, choćby po to tylko, by stał się bardziej realny.

Bezwiednie przywołała w myślach imię Stwórcy. Dobry Boże - powtarzała bezgłośnie, to przecież nie może być prawda. Spraw, by to wszystko okazało się złym snem.

Zacisnęła leżące na kolanach dłonie.

- Muszę się upewnić, czy dobrze cię zrozumiałam. Chcesz, abym poślubiła lorda Harry'ego?

- Oczywiście. - Clarissa uśmiechnęła się łagodnie, ale nadal patrzyła na nią twardo. - Przecież to doskonała partia, nie sądzisz?

Elisabeth nabrała powietrza w płuca. Krew zawrzała jej w żyłach. Na Boga! Nie mogła przecież oddać się mężczyźnie, którego nie kocha, mężczyźnie wybranemu jej przez macochę.

Nie okazała jednak gniewu. Poczęła tylko ostrożnie dobierać słowa.

- Czyż taka jest w istocie twoja wola? Czyżbyś zamierzała zmusić mnie do ślubu z człowiekiem, którego nie chcę?

Clarissa przestała się uśmiechać.

- Już dawno powinnaś była wyjść za mąż. A nie znajdziesz nikogo lepszego niż lord Harry. - Skrzyżowała ręce na bujnych piersiach i łypała spod oka na pasierbicę.

Dopiero wtedy Elisabeth dostrzegła w jej oczach nagą prawdę, coś, czego zawsze się domyślała... Antypatię, której Clarissa nie potrafiła już ukryć. Macocha nienawidziła jej. Udawała jedynie troskę, a tak naprawdę po śmierci hrabiego pragnęła tylko tego, by jak najszybciej się jej pozbyć.

Elisabeth wyprostowała plecy i uniosła delikatny podbródek. Postanowiła spełnić marzenia Clarissy.

Pozwoliła sobie na lekki uśmiech, dodając w ten sposób wdzięku swym pełnym wargom.

- Masz rację - stwierdziła chłodno. - Wyjdę za mąż, ale sama wybiorę sobie mężczyznę, z którym przyjdzie mi spędzić całe życie. I na pewno nie będzie to lord Harry.

Clarissa parsknęła, czego dama czynić nigdy nie powinna.

- W takim razie kto? Jeśli jeszcze poczekaś, równie dobrze możesz się skazać na staropanieństwo.

- Nathaniel O'Connor poprosił mnie o rękę przed wyjazdem

do Bostonu - powiedziała spokojnie Elisabeth - a ja przyjąłam jego oświadczenia.

- Nathaniel O'Connor? Ten zuchwały, młody Amerykanin bez klasy, który zupełnie nie ma pojęcia o dobrych manierach?

Clarissa nawet nie starała się ukryć swej pogardy. Elisabeth z trudem powstrzymała się od ostrej repliki i zachowała komentarz dla siebie.

- Nie zgadzam się z twoją oceną, ale tak czy inaczej mówimy o tej samej osobie.

- Jeśli ów młody człowiek zamierzał cię poślubić, dlaczego wrócił do Bostonu? - spytała Clarissa triumfalnie. - I czemu nie wspominałaś o nim ani mnie, ani ojcu?

- Nathaniel musi pilnować interesów - zaczęła niepewnie Elisabeth, modląc się, by nie wzbudzić podejrzeń macochy i żałując jednocześnie, że Nathaniel nie udzielił jej bliższych wyjaśnień. - Nie pojechałam z nim, bo papa zachorował. Również z powodu jego choroby nie mogłam z wami rozmawiać na ten temat

- Ha! Dobrze wiedziałaś, że ojciec nie zaaprobuje twego wyboru.

Elisabeth zwalczyła w sobie lekkie poczucie winy. Udało się jej wytrzymać oskarżycielskie spojrzenie macochy. A nawet jeśli Clarissa miała rację, cóż z tego? Nigdy nie da satysfakcji tej czarownicy!

- Papa był chory - powtórzyła. - Chciałam po prostu, by zajął się rekonwalescencją, a potem dopiero żeby zobaczył na własne oczy mój ślub z Nathanielem.

- Ojciec nigdy by ci nie pozwolił poślubić Jankesa... w dodatku z irlandzkim rodowodem! Ten chłopak jest nikim! To byłby prawdziwy mezalians!

Elisabeth pokręciła głową Mezalians... Nic ją to nie obchodziło. Ale była przy tym świadoma faktu, że Clarissa nie rozumie ognia młodości, ognia, który obejmował ją za każdym razem, gdy pojawiał się obok niej Nathaniel.

Nie - myślała. Nie. Nie zamierzała wychodzić za mąż za lorda Harry'ego po to, by sprawić przyjemność Clarissie lub komukolwiek innemu. Gdyby w ten sposób postąpiła, skazałaby się na nudną egzystencję, na życie, jakiego nie mogłaby znieść.

Nie zamierzała również się łudzić. Jeśli zdecydowałaby się pozostać, Clarissa uczyniłaby wszystko, by wymusić na niej swą wolę. W istocie wyczuwała, że Clarissa nie ustąpi ani na jotę i to ją przerażało.

Podniosła się powoli.

- Żałuję, że tak się to wszystko skomplikowało - powiedziała spokojnie. - Ale myślę, że będzie najlepiej, jeśli jak najszybciej wyruszę do Bostonu, do Nathaniela. Sądzę, że poproszę moją decyzję.

Clarissa zerwała się na równe nogi.

- Na Boga! Dziewczyno! Byłaś zawsze upartym, rozpuszczonym dzieckiem, ale twój ojciec nie chciał w to uwierzyć! Mówiłam mu przecież, że straciłaś głowę dla tego Janke-sa. Tłumaczyłam, że potrzebna ci silna ręka, lecz on zgodził się ze mną dopiero wtedy, gdy już leżał na łożu śmierci. Dzięki Bogu, że już cię nie słyszy. Byłby zaszokowany twym zachowaniem.

Elisabeth zignorowała tę uwagę i podeszła do Rowlanda.

- Dziękuję panu bardzo za pomoc. Ufam, że zrozumie pan powody, dla których nie mogę zostać dłużej. Muszę zarezerwować sobie bilet na statek.

Rowland również wstał z miejsca.

- Lady Elisabeth! - powiedział błagalnie. - Proszę się zastanowić! Z pewnością potrafia się panie jakoś porozumieć. Może pani otrzymać wielki majątek...

Jeśli ja nie zgłoszę sprzeciwu. A przysięgam na Boga, że nie dam tej dziewczynie ani pensa! Ani pensa, słyszysz? - Clarissa popatrzyła z furią na Elisabeth. - Beze mnie jesteście tak biedna jak mysz kościelna.

Kowlami umilkł. Elisabeth wiedziała, że Clarissa mówi prawdę. Tatusiu myślała smutno. - Tatusiu. Dlaczego to zrobiłeś? Niepotrzebny był jej nikt, kto by ją kontrolował i pouczał, a to stało się wyraźnie zamiarem macochy.

Po chwili uniosła głowę; na jej wargach błąkał się uśmiech.

- Nie rozumiesz, prawda? - spytała cicho. - Nie zależy mi na pieniądzech taty. Kocham Hayden Park, ale chcę wieść własne życie i to jest dla mnie o wiele ważniejsze. I tysiąc razy wolę być biedna niż poślubić mężczyznę, którego nie darzę uczuciem.

Widziała wtedy Clarissę po raz ostatni.

Tak więc pożegnała ojca, Anglię i swoje dotychczasowe życie.

Z początku nie potrafiła oprzeć się myśli, że ojciec dopuścił się zdrady uzależniając jej przyszłość od woli Clarissy. Później jednak, w czasie podróży, zrozumiała, że jedyną jego winą była naiwność. Jakże łatwo uwierzył w dobre intencje swej małżonki!

Tak - pomyślała ponownie. Tak. Dokonała właściwego wyboru. Jedynego możliwego wyboru.

Nie zniosłaby ślubu z lordem Harrym.

Powoli, głęboko odetchnęła i powróciła myślami do teraźniejszości.

I Nathaniela.

Odkaszlnęła, gdyż poczuła dziwny ucisk w piersiach. Przez ostatnie parę dni dokuczał jej silny ból w płucach. Szybko jednak przestała o tym myśleć i złożyła swe niedomaganie na karb wspomnień.

Chwyciwszy paski torebki, zerknęła ponownie w stronę domu. Lekki niepokój zmarszczył jej brwi. Ostatni raz widziała Nathaniela ponad trzy miesiące temu. Czy będzie chciał ją oglądać?

Roześmiała się cicho. Ależ oczywiście! Przecież ją kocha! A jej obawy są zupełnie niepotrzebne. Poza tym tak naprawdę odczuwała lęk przed przyszłością, nie przed Nathanielem. I nic w tym dziwnego, ponieważ ostatnio w jej życiu panował zamęt.

Wszelako natrętne myśli nie dawały jej spokoju. Czyżby zachowała się niemądrze, odbywając tę podróż? Stangret wiedział, jak dojechać do rezydencji O'Connorów. Ale nadal pozostawało jej znalezienie lokum, a w tym celu musiała zasięgnąć porady Nathaniela. Nie dysponowała przecież nieograniczonymi funduszami - aby zapłacić za rejs, musiała spieniężyć trochę biżuterii. Ale jeśli wszystko ułożyłoby się po jej myśli, potrzebowałaby pokoju zaledwie na tydzień, najwyżej dwa. Najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnęła rychłego ślubu i modliła się tylko, aby Nathaniel miał zamiary podobne.

Pograżona w zadumie poprawiła kapelusz i wygładziła żakiet. Po miesiącu spędzonym na morzu doznawała wrażenia, że

jest rozczochrana i zakurzona. Na jej usta znowu wypłynął uśmiech. Z małą walizką u boku czuła się jak porzucone dziecko. Kufry zostawiła w porcie w nadziei, że Nathaniel pośle po nie służbę, może nawet już następnego dnia?

Zebrawszy się na odwagę, ruszyła ułożoną z kamieni ścieżką w stronę domu, i - stukając obcasami - weszła na schody. Na górze wyciągnęła szczipłą dłoń w białej rękawiczce, zacisnęła palce wokół rzeźbionej kołatki z brązu, po czym - mimo że w środku trzęsała się cała ze zdenerwowania - uderzyła nią spokojnie o boazerię drzwi.

Natychmiast rozległy się czyjeś kroki. Drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich siwiejący, przygarbiony mężczyzna; sądząc z wyglądu, był to najprawdopodobniej lokaj.

Elisabeth zdobyła się na uśmiech.

- Dzień dobry - powiedziała. - Czy to rezydencja O'Connorów?

Uniósł krzaczaste brwi.

- W istocie, pani.

Odetchnęła z ulgą.

- To dobrze. W takim razie chciałabym się zobaczyć z panem O'Connorem, jeśli jest w domu.

Lokaj otaksował ją wzrokiem i najwyraźniej odniósł dobre wrażenie.

- Kogo mam zaanonsować, pani?

- Lady Elisabeth Stanton. - Roześmiała się nerwowo. - Proszę wybaczyć to niezapowiedziane przybycie, ale mój statek przycumował do portu dopiero dziś po południu.

Czuła się w obowiązku wyjaśnić powody swej nagłej wizyty.

- Może powinnam była poczekać, ale tak bardzo pragnę go znów zobaczyć...

Lokaj milczał chwilę.

- Pan O'Connor nie wrócił jeszcze ze stoczni. Spodziewam się go za kwadrans. Czy zechce pani poczekać?

Natychmiast opuścił ją lek.

- Ależ tak! Z przyjemnością!

- W takim razie zapraszam - odparł, cofając się o krok.

Elisabeth poszła za nim do salonu położonego tuż na wprost rozległego holu. Gdy już znalazła się w środku, popatrzyła z aprobatą na luksusowo urządzone wnętrza.

- Nazywam się Simmons, milady. Jeśli pani sobie życzy, podam herbatę.

Choć zachowywał się nienagannie i raczej oficjalnie, patrzył na nią ciepło.

- Dziękuję, Simmons - odparła z uśmiechem. - Z przyjemnością się napiję.

Uklonił się lekko i odszedł.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Elisabeth usiadła w ogromnym, miękkim fotelu stojącym naprzeciwko kominka. Wkrótce młoda dziewczyna, która przedstawiła się jako Millie, wniosła do salonu srebrną tacę. Elisabeth nalała sobie filiżankę herbaty w nadziei, iż gorący napój ją odświeży. Po paru łykach poczuła jednak, że płonie tak samo, jak ogień na kominku.

Wstała i zaczęła niespokojnie przemierzać pokój. Teraz, gdy czas pracował na jej korzyść, doznawała podniecenia pomieszanego ze strachem. W małym, prostokątnym lustrze ozdobionym po bokach dwiema różami dojrzała swoje odbicie. Na policzki wypełzły jej szkarłatne rumieńce, a zielone, żywe oczy błyszcząły. Zadrżała na myśl, że lśnią zbyt mocno.

Jej lustrzane odbicie zakołysało się, ale zaraz wróciło do równowagi. Zmarszczyła brwi. Przez ostatnią godzinę trudności z oddychaniem nasiliły się, ale złożyła to na karb silnych przeżyć.

Na zewnątrz zaterkotały koła powozu.

Elisabeth rzuciła się do okna. Poprzez koronkową, przezroczystą firanę dojrzała wysoką postać, która zmierzała wyraźnie w stronę domu.

Miała ochotę zaśpiewać z radości. *To on... to Nathaniel.*

Z holu dobiegły ją głosy. Splotła osłonięte rękawiczkami palce przed sobą, by uspokoić drżenie rąk. Najchętniej zaczęłaby tańczyć.

Zbliżyły się czyjeś kroki. Simmons zapukał i uchylił nieco drzwi.

- Pan będzie tu za chwilę - oznajmił.

Elisabeth przytaknęła radośnie. Nie mogła powstrzymać goinitwy myśli. Jak zareaguje Nathaniel? Z pewnością się zdziwi. Ale będzie szczęśliwy. Bez wątpienia! Prosił ją przecież o rękę. Ogarnęła ją pełnia szczęścia. Westchnęła na samą myśl o tym, co się zdarzy, gdy Nathaniel stanie w drzwiach.

Popatrzy na nią swymi błyszczącymi oczami i, jak zawsze, obdarzy ją uśmiechem - marzyła radośnie. A potem... potem weźmie ją w ramiona i pocałuje tak, jak wtedy w parku.

Skrzypnęły drzwi. Stanął w nich elegancko ubrany, wysoki, barczysty mężczyzna o wąskich biodrach i kruczoczarnych włosach.

Elisabeth - która właśnie biegła mu na spotkanie - zatrzymała się w pół kroku i wstrzymała oddech.

Uśmiech zamarł jej na ustach, a serce prawie przestało bić. Zrobiło się jej słabo i omal nie upadła. Zamrugnęła powiekami, w nadziei, że oczy spłatały jej okrutnego figla. Przecież to niemożliwe...

Stojący przed nią mężczyzna nie był Nathanielem.

## Rozdział drugi

Zakończywszy interesy, Morgan O'Connor wychodził właśnie z banku Commonwealth i już na progu niemal zderzył się z dobrze ubraną kobietą w średnim wieku. Uprzejmie uchylił przed nią drzwi, cofnął się o krok i uchylił kapelusza na powitanie.

- Dobry wieczór, pani Winston.

Kobieta minęła go bez słowa, szeleszcząc koronkami i falbankami. Pióro przypięte do jej kapelusza opadło i przekrzywiło się. Jedyne jej zimne spojrzenie świadczyło o tym, że w ogóle dostrzegła gest mężczyzny. Morgan uniósł brwi i wzruszył lekko ramionami. Dzięki Bogu - pomyślał sarkastycznie - że moi bankierzy nie są tak wymagający, jak pani Winston. Oni byli zawsze gotowi, by podpisać każdą transakcję.

Ale nie od początku - przypomniał sobie wsiadając do powozu. Gdy -jeszcze jako żeglarz - rozpoczynał swą wędrówkę na szczyt, nie mógł narzekać na nadmiar sponsorów. Nadszedł jednak taki dzień, gdy wszystko się zmieniło. Teraz - choć nie w pełni akceptowany przez wyższe sfery - zyskał jednak prawo wstępu do najbogatszych salonów Bostonu i pozorną zyczliwość ich właścicieli.

Minęły już czasy, kiedy to bostońska elita traktowała go jak śmieć -jego, syna zawsze pijanego właściciela gospody, prostaka, irlandzkiego biedaka. I w zasadzie niewiele się zmieniło. Znów poczuł na sobie piętno człowieka godnego jedynie pogardy.

Ale już nie był tak ślepy i głupi. Choć niechętnie się do tego przyznawał nawet przed sobą samym, zdążył już osiąść tę wiedzę. Walczył latami, długo i ostro, by udoskonalić siebie i poprawić swój los. Własnymi rękami dorobił się tego, co bostońska elita posiadała od urodzenia lub co otrzymywała w spadku po bogatych rodzicach. W istocie rzeczy bostońscy arystokraci w niczym go nie przewyższali.

Tak im się tylko wydawało.

Morgan stuknął stangreta w plecy i nakazał mu, by ruszył. I choć wciąż się uśmiechał, w jego szarych, błyszczących oczach nie było radości.

Gdy powóz skręcił za róg, zapatrzył się na spienione wody zatoki.

Boże, jakże on zniechęcił tę nadmorską tawernę, w której przyszło mu spędzić młodość. Ale morze stało się jego wybawieniem. W nim odkrył swój azyl. I swój majątek.

Żałował tylko tego, że jego matka nie doczekała tych czasów.

Uśmiechnął się ironicznie. Ojciec nie żył już od dziesięciu lat. Nie przez przypadek Morgan nakazał zburzyć tawernę zaledwie w tydzień po pogrzebie. W tym samym miejscu zbudował siedzibę Przedsiębiorstwa Budownictwa Okrętowego O'Connora.

Jego uwagę przykuł czyjś głośny śmiech. Gromadka dzieci biegła za powozem i machała do stangreta. Pewnie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo są szczęśliwe - myślał Morgan. On, będąc w ich wieku, nie zaznawał takiej pogody ducha. Beztroski śmiech pozostawił bratu.

Nathaniel... Nie mógł o nim nie pomyśleć wspominając młodość. Ale musiał uzbroić się w pancierz, jakby przystępował do bitwy.

Nathaniel - jego ukochany brat. Łajdak, któremu powierzył swoje życie i żonę.

Morgan pomyślał cynicznie, że Nathaniel zaszedł daleko dzięki urokowi osobistemu. Tak czy inaczej, wybaczano mu na ogół wszystkie grzechy.

Choć nie zawsze.

Zacisnął usta. Poczuł palącą pustkę w sercu. Przez ostatnie pięć lat nie widywał Nata zbyt często, lecz wcale za nim nie tęsknił. I trudno się było temu dziwić. Nie potrafił mu wybaczyć.

W najgorszych snach nie przewidział, że brat może go zdradzić. I tak boleśnie zranić.

Wydarzyło się zbyt wiele, by zapomnieć. Zbyt wiele, by wybaczyć.

Ale Nathaniel już nigdy nie wyrządzi mu krzywdy. Ani on, ani żadna kobieta, choćby była tak piękna jak jego żona, Amelia.

Tego ślubowania również zamierzał dochować.

Kręcąc się niespokojnie na wysokich poduszkach, Morgan zganił się ostro w duchu. *Koniec wspomnień* - nakazał sobie. Albowiem myśląc o bracie, musiał również myśleć o niej.

A nie chciał. Zdecydowanie nie.

Kiedy jednak nieco później znalazł się w domu, oboje znów stanęli mu przed oczyma: ona, jego niewierna, zmarła żona i brat Łajdak. Drzwi otworzyła mu jedna z pokojówek, skinął jej więc głową, po czym poszedł prosto do gabinetu, gdzie nalał sobie trochę brandy do kryształowego kieliszka, zakręcił nim bezmyślnie i wpatrzył się w bursztynowy płyn. Ogarnął go nastrój równie posepny, jak posepne były jego myśli. Nie spuszczać ani na chwilę wzroku z kieliszka wiedział już, że nie wypije ani kropli.

Rozległo się pukanie.

Miał ochotę je zignorować, ale okazało się to niemożliwe.

Drzwi uchyliły się nieco.

- Sir? - odezwał się Simmons.

Morgan ścisnął mocniej brzeg kieliszka.

- O co chodzi? - spytał, niezdolny ukryć irytację.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość i Simmons wszedł do środka.

- W salonie czeka na pana pewna dama - oznajmił.

- Naprawdę? - spytał sarkastycznie. Większość odwiedzających go kobiet wędrowała bowiem od razu do sypialni, starannie omijając salon.

- Przyjechała z Londynu - dodał Simmons i umilkł na chwilę. - Odniosłem wrażenie, że oczekiwał pan tej wizyty, sir.

- Kobieta z Londynu? - spytał lakonicznie Morgan. - Nieożliwe. Musiała popełnić pomyłkę. Wyprowadź ją, Simmons.

- Proszę o łaskawe wybaczenie, ale chyba powinien się pan z nią zobaczyć. Ona bardzo się niepokoi. Twierdzi, że nie mogła pana uprzedzić o swoim przyjeździe.

Morgan przymrużył oczy.

- Nazywa się Elisabeth Stanton - dodał pospiesznie Simmons. Lady Elisabeth Stanton.

- Nic mi nie mówi to nazwisko - odparł szorstko Morgan.  
- Powtarzam ci, że owa dama pomyliła adres.

Simmons nie odpowiedział. Odchrząknął tylko i zakołysał się na obcasach.

Morgan skrzywił się. Dobry Boże - jaki ten Simmons jest okropny - pomyślał. Ale jeszcze bardziej zirytowała go kobieta czekająca na niego w salonie - lady Elisabeth Stanton. Wyobraził sobie pulchną, zaniedbaną matronę o szerokich biodrach. Bo kimże innym mogłaby się okazać, skoro nosiła takie nazwisko? O co jej chodzi? - myślał gorączkowo. Co mam robić? Czego ona ode mnie chce? Zwykle nie lubił sprowadzać na siebie kłopotów, ale Simmons nie zamierzał ustąpić.

Tak więc odstawił głośno kieliszek na stół i odchrząknął.

- Dobrze - mruknął, przechodząc przez podwójne drzwi. - Wyjdę do niej.

Szybko dotarł do salonu, gdzie po raz pierwszy ujrzał swego nieoczekiwanego gościa.

Jakże bardzo się mylił. Nie odwiedziła go żadna zaniedbana matrona. Niedaleko lustra stała szczupła, elegancko ubrana młoda dama w szarej sukni. Spodziewał się zupełnie kogo innego.

Ona najwidoczniej również.

Zupełnie go zaskoczyła zachowaniem. Otworzyła szeroko ogromne zielone oczy i zamarła. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie i rozczarowanie. Mimo że złość nie całkiem mu przeszła, ta przedziwna mieszanina uczuć mocno go ubawiła.

- Na Boga - wyjąkała nieznajoma patrząc mu prosto w oczy.  
- Kim pan jest?

Morgan uniósł brwi.

- Simmons twierdzi, że chciała się pani ze mną zobaczyć.

- Z panem? W jakim celu? Przecież ja pana nie znam!

- Mógłbym powiedzieć to samo - odparł sucho. - Ale przysłała pani przecież do mojego domu i dlatego też sądzę, że ma pani do mnie jakiś interes. Bardzo jestem ciekaw, jaki.

Odwróciła oczy. Morgan odniósł wrażenie, że wzięła go za samego diabła.

• Zapewne nastąpiło jakieś nieporozumienie - szepnęła. - powiedziano mi, że to rezydencja O'Connorów.

- W istocie.

Popatrzyła na niego, jak na wariata.

- Nie, pan nie rozumie. Próbuję odnaleźć właściciela Przedsiębiorstwa Budownictwa Okrętowego O'Connora.

Morgan założył ręce na plecy. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Do usług.

- Nie, nie. To niemożliwe. - Wyglądała tak, jakby zamierzała nie rozpłakać. - Przyjechałam tutaj aż z Londynu. Nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę. Muszę odnaleźć Nathaniela O'Connora.

Morgan przestał się uśmiechać. W jednej chwili wszystko się zmieniło.

- Cóż - odparł szorstko. - Tu go nie ma. Z tego, co mi wiadomo, w ogóle nie mieszka w Bostonie.

Elisabeth zacisnęła palce na pasku torebki.

- A więc pan go zna? Zna pan Nathaniela?

- O tak - zaśmiał się drwiąco Morgan. - Nawet bardzo dobrze go znam. Jestem jego bratem.

Elisabeth zbladła jak ściana. Otworzyła usta, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku i ku przerażeniu Morgana zaczęła osuwać się bezwładnie na ziemię.

Na szczęście O'Connor miał szybki refleks i pochwycił ją, zanim uderzyła głową o podłogę.

- Dobry Boże - mruknął, gdy już ułożył dziewczynę na sofie. - I co teraz?

W pierwszej chwili pomyślał, że jej omdlenie to typowo kobieca zagrywka, fortel, który miał służyć temu, by osiągnąć nie znany mu cel. Z trudnością powstrzymując irytację usiadł przy niej i klepnął ją delikatnie najpierw w jeden, a potem w drugi policzek, sądząc, iż dziewczyna wyrazi swe oburzenie przeraźliwym krzykiem.

Lecz ona ani drgnęła.

Morgan zmarszczył brwi. Może po prostu ścisnęła zbyt mocno gorset? Zupełnie nie rozumiał, dlaczego kobiety gustują w takich wynalazkach. Mężczyźni, którzy marzyli wyłącznie

o tym, by jak najszybciej pozbawić damę ubrania uważali, że ta moda jest niezwykle irytująca. O'Connor przewrócił zemdloną na bok i odpiął zwinnie niezliczoną ilość haftek na plecach sukni, a następnie sięgnął ręką głębiej i poluzował sznurówki.

Niestety, na próżno.

Wówczas zdał sobie sprawę, że nawet poprzez jedwab sukni wyczuwa nienaturalnie wysoką temperaturę ciała dziewczyny. Cóż jej dolegało, do diabła? Opuškami palców dotknął policzka nieznamomej i zaklął, wymyślając sobie w duchu od idiotów. Przecież ona miała wysoką gorączkę!

Jęknęła. Morgan chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął, szukając nerwowo w pamięci imienia swego nieoczekiwanego gościa.

- Elisabeth! Elisabeth! - zawołał. - Ocknij się. Jesteś chora?

Otworzyła wolno oczy, w których czał się ból.

- Powiedz mi - pytał gorączkowo. - Gdzie cię boli?

Dotknęła lekko skroni.

- Tutaj - odparła słabo.

- Gdzieś jeszcze?

Jej ręka opadła na pierś.

- Tutaj - szepnęła, gdyż ten gest kosztował ją sporo wysiłku.

- Jak oddycham. - Odwróciła głowę, a jej powieki opadły. Zakasłała sucho, urywanie, a Morgan zrozumiał, że znów straciła przytomność.

Tym razem jednak nie zmartwiło go to specjalnie, gdyż podejrzewał, jak bardzo byłaby przerażona tym, co zamierzał zrobić. Opuścił stanik sukni odsłaniając gładkie, alabastrowe ramiona dziewczyny i przyłożył jej ucho do piersi. Odniosł wrażenie, że coś terkocze w jej płucach, z których wydobywał się dziwny, świszczący dźwięk.

Morgan zaklął i zerwał się natychmiast na równe nogi.

- Simmons! - krzyknął. - Poślij po Stephena! Ta kobieta jest chora!

**w godzinę później przyjaciel Morgana, doktor Stephen Marks,** stał przy łóżku, na którym ułożono troskliwie jego pacjentkę. Doktor był niski, barczysty, a jego uśmiech i ciepłe spojrzenie świadczyły o łagodności charakteru.

(odsunął się od łóżka i zerknął na Morgana, stojącego nie opodal z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

A więc ta młoda dama przyjechała z Londynu?

Morgan przytaknął.

Tak mówiła Simmonsowi - odparł zwięźle.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że to zapalenie płuc - powiedział Stephen. - Wywołane najprawdopodobniej przez wilgotne, morskie powietrze. Teraz możemy tylko obniżyć jej gorączkę i zapewnić spokój. - Włożył narzędzia z powrotem do torby, spoglądając kąpiąco na przyjaciela. - Muszę przyznać, że ta dziewczyna różni się nieco od innych twoich zdobyczy.

Morgan wykrzywił usta.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków - powiedział sucho. Nie do mnie przyjechała.

- W takim razie do kogo?

- Do Nathaniela - odparł po chwili milczenia.

Wesołe ogniki w oczach Stephena zaczęły powoli gasnąć.

- A cóż ta angielska dama może mieć z nim wspólnego?

- Sam chciałbym to wiedzieć - Morgan popatrzył na leżącą. Kiedy się obudzi, będziemy musieli ją o to zapytać, prawda? Stephen milczał, ale nie spuszczał z niego wzroku.

- A gdzie on jest? - zapytał w końcu.

Rsy twarzy O'Connora stwardniały.

- Obaj wiemy dobrze, że mój brat nie udziela mi takich informacji. Dawno go nie widziałem, co zresztą bardzo mi odpowiada. - Odwrócił głowę w stronę dziewczyny. - Wyzdrożenie? - spytał.

- Chyba tak - powiedział wolno Stephen. - Ale upłynie wiele tygodni, zanim dojdzie do siebie. - Sięgnął po surdut i zachichotał na widok miny Morgana, który wyglądał jak chmura gradowa. - Musisz pogodzić się z myślą, że ona zostanie tu przez jakiś czas.

A Morgan pomyślał ponuro, że ta wiadomość wcale go nie cieszy.

Stephen ruszył do drzwi, ale nagle się zatrzymał.

- Mam dla ciebie pewną propozycję. Przyślę tu swoją gospodynię, Margaret. Ona jest nie tylko doskonałą pielęgniarką, ale również nie wypaple, że gościsz u siebie młodą kobietę. Niepożądany ci chyba następny skandal.

O'Connor potrząsnął głową i uśmiechnął się cynicznie.

- Nie widzę takiej potrzeby. Nie dbam o reputację. Zresztą i tak bardziej jej już zrujnować nie mógłbym.

Stephen położył dłoń na rzeźbionej klamce z brązu. Widząc ten gest, Morgan odwrócił się, gotów odprowadzić przyjaciela do drzwi, ale ten machnął tylko ręką.

- Nie fatyguj się. Dam sobie radę.

I tak Morgan został sam - sam ze swoim nieproszonym gościem. Podszedł do łóżka i zerknął na dziewczynę. Jej twarz, nieruchoma i biała, wyglądała jak wykuta w marmurze. Przymknięte powieki były jasnoróżowe, niemal przezroczyste. Na policzki padał cień czarnych jak smoła rzęs. Cienkie brwi tworzyły kokietyrny łuk.

Najbardziej jednak przykuła jego uwagę jej skóra - gładka i nieskazitelna. Morgan zapragnął nagle dotknąć policzka dziewczyny, by sprawdzić, czy w istocie jest tak delikatny i jedwabisty, na jaki wyglądał.

Pomyślał, że historia się powtarza. Wciąż myślał o nieznajomej, jakby była podlotkiem. Być może z powodu błagalnego wyrazu, który pojawił się w jej oczach na wieść, że pan domu nie jest Nathanielem. A przecież dama z Londynu ukończyła już na pewno dwadzieścia lat.

Powiódł wzrokiem niżej i zatrzymał go na wybujałych krągłościach, pokrytych teraz atłasową kołdrą. Zanim nadszedł Stephen, Morgan wyswobodził dziewczynę z sukni i gorsetu. Została jedynie w koszuli. Choć była wysoka i smukła, miała dojrzałe, kobiece kształty. Nie mógł nie dostrzec jej prowokującej zmysłowości.

Nieznajoma niewątpliwie odznaczała się urodą, jeśli mężczyzna gustował w blondynkach, ale Morgan do takich nie należał. Uważał, że są mdłe i pozbawione osobowości.

Nagle poruszyła głowę. Morgan nachylił się nad nią, bo z jej ust wydobył się jakiś dźwięk. Może próbowała coś powiedzieć?

Imię.

Nathaniel.

Wyprostował się i odwrócił z zaciętym wyrazem twarzy. Nie chciał gościć tej kobiety pod swoim dachem, kimkolwiek by się okazała. A jednak tu była i nieuchronnie przypominała mu o wszystkim, co najchętniej wymazałby ze swego życia.

Postanowił jednak zapewnić jej jak najlepszą opiekę. Przy odrobinie szczęścia miała szansę na rychłe wyzdrowienie, a wtedy mógłby odesłać ją tam, skąd przyjechała.

Jęknęła i znów musiał na nią popatrzeć, choć wcale tego nie chciał. Gdy zacisnęła palce na brzegu kapy, wydało mu się nagle, • • coś błysnęło. Przyjrzał się więc uważniej i na trzecim palcu lewej dłoni dostrzegł złotą obrączkę.

Zaklął szpetnie. Cóż ten Nat znowu narobił? Morganowi trudno było stawić czoło faktom. Jego brat najwyraźniej nie potrafił trzymać się z dala od kłopotów. Jeszcze by tego brakowało, żeby się ożenił!

Niech to diabli - pomyślał z wściekłością, wychodząc z pokoju. Niech to wszyscy diabli! Skąd się tu wzięła Elisabeth Stanton? I co ją łączy z Nathanielem?

Czuł, że nie spodoba mu się odpowiedź na to pytanie.



## Rozdział trzeci

Przez następne kilka dni Elisabeth - oszołomiona bólem - żyła w dziwnym, innym świecie. Gdzieś jednak, w zakamarkach umysłu, uświadamiała sobie, że jest ciężko chora. Całe ciało paliło ją jak płomień. Odczuwała pulsowanie w skroniach, a najłżejszy nawet oddech zdawał się rozrywać pierś. Ledwo zdawała sobie sprawę z tego, że rzuca się na łóżku i krzyczy, jak przez mgłę słyszała, że ktoś namawia ją do picia. Często jakaś ręka dotykała jej czoła; błogosławiony chłód wilgotnego ręcznika na szyi i ramionach sprawiał ogromną ulgę. Wokół niej wirowały głosy.

Aż pewnego dnia dojrzała, jak przez okno wpada do pokoju jasny promień słońca. Powoli odzyskiwała przytomność. Usiłowała odwrócić oczy od światła, lecz bez skutku. Docierały do niej szepty, więc wiedziała, że nie jest sama. Coś się nie zgadzało - zarówno w Londynie, jak i w Hayden Park, okna usytuowane były za wezgiem jej łóżka.

Przysłoniła dłonią powieki.

- Światło mnie razi - szepnęła.

Rozległ się głośny, gardłowy śmiech.

- Cieszę się, że pani do nas wróciła.

Nie znała tego głosu. Prerażona, otworzyła oczy i zobaczyła, że wpatruje się w nią mężczyzna o gęstych, kasztanowatych włosach i błyszczących oczach, w których migotały złote cętki. Elisabeth, nie przyzwyczajona do widoku mężczyzn w swojej

SYPIALNI, miała ochotę zapaść się pod ziemię. Co gorsza, nieznamy usadowił się na krześle stojącym tuż przy jej łóżku.

Kim ... kim pan jest? - Nie poznawała własnego głosu. Brzmiał chrapliwie i sucho.

Nazywam się doktor Stephen Marks - zaśmiał się mężczyzna. Opiekuję się panią od paru dni. - Przekrzywił zabawnie głowę. - Muszę przyznać, że nie bardzo wiem, jak się mam do pani zwracać. Może lady Elisabeth?

Dziewczyna od razu poczuła, że lubi doktora Marksa - jego ciepły i przyjazny sposób bycia budził zaufanie.

Wystarczy Elisabeth - powiedziała z uśmiechem, nie zwracając uwagi na wysuszone gardło i spękane wargi.

Świetnie. Mów mi Stephen. - Na stoliku obok łóżka stał dzbanek z wodą. Marks wiedział, że chora musi być spragniona, więc natychmiast napełnił szklanekę. - Pozwól - mruknął, pomógł Elisabeth usiąść, po czym poprawił jej poduszki. Następnie podał jej białą jedwabną narzutkę i dyskretnie odwrócił głowę, by mogła się nią okryć. Gdy przysunął szklanekę do jej ust, uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wstydziła się własnej słabości, ale miała wrażenie, że zwiotczały jej wszystkie mięśnie.

- Wiesz, gdzie jesteś? - spytał żywo doktor.

Natychmiast wróciła jej pamięć. Czekwała w salonie na Nathaniela, tylko że zamiast niego zjawił się tam ktoś zupełnie inny - wysoki, bardzo elegancki nieznajomy...

Skupiwszy się na postawionym jej przed chwilą pytaniu, zagryzła wargę i powiodła wzrokiem po bogatym umeblowaniu pokoju.

- Z tego, co widzę - szepnęła - na pewno nie w szpitalu. - Dlatego też sądzę, że przebywam nadal pod dachem Nathaniela O'Connora.

Zawahał się i zmarszczył lekko brwi.

- Powiedz mi, jak się czujesz.

Chyba nigdy w życiu nie czuła się gorzej. Wydawało się jej, że jest cała posiniaczona i pobita, z czego natychmiast zwierzyła się doktorowi.

- Jaki mamy dziś dzień? - spytała.

- Jest niedziela, rano.

Otworzyła szeroko oczy. Statek przyplłynął do portu w środę popołudniu.

- O mój Boże - szepnęła, wywołując tym kolejny uśmiech na twarzy Stephena. Przygryzła wargę i spojrzała na niego z nadzieją. - Czy mogłabym wstać?

Zaczął właśnie kręcić głową ale dostrzegł jej przygnębioną minę.

- Sprawdźmy... parę kroków nie zaszkodzi. Pozwól, że ci pomogę. Odsunął kołdrę i dyskretnie odwrócił oczy.

Elisabeth postawiła nogi na podłodze i odniosła wrażenie, że są zrobione z drewna. Niemniej jednak nie wahała się. Kiedy Stephen objął ją w talii, podziękowała mu uśmiechem i spróbowała się podnieść. Nogi odmówiły jej jednak posłuszeństwa, na twarzy pojawił się wyraz oszołomienia.

Opadła z powrotem na łóżko.

- Niestety - powiedziała z uśmiechem równie słabym, jak jej nogi. - Jeszcze nie czas.

Stephen pomógł jej ułożyć się na łóżku. Oparła się o poduszki z wrażeniem, że jak na trzy dni snu czuje się absurdalnie wręcz zmęczona i słaba. Wcale się jej to nie podobało.

- Co mi właściwie dolega?

- Zapalenie płuc. I choć kryzys minął, jesteś w dalszym ciągu bardzo chora. - Wstał. - Dlatego też zostawię ci samą żebym mogła odpocząć. Każę kucharce przyrządzić bulion i przysłać ją do ciebie na górę. Pożywne jedzenie doda ci sił. A jeśli będzie ci czegoś potrzebna, natychmiast poproś.

Zaraz po wyjściu doktora w drzwiach stanął inny mężczyzna. To był on.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem.

Zostali sami.

Ogarnęła ją panika. Elisabeth nigdy nie uważała się za tchórza, ale perspektywa rozmowy z tym człowiekiem wydała się jej przerażająca.

Zauważyła w nim pewne podobieństwo do Nathaniela, choć był wyższy, szczuplejszy i zapewne starszy. I nie uśmiechał się. A w jego oczach nie było radości.

Patrzył na nią uważnie, ale chłodno i obojętnie.

Miał na sobie proste, choć eleganckie ubranie - ciemne spodnie, zwyczajną czarną kamizelkę z satyny i marynarkę. Nie nosił żadnej biżuterii oprócz zegarka z łańcuszkiem. Przez chwilę myślała tylko o tym, że ten mężczyzna odznacza się

niezwykle surowym wyglądem i sposobem bycia. Wydany nos, przenikliwe spojrzenie, włosy czarne jak atrament.. A te oczy... Świdrowała ją wzrokiem, w którym dostrzegła wyniosłą pogardę, dezaprobatę... a poza tym już nic, żadnych uczuć.

Do głowy cisnęło się jej coraz więcej wspomnień. Spadała gdzieś w ciemność... ciemność i ciepło. Trzymały ją czyjeś ramiona... jego ramiona. Zapach brylantyny, palce rozpinające kołnierzyk, kroki na schodach... niósł ją na górę. Jego dłoń na rozpalonej piersi...

Z trudem powstrzymała okrzyk.

- Pan mnie dotknął - powiedziała oskarżycielskim szeptem. Ten mężczyzna - obcy mężczyzna ośmielił się ją rozebrać... Dotykał jej, choć nie miał do tego prawa... Nawet Nathaniel nie miał prawa...

Nathaniel. Dobry Boże. Przecież to jest brat Nathaniela. Brat, którego istnienia nawet się nie domyślała.

- W takich okolicznościach trudno mi było postąpić inaczej - powiedział bez śladu skruchy w głosie, co niezwykle ją oburzyło. Gdy podszedł bliżej łóżka, Elisabeth uniosła dumnie podbródek. A wtedy, ku jej ogromnemu zdziwieniu, brat Nathaniela skłonił się przed nią tak elegancko, jak to mieli w zwyczaju londyńczycy.

- Pozwoli pani, że się jeszcze raz przedstawię - rzekł gładko i ucisnął mocno jej dłoń. Och, jaka szkoda, że nie nosił rękawiczek! Dotyk jego ciepłej, szorstkiej skóry wyprowadził ją z równowagi. - Morgan O'Connor, do pani usług.

Z demonicznie ściągniętymi brwiami czekał na jej odpowiedź.

- Lady Elisabeth Stanton - wyjąkała bez tchu, próbując uwolnić rękę. Ku jej niezadowoleniu, Morgan nadal trzymał ją w swojej. Dobre maniere nie pozwoliły jej jednak zrobić sceny.

Na szczęście nie musiała z nim walczyć. Ni z tego, ni z owego cofnął dłoń i zrobił krok w tył.

- Pozwoliłem sobie posłać po pani kufry do porty

Elisabeth podniosła na niego oczy.

- Dziękuję - szepnęła.

Mimo eleganckiego stroju wyglądał drapieżnie, budził czujność. Patrzyła niespokojnie, jak przysuwa krzesło bliżej jej łóżka.

Uśmiechnął się, choć w jego oczach nie było wesołości.

- Musi mi pani wybaczyć moją ignorancję, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego każe się pani nazywać lady Elisabeth Stanton?

Czyżby z niej kpił? Nie była pewna. Nerwowo zwilżyła usta koniuszkiem języka, nieświadoma, że jego szare oczy śledzą uważnie każdy jej ruch.

- Jestem córką hrabiego Chester. Dlatego też mam prawo do tego tytułu.

- Rozumiem - mruknął. - I tym bardziej jestem ciekaw, czegoż taka arystokratka może oczekiwać od mego brata. Może mi pani to wyjaśni, Elisabeth.

Oczekując odpowiedzi skrzyżował swobodnie elegancko obu te stopy. Nawet jeśli ten gest był zupełnie spontaniczny, to z pewnością świadome pominięcie tytułu miało charakter lekceważący. Elisabeth doznała nagle dziwnego uczucia, że ten mężczyzna nie potrafi zachowywać się naturalnie.

Uniosła buńczucznie podbródek. Zamierzała dać mu do zrozumienia, że nie pozwoli się obrażać.

- Ależ to zupełnie proste - odparła, patrząc mu odważnie w oczy. - Zamierzamy się pobrać.

- Ach tak? A jak się na to zapatruje pani mąż?

Elisabeth zamarła z wrażenia.

- Mój mąż? - powtórzyła. - Jakżeby mogła poślubić Nathaniela, gdybym już była mężatką? - spytała z oburzeniem. Jak pan śmie? Ja nie mam męża!

- Czyżby? - Wyciągnął gwałtownie rękę i chwycił ją mocno za nadgarstek. I choć uścisk nie sprawił jej bólu, był tak nagły i nieoczekiwany, że Elisabeth omal nie krzyknęła. - Skąd się w takim razie wzięła ta obrączka? Zaczynam wątpić, czy rzeczywiście jest pani osobą, za którą się pani podaje. Być może chce pani w ten sposób osiągnąć jakiś cel. W każdym razie - kimkolwiek by pani była - nie uda się pani wyłudzić zbyt wiele od mojego brata.

Elisabeth z trudem chwyciła powietrze i wyswobodziła rękę. Tupet tego mężczyzny nie znał granic, a ona nie była przyzwyczajona, by ktokolwiek zadawał kłam jej słowom.

- Jestem tym, za kogo się podaję. A ponieważ odbywałam tę podróż samotnie - poinformowała go z wyniosłą miną - nie

chciałam być narażona na awanse ze strony mężczyzn. Sądziłam, że uniknę przykrych sytuacji, jeśli będę udawała kobietę zamężną. Stąd ten pomysł z obrączką.

Przymrużył złośliwie oczy.

- Dlaczego dama z pani pozycją wybrała się w podróż bez opieki?

- Nie wiem, czy to pana powinno obchodzić - odburknęła.

- Przebywa pani pod moim dachem - powiedział grzecznie.

- Sądzę, że należą mi się jakieś wyjaśnienia.

- Pod pańskim dachem... - syknęła jadownicę. - Jest pan niewdzięcznym łajdakiem! Nie jestem głupia. Może pan tu rzeczywiście mieszka, ale rezydencja jest przecież własnością Nathaniela.

Na jego wargach pojawił się szyderczy uśmiech.

- Nie - odparł krótko i zamilkł.

Elisabeth spojrzała na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Nie? Co pan ma na myśli? Przecież wiem, że to dom Nathaniela! Poznałam go z opisu. Wygląda dokładnie tak, jak się spodziewałam!

- Z pewnością - mówił swobodnie, ale patrzył na nią surowo.

- Sądzę, że mój brat uraczył panią również opowieścią o stoczni O'Connora. Chwalił się zapewne, jak wspaniale rozwinął swoją firmę?

- A nawet jeśli tak, to co? Ma prawo być dumny z takich osiągnięć! - Elisabeth doszła do wniosku, że nigdy w życiu nie miała do czynienia z podobnym arogantem.

Uniósł wysoko brew.

- Droga pani - wycodził - mój brat nie przepracował w swoim życiu nawet jednego dnia. A już tym bardziej nie w tej firmie. Być może pani o tym słyszała, ale na wszelki wypadek powtórzę, że Nathaniel O'Connor jest zwykłym kłamcą i oszustem.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Zastanawiam się jednak, jakiego rodzaju człowiek może tak oczerniać własnego brata.

- Proszę spytać służby, a przekona się pani, że mówię prawdę. Wątpiąc w moje słowa, popełnia pani poważny błąd. Zapewniam panią jednak, że ten dom należy wyłącznie do mnie. Stocznia również.

Mówił cicho i krótko. W jego sposobie bycia nie można już

się było doszukać nawet śladu arogancji. Elisabeth patrzyła na niego uważnie, usiłując zrozumieć, co mówi. Poczowała, że strasznie ją boli głowa. Zrobiło się jej niedobrze. Nagle straciła wiarę w siebie i... w Nathaniela. >

Nie mogła jednak pozwolić na to, by Morgan wyszedł z pokoju w poczuciu triumfu.

Oparł się o kominek i popatrzył na nią spokojnie.

- A więc jak? - zapytał. - Naprawdę nazywa się pani lady Elisabeth Stanton?

Obdarzyła go niechętnym spojrzeniem.

- Najpierw powątpiewał pan przecież w prawdziwość moich słów, a teraz odnoszę wrażenie, że zaczyna pan mi wierzyć. Proszę się na coś zdecydować.

- I chce pani poślubić Nathaniela? - Morgan odpowiedział jej pytaniem na pytanie.

- Poprosił mnie o rękę, a ja przyjąłam oświadczyzny. Niestety, mój ojciec zachorował i nie mogłam przyjechać z Natem do Londynu. - Elisabeth otoczyła ramionami kolana. Trudno jej było zachowywać się dostojnie w sytuacji, gdy miała na sobie tylko koszulę nocną i lizeskę.

- Nie słyszałem, żeby Nathaniel komukolwiek się oświadczał. - Morgan zdawał się rozważać taką możliwość. - Pani jest jednak córką hrabiego, więc to zmienia postać rzeczy. Kobieta z klasą. Aristokratką. Na pewno posiada pani ogromny majątek.

Elisabeth doznała zawrotu głowy. Morgan zamierzał wprawdzie obrazić Nathaniela, a nie ją, ale mimo wszystko poczuła się okropnie.

A on wcale nie skończył.

- Otrzymała pani staranne wychowanie. Należy pani do elity. Cóż, tym razem Nathaniel przerósł samego siebie.

Otaksował ją wzrokiem - jego szare oczy wpatrywały się z aprobatą w krągłość jej piersi, co sprawiło, że poczuła się, jakby była naga. Przeraziła ją do głębi bezczelność Morgana - nigdy przedtem nie wydawała się sobie tak tania i pospolita.

Napotkał jej zimne spojrzenie.

- Tak - powiedział cicho. - Uważam, że mój brat ma naprawdę dobry gust. Ale oczywiście chciał zyskać pewność, że nie utraci takiej szansy. - Urwał i uśmiechnął się cynicznie. Niech mi pani powie, Elisabeth, kiedy urodzi się dziecko?

Na początku dziewczyna nie zrozumiała. Kiedy jednak Morgan utkwiał wzrok w jej brzuchu, poczuła, że twarz zaczyna ją palić jak ogień - najpierw ze wstydu, potem ze złości.

Trzęsła się z wściekłości, zaciskając dłonie na kołdrze.

- Boże, jakże chętnie bym pana spoliczkowała!

Zaśmiał się. Ten łajdak się śmiał.

- Nie mam nic przeciwko temu, Elisabeth. Proszę to zrobić, gdy nabierze pani sił.

Odezwał się w niej bunt.

- Dla pana jestem lady Elisabeth! - krzyknęła.

Nie zareagował i odszedł. Elisabeth była absolutnie przerażona swym zachowaniem. Nigdy w życiu nie podniosła na nikogo głosu, nawet na macochę, choć wielokrotnie miała na to wielką ochotę.

Nie przestała jednakże zerkać na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Morgan. Nic dziwnego, że Nathaniel nigdy nie wspominał o bracie. Był to z pewnością najokropniejszy mężczyzna na świecie.

Dopiero później coś sobie uświadomiła... W dalszym ciągu nie wiedziała, gdzie właściwie jest Nathaniel.

\*

## Rozdział czwarty

się to jak najszybciej. Ta dziewczyna musi teraz myśleć wyłącznie o rekonwalescencji - żadnych trosk, żadnych zmartwień...

Morgan uniósł ciemną brew.

- W takim razie może dokończymy tę dyskusję w moim gabinecie, bo ona może nas usłyszeć i znowu się zdenerwować.

- Tak, tak. Oczywiście masz rację. - Stephen poszedł posłusznie za przyjacielem.

Gabinet O'Connora znajdował się we wschodnim skrzydle domu. Szerokie okna wychodziły na ogród, który wiosną i latem rozkwitał wszystkimi kolorami tęczy. Na prośbę Morgana Amelia zajęła się urządzeniem całej rezydencji, ale ten jeden pokój pozostał przez nią nietknięty. Przeważał tutaj mahoń i ciemna, gruba skóra, co nadawało wnętrzu typowo męski, bezpretensjonalny charakter.

Morgan podszedł do niskiego stolika, sięgnął po karafkę, nalał trochę brandy z kryształowego kieliszka i wręczył go Stephenowi.

- Może się mylę, ale ta młoda dama chyba cię zauroczyła.

Stephen zaśmiał się i natychmiast odzyskał dobry humor.

- Och, daj spokój. Chyba wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

- To dobrze - zauważył Morgan - bo ona jest już zaręczona. Stephen westchnął i skrzywił się.

- No tak- Powiniennem być się domyśleć. - Opadł na pobliskie krzesło i nagle się wyprostował. - Dobry Boże! Miałem właśnie zapytać, kto jest szczęśliwym wybrankiem, ale przecież ona przyjechała tu do Nathaniela. Nie mów mi, że chodzi o niego!

Spojrzał pytająco na Morgana, a on przytaknął bez słów.

Stephen mrugnął.

- Nat ma oko do ładnych dziewczyn, prawda? - Zmarszczył brwi. - Sądysz, że Elisabeth mu wierzy?

Morgan zaśmiał się krótko.

- Nie ma zielonego pojęcia o zmiennej naturze mojego brata. Przyjechała tu w przekonaniu, że ta rezydencja należy do niego. No i oczywiście stocznia... ten przeklętnik udawał bogacza!

- Znow stosuje te same sztuczki. - Stephen przyjrzał się przyjacielowi uważnie. - Ty jeszcze mu nie wybaczyłeś, prawda?

Morgan zeszytniał. I choć nie odezwał się ani słowem, jego milczenie mówiło wszystko...

Stephen potrząsnął głową.

- Czasem nie rozumiem - powiedział cicho - co w ciebie właściwie wstąpiło.

Stephen czekał na Morgana w korytarzu. Podparł się pod boki, zacisnął usta ze złości i natychmiast wyraził swoje niezadowolenie.

- Nie mogłem się oprzeć, żeby nie podsłuchiwać - powiedział szeptem. - Elisabeth nie ma siły, żeby toczyć bitwy z takimi ludźmi, jak ty.

Bitwy? Uwaga przyjaciela niechcący go rozbawiła. Oczami duszy widział ogniste spojrzenie dziewczyny. Uderzyło go to, że Stephen się myli - Morgan był przekonany, że Elisabeth Stanton mogłaby stawić czoło samej królowej Wiktorii, gdyby przyszła jej na to ochota.

Nie - pomyślał. Ta kobieta nie należy do słabeuszy bez kręgosłupa.

- Co takiego? - odparł lekko, udając zdziwienie. - Chyba żartujesz. Nie toczyłem z nią żadnej bitwy, skoro tak byłeś łaskaw określić naszą rozmowę.

Stephen nadal był bardzo zły.

- Niemniej jednak chciałem ci przypomnieć, że ona jest moją pacjentką.

- I moim gościem. - Uśmiechał się, ale patrzył przyjacielowi twardo prosto w oczy.

- Daj spokój - skrzywił się Stephen. - Wiem, że nie powinienem się wtrącać, ale minie trochę czasu, zanim Elisabeth dojdzie do siebie. A moim obowiązkiem jest pilnować, by stało

Morgan nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Prześladowały go myśli czarne jak noc. Czas sprawił, że się zestarzał. A życie znieczuliło mu serce.

Uśmiechnął się tylko sardonicznie.

- A ja nie wiem, dlaczego ty właściwie się ze mną przyjaźnisz.

- Nie wiesz? - spytał krótko Stephen. - Tylko dlatego, że należę do elity, której tak nienawidzisz? - Stephen Marks pochodził z jednej z najstarszych i najbogatszych bostońskich rodzin, a jego nazwisko cieszyło się powszechnym szacunkiem.

Lecz Morgan nie zawsze nienawidził „błękitnokrwistych”. Uważał, że bostońscy arystokraci są sztuczni i napuszeni, ale trochę im jednak zazdrościł. Wielokrotnie marzył, szczególnie we wczesnej młodości, by być jednym z nich.

Matka pokazała kiedyś jemu i Nathanielowi „wielkie domy na wzgórzu”, jak je nazywała. Jeden z nich był jeszcze w trakcie budowy. Gdy robotnicy odeszli, cała trójka weszła do środka, spacerowała po pustych pokojach i wyobrażała sobie, że mieszka w tym wspaniałym budynku. Od tamtej chwili Morgan zasypiał marząc, że pewnego dnia on również zamieszka w podobnej rezydencji.

No i zamieszkał.

Jednak nigdy nie udało mu się uciec od swych korzeni. Ta lekcja prawdy okazała się wyjątkowo bolesna.

Na ustach wciąż błąkał mu się lekki uśmiech.

- Z całą szczerością wyznam, że twoja lojalność naprawę mnie zadziwia i wysoko ją cenię, podobnie jak twoją przyjaźń. Oczywiście, masz rację. Rekonwalescencja Elisabeth Stanton winna stać się dla nas celem nadrzędnym. Powierzam ją zatem twojej wyłącznej opiece, dając przy tym słowo, że już nigdy jej nie zdenerwuję.

Następny tydzień minął bardzo szybko. Elisabeth wciąż była osłabiona i przykuta do łóżka, choć z każdą godziną przybywało jej sił. Większość czasu spędzała śpiąc lub odpoczywając, a to było - wedle Stephena sprawdzającego codziennie jej stan - najlepszym dla niej lekarstwem. Doktor przychodził codziennie i dziewczyna odkryła, że jest on niezwykle zajmującym, dowcipnym i dobroniuszym człowiekiem. Bardzo go polubiła.

To właśnie Stephen potwierdził, że Morgan mówi prawdę. Zarówno dom, jak i stocznia, stanowiły jego wyłączną własność.

Elisabeth nie mogła się uspokoić. Ziarno wątpliwości zostało zasiane. Nathaniel - ten szarmancki, rycerski czarodziej - kłamał. W głowie zakiełkowały jej następne podejrzenia. Natwierdził, że ją kocha. A jeśli to również było kłamstwem?

Wzięła głęboki oddech. Nie - powiedziała sobie z mocą. Tego na pewno by się domyśliła. Na pewno.

A jeśli jednak myliła się?

Gdy szła do saloniku w towarzystwie Stephena, dręczyło ją tysiące pytań.

- Nie... nie rozumiem - powiedziała, siadając na podsunie-tym przez niego krześle. - Dlaczego on miałby zrobić coś podobnego? Może sądził, że zmienię zdanie na jego temat, jeśli poznam prawdę? Twierdził, że mieszka w Bostonie.

- Bo tak jest - odparł Stephen po chwili wahania.

- W takim razie, gdzie? Gdzie? - Elisabeth popatrzyła na Stephena smutnym wzrokiem i mimo zdenerwowania wyczuła, że doktor nie ma ochoty podejmować tematu,

- Wolałbym nie odpowiadać - powiedział. - Czuję się jak uczeń wymyślający bajki na użytek nauczyciela.

- Nonsens - odparła stanowczo Elisabeth, lecz gdy Stephen zamilkł, natychmiast uderzyła w błagalny ton. - Proszę, powiedz mi prawdę. Jesteś moim jedynym przyjacielem.

Stephen westchnął.

- Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Zwróć się raczej do Morgana.

Przed oczami stanęła jej natychmiast charakterystyczna postać. Nic nie mogła poradzić na to, że drży na samo wspomnienie przesywającego spojrzenia szarych oczu mężczyzny.

Przygryzła wargę.

- Chętnie bym to uczyniła, ale odnoszę wrażenie, że Morgan nie pała sympatią do swego brata. I choć Pan Bóg nie obdarzył mnie rodzeństwem, zupełnie nie rozumiem, jakże tak może być.

- Masz rację - przyznał Stephen. - Oni nie utrzymują ze sobą kontaktów. Lecz kiedyś było inaczej. - Widząc, że dziewczyna rozszerza oczy ze zdziwienia, potrząsnął głową wyprzedzając kolejne pytanie. - Wybacz mi, ale tylko jeden z nich może udzielić ci wyjaśnień. - Zawahał się i przykrył dłonią jej

splecione na kolanach ręce. - Wydaje mi się jednak, że niemałdrze byłoby oczekiwać zbyt wiele od Nathaniela.

Zakamuflowane ostrzeżenie. W rezultacie Elisabeth nie pozostało nic innego jak tylko postąpić zgodnie z sugestią Stephena, czyli zwrócić się do Morgana.

Ku swemu zadowoleniu, rzadko go widywała. Uznała bowiem brata Nathaniela za wyjątkowo antypatycznego mężczyznę. Morgan zwykle wychodził wcześniej rano, a wracał dopiero wieczorem. Nie starał się z nią spotkać, raz tylko zapytał ją o zdrowie, wówczas, gdy niemal zderzyli się przed drzwiami biblioteki. Zachowywał się uprzejmie, lecz pod jego poprawną elegancją kryła się lekka ironia, która drażniła spokojną zwykle dziewczynę.

Owego dnia po południu dowiedziała się od Simmonsa, że Morgan siedzi w swym gabinecie. Gdy zatrzymała się przed drzwiami obitymi boazerią, poczuła się tak, jakby zamierzała wkroczyć do jaskini lwa. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego reaguje w ten sposób. Wiedziała jedynie tyle, że podczas jednego krótkiego spotkania Morgan wyprowadził ją z równowagi tak, jak to się dotąd nikomu nie udało.

Niemniej jednak uważała swe zachowanie za absurdalne. Przecież Morgan był tylko mężczyzną - bardzo niesympatycznym mężczyzną - lecz nadal pozostawał bratem Nathaniela. Ganiąc się w duchu za swoją głupotę Elisabeth wyprostowała plecy i zapukała energicznie w drzwi gabinetu.

- Proszę wejść - zawołał głębokim, męskim głosem.

Brawurowo popchnęła drzwi i weszła do środka.

Siedział za ogromnym biurkiem umieszczonym celowo blisko okien. Znow miał na sobie czarne ubranie. Na widok dziewczyny w jego szarych oczach pojawił się błysk zdumienia.

Wstał zwinnie, po czym tym razem on ją zaskoczył, gdyż okrążył biurko i wyszedł jej na spotkanie.

- Nie spodziewałem się pani - powiedział, wyciągając do niej rękę.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu, ani poruszyć się. Poczula delikatny zapach brylantyny, który wydał się jej dziwnie znajomy. Bliskość Morgana przytłaczała ją - mimo eleganckiego ubioru emanowała z niego prymitywna, męska witalność, która wprawiała dziewczynę w przerażenie. A gdy uściśnął jej dłoń, Elisabeth poczuła dreszcz.

Bliska paniki, wyrwała rękę, co od razu przyniosło jej ulgę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - wyjąkała nerwowo, bo nic innego nie przyszło jej na myśl.

Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

- Ależ oczywiście, że nie. Cieszę się, że wraca pani do zdrowia.

Elisabeth uniosła gwałtownie głowę. Czyżby ten łotr ośmielał się z niej kpić? Nie była pewna.

- Proszę, niech pani usiądzie, Elisabeth - powiedział, wskazując jej najbliższe krzesło.

Skinęła głową i wygładziwszy spódnicę popatrzyła za Morganem, który podszedł wolnym krokiem do okna. Stał tam przez chwilę z rękami skrzyżowanymi na plecach, a następnie odwrócił się, by na nią spojrzeć. Elisabeth pomyślała, że bestia została ujarzmiona przynajmniej na chwilę...

Odchrząknęła i położyła dłonie na kolanach.

- Jestem panu winna przeprosiny. Nie powinnam była podnosić głosu. To było bardzo niegrzeczne z mojej strony.

Wzruszył ramionami.

- Moje drogie dziecko, ja wcale nie jestem na panią obrażony. Szczerze mówiąc, w ogóle o tym nie myślałem. A ponadto, dałem pani powody do irytacji.

Poczula, że znow robi się jej gorąco. O cóż takiego on pytał? Kiedy przyjdzie na świat dziecko? Dobry Boże! Czyż ten okropny człowiek naprawdę podejrzewał, iżby mogła zachować się w ten sposób? Na palcach jednej ręki potrafiłaby wyliczyć pocałunki Nata! A przy tym podobna bezpośredniość nie przystoi w rozmowie z kobietą. Morgan mówił o tych sprawach zupełnie od niechcienia, co ją szokowało.

Teraz jednak doznawała wrażenia, że nieco zbyt pochopnie go oceniła.

Zerknął na jej dłoń.

- Widzę, że zdjęła pani obrączkę - zauważył.

Elisabeth spłonęła rumieńcem. Nie powinien był jej przypominać o tym drobnym oszustwie. Uniosła podbródek, a w jej oczach pojawił się wyraz buntu.

- Przyszłam, aby podziękować panu za gościnę, ale szalenie mi pan to utrudnia.

Skłonił głowę.

- Cieszy mnie pani wdzięczność, lecz odnoszę wrażenie, że chciałyby pani powiedzieć mi coś jeszcze.

Elisabeth siedziała sztywno na krześle. Dobry Boże! Czyż nie nigdy nie uchodzi jego uwagi? Wydało się jej nagle, że ten mężczyzna przejrzał ją na wskroś.

Nienawidziła tego uczucia i... Morgana. Z całego serca.

- W takim razie przystąpię od razu do rzeczy - powiedziała szybko. - Ta niefortunna choroba pokrzyżowała mi plany. - Urwała. - Kiedy się tu zjawiłam, twierdził pan, że Nathaniel nie mieszka w tym domu. Ale jest pan jego bratem, jedyną osobą, do której mogę się zwrócić. I dlatego też pytam ponownie, gdzie mogę go znaleźć.

- Wobec tego ja również przejdę od razu do rzeczy i powiem, że nie mam pojęcia, ponieważ nie jestem jego stróżem - odparł kpiąco.

- Przecież musi pan coś wiedzieć. - Elisabeth nie zamierzała tak łatwo się poddać. - Domyśla się pan chyba, kiedy on wróci?

Spojrzał na nią zimno. Wstrzymała oddech w obawie, że odmówi odpowiedzi.

- Nie, nie domyślam się - odparł.

- Przecież to jego dom...

- On istotnie mieszka w Bostonie. Przypuszczam również, że rzeczywiście tu wróci. Zawsze wraca. Prędzej czy później.

- I zamieszka tutaj? W swoim domu?

Znów ta przekłeta cisza.

- Nie.

Tylko tyle. Nic więcej.

- Nie mieszkanie razem? - indagowała. - Dlaczego?

- To już nie pani sprawa.

Elisabeth wstrzymała oddech. Mimo że Morgan zachowywał się nieuprzejmie, nie okazywała oburzenia.

- Wybacz pan, ale mam nieco inne zdanie. To jest moja sprawa. Zostanę żoną Nathaniela. I pańską szwagierką. Skoro więc zna pan miejsce jego pobytu, nie powinien pan tego przede mną ukrywać.

- Proszę posłuchać - wycedził. - Mój adwokat dba o to, by Nathaniel otrzymywał pokaźne wsparcie finansowe. Niemniej jednak jemu to nie wystarcza. Ilekroć potrzebuje gotówki, zwraca się do mnie o pomoc. Żyje chwila, dzięki szczodrości

innych. Czyżby tego również pani nie powiedziała? - Uniósł brwi. - Gdybyście rzeczywiście mieli wziąć ślub, włożyłby pani na palec zapewne tę samą obrączkę, którą nosiła pani w podróży. Jestem bardzo ciekaw, czy zmieni pani teraz zdanie o moim najdroższym braciszku.

Zachowywał się nad wyraz bezczelnie. Elisabeth czuła, że zaczyna tracić cierpliwość.

- Absolutnie nie - odpaliła. - A pan, drogi panie, jest wyjątkowo nieuprzejmy.

Wykrzywił usta.

- Nie, tylko uczciwy. W przeciwieństwie do Nathaniela. - Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ku swemu niezadowoleniu Elisabeth odwróciła oczy pierwsza.

Morgan milczał przez chwilę, po czym stanął na wprost niej z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- I co pani zamierza?

Wyprostowała się dumnie.

- Będę czekać.

- Na Nathaniela? - skrzywił się z niesmakiem. - Na Boga! Chce pani to z nim wyjaśnić?

- Przecież prosił mnie o rękę - powiedziała spokojnie. - Być może rzeczywiście tu go nie ma, lecz jednak mi się oświadczył.

- A jeśli się okaże, że jest inny niż pani sądziła?

- Znowu to samo! - Zorientowała się, że kroczą po kruchym lodzie. Morganowi udało się zasiać w niej wątpliwości, ale postanowiła całkowicie je zignorować. - Niezależnie od tego, kim Nathaniel był w przeszłości - powiedziała z namysłem - z pewnością się zmienił.

Ku jej ogromnemu zdziwieniu Morgan popatrzył na nią uważnie, przenikliwie.

- Udzielę pani pewnej rady. Proszę stąd wyjechać i nie oglądać się za siebie. Jeśli pani mnie nie posłucha, z pewnością pani tego kiedyś pożałuje. - Urwał. - Zarezerwuję pani bilet na statek...

- Nie. W żadnym wypadku.

Porywcość Elisabeth zaskoczyła Morgana. Zanim jednak rozgniewał się, dziewczyna postanowiła wytłumaczyć mu powody swojej decyzji.

- Pytał mnie pan kiedyś, czy jestem osobą majątną. Otóż nie,



nie jestem. Zostałam wydziedziczona, ale wolałabym teraz nie rozmawiać na temat przyczyn takiego stanu *rzeczy*. Fakt jednak pozostaje faktem. Nie mogę wrócić do Anglii.-

Nie krył wątpliwości.

- I sady pani, że jej uwierzę? - Podszedł bliżej, a jego pogardliwe spojrzenie spoczęło na pięknej jedwabnej sukni. - Czyżby to był strój ubogiej kobiety? - spytał.

Dotknęła ją mocno ta złośliwość. Być może Morgan nie kłamał. Być może Nathaniel istotnie postępował kiedyś niegodnie. Ale ona również miała rację. Nat był teraz innym człowiekiem.

Jednak pewność siebie powoli ją opuszczała. Na chwilę rozgorzał w niej gniew. Żałowała, że w ogóle poznała Morgana O'Connora.

Jej gniew ustąpił równie nagle jak się pojawił, ale dziewczyna zaczęła drżeć. Serce waliło jej jak młotem. Przyłożyła zlodowaciałe palce do czoła i pochyliła głowę, czując, że zbiera się jej na płacz.

- Źle się pani czuje?

Ten głos przeszył ją jak sztylet. Elisabeth nie widziała jednak szczupłej dłoni Morgana, która krążyła gdzieś ponad diademem włosów na jej głowie.

Uczyniła ogromny wysiłek, żeby nad sobą zapanować.

- Nie - szepnęła, dzielnie pokonując ucisk w gardle. - Ja tylko... myślałam, że go tu zastanę. - Nienawidziła drżenia swego głosu. - Przecież musi pan wiedzieć, gdzie go szukać - dodała, kręcąc głową.

Opuścił rękę.

- Nie - odparł cicho.

- Nie wierzę. - Uniosła głowę, połykając łzy. - Może pan chyba coś zrobić.

Milczał, a jego myśli stanowiły dla niej zupełną tajemnicę. W końcu spojrzął na nią z kamienną twarzą.

- Proszę - szepnęła, wyciągając lekko dłoń. - Jestem tutaj zupełnie sama. Nie mam... nie mam do kogo się zwrócić. Na pewno istnieje jakiś sposób, by go znaleźć. - Popatrzyła na niego błagalnie. Czy mogę na pana liczyć? Pomoże mi pan?

Milczenie trwało wieki. Dziewczyna zaczęła wyłamywać sobie palce, ale nie opuściła wzroku. Serce biło jej coraz mocniej, bo widziała, jak Morgan zaciska usta i pochmurnieje.

Toteż jego odpowiedź wprawiła ją w zdumienie.

- Znam... pewnego człowieka - zaczaj wolno. - Niczego nie jestem w stanie pani obiecać - ciągnął - ale przynajmniej spróbuję.

Elisabeth rozchyliła usta. Dobry Boże! O nic więcej nie mogła prosić!

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję. - Potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić myśli. - Tymczasem nie będę nadużywać pańskiej gościnności. Poszukam sobie jakiegoś lokum do czasu jego powrotu.

- Nie ma takiej potrzeby - uciął. - Szczególnie biorąc pod uwagę pani sytuację materialną.

Splónęła rumieńcem i zaczęła się zastanawiać, czy Morgan celowo wprawia ją w zakłopotanie. Odezwało się w niej jednak poczucie godności, które pielegnowała teraz jak najcenniejszy skarb.

- Mam trochę pieniędzy - powiedziała cicho. - Niewiele, ale wystarczająco dużo, by...

- Nonsens. Przyszła żona Nathaniela w hotelu? Nie. Może pani zostać tak długo, jak pani zechce. Stanowczo nalegam.

Znów wydał się jej zimny i odległy. Patrzyła, jak okrąża biurko, po czym siada w fotelu. Nie chciała się od niego uzależniać, ale prawda była taka, że starczyłoby jej na opłacenie zaledwie paru noclegów.

- Jestem panu szalenie wdzięczna - powiedziała wolno - ale czuję się już dobrze i chyba niewłaściwe jest, żebym ... - zająknęła się - żebyśmy... - Urwała, niezdolna dokończyć.

Ku jej zdumieniu szorstko się roześmiał.

- Przecież ci kochani bostończycy niczego innego się po mnie nie spodziewają! Niech diabli wezmą konwenanse! Wszystko zostało już ustalone i nie zamierzam dłużej o tym rozmawiać.

Elisabeth zawahała się. Nie to martwiło ją najbardziej.

- Nie zamierzam podejmować dyskusji, ale już i tak jestem pańską dłużniczką i nie chcę...

- Na miłość boską - powiedział opryskliwie - n i c mi pani nie zawdzięcza, ale jeśli tak się pani upiera, mogę panią wykorzystać.

Elisabeth zamrugała oczami. Tego najmniej się spodziewała,

choć pamiętała przecież, że Morgan O'Connor jest młodym, przystojnym kawalerem, mężczyzną, który z pewnością interesuje się przedstawicielkami płci przeciwnej.

- Jak... jak mam to rozumieć? '

Nie zdawała sobie sprawy, że Morgan czyta w niej jak w otwartej księdze.

- Boże! - wykrzyknął niecierpliwie. - Nie jest pani w moim typie, więc proszę na mnie nie patrzeć tak, jakbym w zamian za gościnę oczekiwał, że odda mi pani swoje ciało. Proponuję pani zupełnie inny układ. Simmons bardzo się ostatnio postarzał i choć nigdy by się do tego nie przyznał, nie daje sobie rady tak dobrze, jak kiedyś. Proszę tylko, by pomogła mu pani w prowadzeniu domu - planowała posiłki, doglądała pokojówek i tak dalej. Rozumiemy się?

Elisabeth pokraśniała. Nagle poczuła się urażona, choć nie bardzo rozumiała, dlaczego.

- Tak - wyjąkała.

- A więc umowa stoi?

Pokiwała niepewnie głową. Nic innego jej zresztą nie pozostało.

Odsunął krzesło od biurka. Sięgnął do szuflady i położył na blacie stertę papierów. Elisabeth zrozumiała, że przestała go interesować.

Wstała, zebrała fałdy sukni i wyszła szybko z gabinetu. W holu przystanęła na chwilę, by oprzeć się o ścianę. Roześmiała się nerwowo. Jakże była głupia sądząc, że podoba się Morganowi, który zechce wykorzystać sprzyjające okoliczności.

Ale warto było wejść do jaskini lwa - O'Connor obiecał przecież, że wyśle kogoś na poszukiwania. Dlaczego tak postanowił - nie miała pojęcia, lecz ten mężczyzna od początku stanowił dla niej zagadkę. Mogłaby jedynie przysiąc, że wcale nie jest zachwycony perspektywą powrotu brata. Zastanawiała się, dlaczego Morgan tak bardzo nie lubi Nathaniela, jednak mimo wszystko odczuła ulgę. Ustąpił wobec jej próśb - i niczego więcej nie mogła od niego wymagać.

Pozostało jedynie czekać i mieć nadzieję...

I modlić się, by Nathaniel jak najszybciej się odnalazł.

## Rozdział piąty

Dużo później Morgan nadal siedział przy biurku, pogrążony w mroku.

Boże - jakim był głupcem!

Przeklinał zarówno siebie, jak Elisabeth Stanton. Uległ słabości, było mu jej żal. Jednak to właśnie ona wywołała lawinę bolesnych wspomnień, za co niemal ją znienawidził.

Chryste - myślał ponuro. - Gdyby ona wiedziała... Jakże mogła być tak ślepa? Z drugiej strony Nathaniel potrafił czarować - przypomniał sobie z goryczą. - Zwłaszcza kobiety.

Poczuł niemiłe ukłucie winy. Nie lubił kłamać. I w zasadzie nie skłamał.

Jednak nie powiedział również całej prawdy. Istotnie, nie wiedział, gdzie przebywa jego brat. Ale nie miał żadnych wątpliwości co do tego, że odnajdzie go w ramionach ostatniej kochanki. I co by na to powiedziała lady Elisabeth?

Stanęła mu przed oczami tak wyraźnie, jak przed paroma godzinami. Bezbronna, patrząca na niego błagalnie... Ze łzami w oczach jak szmaragdy. A te łzy musiały ją kosztować wiele dumy.

Nie powinien był się tym przejmować. I wcale się nie przejął. Ale i tak popełnił głupstwo. Złożył obietnicę i musiał jej dotrzymać.

Następnego ranka wynajął detektywa o nazwisku Evans, który natychmiast wyruszył na poszukiwania.

Morgan jednak miał nadzieję, że łaps wróci z niczym.

0 Elisabeth postanowił więcej nie myśleć, co - jak się wkrótce przekonał - okazało się zadaniem niemożliwym do wykonania.

Mijały dni, tydzień gonił tydzień i rozpoczynał się kolejny miesiąc.

Obecność Elisabeth w jego domu - w jego życiu! - burzyła mu spokój. Był tak głęboko świadom istnienia tej kobiety, że nie mógł dojść ze sobą do ładu. Coraz dłużej przebywał poza domem, widywał ją rzadko. Im bardziej jednak starał się usuwać ją z pamięci, tym więcej o niej myślał. Czasem słyszał tylko szelest jej sukni czy jej westchnienie, czasem wyczuwał zapach kobiecych perfum. I te oczy - ogromne, błyszczące, zielone, w których zawsze na jego widok pojawiał się niepokój, co strasznie go zresztą irytowało.

Na miłość boską! Gdzież ten Nat ją znalazł?

Podejrzewał, że dziewczyna go unika - często jadła kolacje u siebie w pokoju lub udawała się na spoczynek przed jego powrotem. Morgan dostrzegał jednak wpływ, jaki zdążyła już wyrzucić na jego dom. Posiłki były zawsze gorące i bardziej urozmaicone. Kiedyś na meblach i dywanach widywał nieraz cienką warstwę kurzu, teraz już nigdy się to nie zdarzało. Simmons na szczęście nie miał nic przeciwko takiej pomocnicy. Morgan odnosił wręcz wrażenie, że bardzo ją lubi.

I to właśnie Simmons powiedział mu, że Stephen stał się nader częstym gościem w jego domu. Elisabeth spędzała z nim wiele czasu, co Morgana złościło, choć nie potrafiłby dokładnie wytłumaczyć przyczyn takiego właśnie stanu rzeczy.

Cały czas żywił jednak głęboką nadzieję, że Evans nie zdoła znaleźć Nathaniela.

Krzepki, przysadzisty mężczyzna uchylił kapelusza, gdy sekretarz Morgana wprowadził go do gabinetu.

- Przepraszam za to najście - zaczął - ale sądziłem, że zainteresują pana moje najnowsze odkrycia.

- Oczywiście. - Morgan wskazał mu krzesło i wrócił na swoje miejsce za biurkiem. - No więc jak, panie Evans? - spytał, gdy mężczyzna już usiadł. - Znalazł pan mego brata?

Evans skinął energicznie głową.

- W istocie, sir. Tak. Znalazłem. Na początku roku mieszkał

w Pittsburgu, a potem przeniósł się do Filadelfii. - Uśmiechnął się znacząco. - Spotkał tam pewną uroczą wdowę z Nowego Jorku.

Morgan unióśł brwi.

- Rozumiem. A gdzie jest teraz? Właśnie w Nowym Jorku? Evans przestał się uśmiechać. Miał bardzo zdziwioną minę.

- A więc wiedział pan o tym przez cały czas?

Morgan uśmiechnął się szyderczo.

- Nie, ale wiem, jak mój brat postępuje w podobnych sytuacjach. Ta wdowa jest pewnie bardzo bogata.

Evans wzniośł oczy ku górze.

- O tak - potwierdził. - Daj Boże każdemu!

- Mniemam, że mój brat zdążył już nieco uszczuplić jej majątek?

Evans znowu zaczął się uśmiechać.

- Z tego, co widziałem, krawcy mają pełne ręce roboty. A w zeszłym tygodniu pan O'Connor nabył parę rumaków czystej krwi. Zapłacił za nie więcej niż inni są w stanie zarobić przez całe życie.

Oczywiście - pomyślał Morgan z pogardą. - Nathaniel zawsze uwielbiał wydawać cudze pieniądze.

W oczach Evansa pojawił się błysk.

- Zaprzyjaźniłem się z jedną z pokojówek. Opowiedziała mi parę historyjek o tym, jak to pan Nathaniel nie daje wdowie czasu na żałobę, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

Morgan nie miał wątpliwości. Wiedział, że Nat i ta kobieta zostali kochankami. Jego brat był mistrzem w żerowaniu na ludzkich uczuciach. On sam miał okazję się o tym przekonać.

Powędrował myślami do Elisabeth i doznał nagle dziwnego ucisku w żołądku. Zaczaj się zastanawiać, ile miłosnych schadzek musiała odbyć z jego bratem. Nie mógł jej jednak winić o to, że uległa urokowi Nata. Dziwna natomiast była jej wiara w szlachetność jego intencji.

Morgan popatrzył ponownie na krępego mężczyznę.

- Mam nadzieję, że nie zdradził pan memu bratu swojej obecności i nie wzbudził jego podejrzeń.

- Skądże - odparł szybko Evans. - Natychmiast przyjechałem do Bostonu, tak, jak mi pan kazał.

- Dobrze - Morgan uderzył lekko w blat biurka, po czym wstał i wyciągnął rękę do Evansa. - Dzięki za pomoc. Wydam odpowiednie dyspozycje w banku.

Evans sięgnął po kapelusz.

- Nie chce pan, żebym wrócił do Nowego Yorku i ściągnął go tutaj?

Zawahał się przez chwilę.

- Nie, to nie będzie konieczne.

Odprowadził Evansa do drzwi, po czym wolno je zamknął. Zastanawiał się przez chwilę, czy aby nie popełnił błędu... Być może powinien był nakazać Evansowi, by przywiózł Nathaniela do Bostonu... W końcu nie był nic winien Elisabeth Stanton. Cóż to miało dla niego za znaczenie, że Nathaniel wpadnie prosto w jej ramiona w chwilę po wyjściu z łóżka dziwki?

Ale nie mógłby zrobić tej dziewczynie czegoś takiego. Lepiej dla niej było, by nie wiedziała, gdzie Nathaniel przebywa, a już tym bardziej, co robi.

Tak - pomyślał. Nie istnieje żadne lepsze wyjście. Im szybciej ona wyjedzie, tym będzie lepiej dla wszystkich. Pozostało mu jedynie przekonać tę damę, by wsiadła na statek płynący do Anglii.

Wrócił do domu pogrążony w zadumie. Kiedy Simmons odebrał od niego płaszcz i kapelusz, do jego uszu dotarł najpierw kobiecy, a później męski śmiech.

- Stephen? - zapytał.

Simmons skinął głową,

- Tak, sir. Pan doktor jest w salonie. Rozmawia z panią.

Tam właśnie Morgan skierował natychmiast swe kroki. Oboje siedzieli blisko siebie na sofie, ale nie dotykali się. Stephen pokazywał coś Elisabeth na rozłożonej między nimi mapie. Stykały się tylko ich czoła. Morgan stanął w progu, czując się jak intruz. Żadne z nich nie zauważyło jego obecności.

- Przepraszam - powiedział.

Natychmiast odwrócili głowy. Morganowi wydawało się przez chwilę, że w oczach Elisabeth pojawił się strach, ale wrażenie to szybko minęło.

Stephen natomiast był wyraźnie skonfundowany.

- Morgan! - wykrzyknął. - Zwykle siedzisz w biurze do późnego wieczora!

- Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na próżnowanie - odparł chłodno O'Connor.

- Przyjmuję z pokorą tę reprimendę - zaśmiał się Stephen.

Rzeczywiście, wyszedłem wcześniej z gabinetu. Ale miałem ku temu istotny powód. Udzielałem Elisabeth lekcji historii. Opowiadałem jej miejscowe legendy o piratach, złodziejach i rozbójnikach, którzy zawiśli później na szubienicy. A poza tym pomyślałem, że ona od przyjazdu ani razu nie wyszła z domu, więc zaproponowałem jej przejażdżkę po okolicy.

- Nie teraz. - Morgan popatrzył na dziewczynę. - Chciałbym porozmawiać z panią w gabinecie, Elisabeth. Proszę tam na mnie poczekać.

- Oczywiście. - Wstała, zebrała spódnicę i uśmiechnęła się do Stephena. - Dziękuję za cudowne popołudnie. - Zaszleściła fałdami sukni i znikła im z oczu.

- No, no - powiedział Stephen, gdy zostali już sami. - Można by pomyśleć, że jesteście małżeństwem.

Morgan zacisnął zęby.

- Nie wiem, o ci chodzi - odparł krótko. - Choć, być może, powinienem ci przypomnieć, że ta dama jest już zaręczona.

Stephen uniósł brwi.

- Intrygujesz mnie, przyjacielu.

- Czyżby? Dlaczego?

- Szczerze mówiąc dziwi mnie to, że tak dbasz o interesy swego brata.

Morgan niemal zgrzytnął zębami ze złości. Przecież wcale nie miał takiego zamiaru. W takim razie... jaki? Nie wiedział i bał się doszukiwać odpowiedzi.

- Właściwie - ciągnął pogodnie Stephen - zastanawiałem się nawet, czy ta dziewczyna przypadkiem nie wpadła ci w oko.

O'Connor zbył tę uwagę milczeniem. Nawet się nie uśmiechnął.

- Nie widziałbym w tym nic niezwykłego. Przecież jest na co popatrzeć, nie sądzisz?

- Rzeczywiście - wycedził przez zęby Morgan.

- Ale masz rację - westchnął Stephen. - Ona nie należy do żadnego z nas. - Umilkł i zamyślił się na chwilę. - Zresztą nie mogę sobie jej wyobrazić u swego boku. A już tym bardziej u boku Nathaniela - dodał szybko. - Pomyśl tylko! Twój brat i angielska arystokratka! - Roześmiał się pogardliwie. - Wasz

związek natomiast byłby po prostu niedorzeczny, nie sądzisz? Wręcz śmieszny!

Morgan spojrział na niego ponuro.

- Nie? No, dobrze. - Stephen rozkrzyżował nogi i wstał. - A tak na marginesie... Rzadko się ostatnio widzimy, więc nie miałem okazji ci o tym powiedzieć, ale wydaję jutro bal. Pomyślałem, że Elisabeth potrzebuje rozrywki. Poza tym należałoby ją wprowadzić do towarzystwa. Nie martw się. Nie zdradzę, że ona u ciebie mieszka. Zamierzałem ją przedstawić jako swoją daleką kuzynkę. Urządę to w ten sposób, że przybędzie pierwsza, a wyjdzie ostatnia. No, na mnie już czas - dodał, nim Morgan zdążył zareagować. - Nie wołaj Simmonsa. Sam trafię do wyjścia - zakończył z pożegnalnym gestem dłoni.

Gdy za Stephenem zamykały się drzwi, Morgan był już w połowie drogi do gabinetu. Zanim jednak wszedł do środka, odszukał wzrokiem Elisabeth. Siedziała tyłem do niego na krześle z niskim oparciem, nieruchoma jak posąg, ze spuszczoną głową. Włosy miała upięte w koronę, ale kilka krótszych loczków wiło się wdzięcznie na karku.

Morgan nie wiedział, co zatrzymało go przy drzwiach. Stał jednak na progu, wbijając wzrok w delikatny zarys jej szyi i w nagi, ponętny kark. Wiedział instynktownie, że jej skóra w tym miejscu jest na pewno gładka i miękka. Nagle odczuł gniew na samego siebie. Jakże to głupie myśleć w ten sposób o narzeczonej własnego brata! Obrażliwe podejrzenia znalazły uzasadnienie. A przecież Elisabeth Stanton wcale mu się nie podobała.

W końcu podszedł do niej, a gdy usiadł za biurkiem, poczuł na sobie jej wzrok.

Wpatrywała się w niego w napięciu.

- Chciał pan rozmawiać ze mną o Nathanielu, prawda? - spytała bez tchu. - Dowiedział się pan czegoś?

Zawahał się.

- Detektyw, którego wynająłem, wrócił z niczym. Przeszukał całe Wschodnie Wybrzeże, ale nie trafił na żaden ślad. Z tego, co wiem, mój brat wyjechał stąd na dobre.

Posmutniała. Miał wrażenie, że opadły z niej wszystkie siły i przez chwilę nienawidził samego siebie.

- Czy nie mógłby pan kontynuować poszu... nie, oczywiście,

że nie. - Usłyszał jej urywany oddech. - Przykro mi. Twierdził pan jednak, że on w końcu kiedyś wróci...

- To może nastąpić za rok. Albo nawet za dziesięć lat.

Uniknęła jego spojrzenia i zrozumiał, że próbuje odzyskać panowanie nad sobą.

- Jestem panu naprawdę szczerze wdzięczna za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

Mam na imię Morgan - krzyczał w duchu. - Morgan!

- Teraz już chyba pani widzi, że nie ma sensu czekać. Proszę wracać do ojca. Niech pani ...

- Nie mogę. - W jej głosie wyraźnie zabrzmiała rozpacz. Wyłamywała sobie palce. - Nie rozumie pan? Nie mogę!

- Nie, naprawdę nie rozumiem.

- On nie żyje. Umarł na dwa tygodnie przed moim wyjazdem.

Teraz on odwrócił wzrok. Swym bolesnym wyznaniem sprawiła, że poczuł się jak największy głupiec na świecie.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem sprawić pani przykrości.

- Oczywiście. Przecież nie mógł pan wiedzieć. Nigdy o tym panu nie mówiłam.

Morgan zmarszczył brwi.

- Strasznie pani zbladła. Napije się pani koniaku?

- Tak, proszę.

Wstał, by nalać solidną porcję alkoholu do kryształowego kieliszka. Gdy jej go podawał, ich palce zetknęły się i poczuł, że są zimne jak lód.

Przy pierwszym łyku zakrztusiła się. W jej oczach stanęły łzy i zakasłała.

Morgan uśmiechnął się słabo.

- Proszę pić wolno. To mocny trunek. Pali gardło.

Przycupnął na brzegu biurka, krzyżując ręce na brzuchu i wyciągając przed siebie nogi. Patrzył, jak Elisabeth posłusznie wykonuje jego zalecenia, raz po raz unosząc kieliszek do ust. Wreszcie na policzkach dziewczyny pojawiły się rumieńce. Zanim jednak zdecydował się przemówić, zczekał, by całkowicie odzyskała równowagę.

- Trochę się w tym wszystkim pogubiłem. Mówiła pani, że ojciec panią wydziedziczył. Dlaczego tak postąpił?

- Ach nie, to nie on - powiedziała szybko. - To jego żona.  
 - Żona? Czyli pani matka?  
 Wykrzywiła pełne usta.  
 - Ależ skąd. Mama umarła, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Wydziedziczyła mnie macocha. W swej ostatniej woli papa pozostawił jej prawie cały majątek. Ale Hayden Park, nasza wiejska posiadłość w hrabstwie Kent, miał przypaść w udziale mnie, w charakterze posagu. Nie wiem dlaczego, ale ojciec wyraził życzenie, by to Clarissa znalazła mi męża.  
 Morgan zmarszczył brwi.  
 - A co z Nathanielem?  
 Pociemniały jej oczy.  
 - Cóż, nie zdążyłam powiedzieć ojcu o jego oświadczeniach. Papa był już wtedy bardzo chory i umarł, zanim zdecydowałam się z nim porozmawiać. A po jego śmierci Clarissa chciała mnie wydać za lorda Harry'ego Carltona. - Wzdrygnęła się. - Cóż za okropny człowiek! Może to zabrzmiało absurdalnie, ale gdy on na mnie patrzył, miałam wrażenie, że pożera mnie oczami.  
 Morgan powiódł wzrokiem po jej ustach i smukłej szyi, dochodząc do wniosku, że wcale się lordowi nie dziwi. Słuchał jej jednak nadal w milczeniu, choć już się domyślał, co zaszło.  
 - A ja nie potrzebowałam pomocy Clarissy - ciągnęła Elisabeth. - Sama znalazłam sobie męża. Ale ona nie chciała zaakceptować Nathaniela. Kiedy zaś oświadczyłam, że nie wyjdę za Harry'ego - wydziedziczyła mnie.  
 Wygięła dolną wargę w podkówkę, a Morgan z trudnością powstrzymał się od śmiechu. Elisabeth przypominała mu w tej chwili do złudzenia nadąsane, uparte dziecko, któremu nie udało się postawić na swoim.  
 Wpatrywała się ze zmarszczonymi brwiami w pusty kieliszek. Nagle podsunęła go Morganowi.  
 - Czy mogłabym prosić o jeszcze?  
 Morgan sięgnął posłusznie po karafkę. Ale gdy podawał jej kieliszek, dostrzegł, że dziewczyna marszczy czoło.  
 - Pan się nie napije?  
 - Ja prawie nigdy nie piję - odmówił grzecznie.  
 - Papa mawiał, że nie zna mężczyzny, który wzgardziłby dobrym portwajnem.  
 Morgan pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Zapewne, ale mój własny ojciec nieco z tym przesadzał i dlatego też już we wczesnej młodości postanowiłem nie popełnić tego samego błędu. - Urwał. - Nathaniel nie rozmawiał z panią o naszej rodzinie?

Potrząsnęła głową.

- Mówił głównie, dokąd jeździł, a także czym się zajmował. Opowiadał również o swoim domu i budowie okrętów. - Urwała gwałtownie, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co powiedziała. - To znaczy o pańskim domu i pańskiej firmie. Nawet nie wiedziałam, że on w ogóle ma brata.

Morgan nie odezwał się, no bo cóż miał powiedzieć? To, że Nathaniel chciał za wszelką cenę dodać sobie splendoru, wcale go nie zdziwiło...

- W jaki sposób się poznaliście? - zapytał trochę jakby wbrew sobie, po dłuższej chwili wahania.

- Podczas przyjęcia w ogrodzie wydanego przez córkę znajomych ojca. - Westchnęła. - Zrobił na mnie ogromne wrażenie. Słyszałam zresztą wiele o Nathanielu, zanim jeszcze go poznałam. Mówił o nim cały Londyn - był taki przystojny, czarujący, błyskotliwy. Nie pomyślę się, jeśli powiem, że zawrócił w głowie wszystkim młodym damom.

Morgan zeszytniał. Nie chciał słuchać opowieści na temat podbojów miłosnych swego brata.

Ale Elisabeth zdawała się tego nie dostrzegać.

- Na początku nie mogłam uwierzyć, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę - ciągnęła. - Na mnie, wyobraża pan sobie? Przecież zawsze byłam raczej prowincjonalną myszką niż londyńską panną

O'Connor zdumiał się niepomierne. Czyżby ona naprawdę nie zdawała sobie sprawy ze swej urody? Nietypowej, to prawda. Ale tak czy inaczej Elisabeth Stanton była prawdziwą pięknoscią.

Urwała i popatrzyła smętnie na karafkę.

- O mój Boże - westchnęła. - Chyba powinnam wypić jeszcze trochę koniaku - powiedziała i podsunęła Morganowi kieliszek.

Morgan nawet nie drgnął. Jej głos brzmiał jakoś inaczej, co natychmiast obudziło jego czujność. Czyżby Elisabeth Stanton była...

- Widzę, że się pan leni. Trudno. W takim razie sama sobie naleję.

Wstała, ale straciła równowagę i z pewnością by upadła, gdyby Morgan błyskawicznie jej nie podtrzymał. Wtedy przyjrzał się dziewczynie uważniej. Nie, nie pomylił się. Ta dziewczyna była pijana! Boże, co za szkoda, że nie mógł się rozśmiać. Czuł jednak tylko ciepło jej miękkiego ciała i wypukłość piersi na swoim torsie.

Gdy znów stanęła prosto, puścił ją i cofnął się.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Mój Boże, jak ja się dziwnie czuję. Czy może mi pan podać kieliszek?

- Nie ma mowy - odparł stanowczo. - Dosyć.

Przestała się uśmiechać. Wyglądała tak, jakby otrzymała potężny cios. Jej usta zaczęły drżeć niebezpiecznie.

- Nienawidzi mnie pan, prawda?

Morgan, zmieszany, rozłożył szeroko ręce.

- Ależ skąd!

- Właśnie, że tak. Nienawidzi mnie pan. Zupełnie tak samo, jak Nathaniel.

- Nathaniel również nie...

Nagle Elisabeth rozpłakała się.

- Właśnie, że mnie nienawidzi. I on wcale nie zamierza wrócić. Ach, co za łajdak! A ja mu wierzyłam! Byłam pewna, że chce mnie poślubić! Teraz już wszystko stracone!

Morgan nie mógł znieść kobiecych łez i zaczął myśleć gorączkowo, jak ją pocieszyć.

- Została pani wystawiona do wiatru. Nie pani pierwsza. I niestety, nie ostatnia.

Nie zwróciła na niego uwagi, ukryła tylko twarz w dłoniach i rozpłakała się jeszcze rzewniej.

Morgan poruszał nerwowo rękami i przełykał ślinę.

Sądził, że ma już za sobą takie doznania. Jednakże jakiś głos szeptał mu do ucha, iż kiedyś był zdolny do tkliwości, do współczucia. Wszystko to jednak utracił za sprawą Amelii. Nie zamierzał nikomu ufać, a już na pewno żadnej kobiecie.

Jednak teraz miał takie wrażenie, jakby ktoś wbijał mu nóż w serce. Dlatego postanowił walczyć.

Otoczył ją wolno i niepewnie ramionami. Elisabeth jednak

zareagowała natychmiast - położyła mu głowę na piersi i wczepiła się w klapy marynarki. Logicznie biorąc, nie powinna była Hukaż ukojenia w jego ramionach, a jednak je znalazła. Morganowi było jej bardzo żal.

Btyć może dlatego, że oboje padli ofiarą Nathaniela.

Pogładził ją delikatnie po plecach.

Nie trzeba płakać. Jutro wszystko będzie wyglądało inaczej. Na pewno.

()parła mu głowę na piersi i rozszlochała się. Gorące łzy zaczęły skapywać mu na klapy surduta. Morgan przestał się wahać - porwał Elisabeth na ręce i zaniósł ją po schodach na górę.

Tam postawił ją na podłodze.

- Czas do łóżka - powiedział.

Ale ona nawet się nie poruszyła. Stała jak sparaliżowana, wciąż łkając żałośnie. Morgan począł rozpinać tysiące haftek na plecach jej sukni. Oczekiwał, że w każdej chwili dziewczyna może odskoczyć gwałtownie, oburzona jego śmiałością. Ale ona odwróciła się tylko bezszelestnie, gdy dotknął delikatnie jej ramienia.

Wstrzymując oddech Morgan opuścił jej suknię i pozwolił, by spadła na podłogę. Następnie uwolnił ją z hulek, pończoch i pantofli, po czym powymował szpilki podtrzymujące fryzurę. Złota kaskada opłótła mu dłonie.

Serce waliło mu jak młotem, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Rozebrawszy Elisabeth do samej bielizny, uchylił kapę i pomógł jej wejść do łóżka. Posłusznie, w milczeniu, wślizgnęła się pod kołdrę.

Nie odrywała jednak ogromnych, lśniących wciąż od łez oczu od jego twarzy, wpatrując się w niego pytająco.

Zgasił świecę i usiadł na łóżku, ale jej nie dotknął.

- O co chodzi? - spytał.

- Nie jest pan podobny do Nathaniela. On się często uśmiecha. Pan nigdy. - Uniosła dłoń i delikatnie powiodła palcem po jego zaciśniętych wargach.

Morgan nawet się nie poruszył.

- Nie - z trudem odrzekł, wydobywając z siebie głos.

Znieruchomiała.

- Dlaczego?

W jej włosach błysnęło światło księżyca. Mieniły się całe od srebrzysto-złoty promieni. Morgan odetchnął głęboko.

- Bo nie dotrzymam warunków umowy.
- Jak to?
- Tak - szepnął, pochylając głowę.

Otoczył wargami jej usta. Usłyszał, jak wstrzymuje oddech, ale się nie wycofał. Dobry Boże - pomyślał. Ogarnęła go ogromna radość. Jakaż ona była słodka! I kusiła go. Pod cienką bawełną kołdry dostrzegł zarys jej długich, niezwykle smukłych nóg. Wyobraział sobie, jak zaciska mu je na biodrach, a on wbija się w nią głęboko, do końca.

Teraz już wiedział, dlaczego nie odesłał jej do domu zaraz pierwszego dnia. Nie mógł się już dłużej okłamywać. Stephen miał rację. Ta dziewczyna zrobiła na nim wrażenie. Pociągała go jej słodycz, jej młodość.

Palił się w niej ogień. Wyczuł to natychmiast, gdy przywarła do jego ust. Ale Amelia była podobna. Zniewoliła go swoim temperamentem, radością życia.

Oddychał szybko i ciężko. I wtedy zrozumiał... On jej pragnął. Pragnął lady Elisabeth Stanton tak, jak już dawno nie pożył żadnej kobiety.

Od czasów Amelii.

Dlaczego? Wciąż zadawał sobie w myślach to pytanie. Ponieważ ta kobieta należała do Nata? Dlatego, że w jakiś dziwny sposób chciał wyrównać z nim rachunki? Nie. Z pewnością nie. Chodziło o coś więcej. Pożądanie sprawiło, iż stwardniał jak skała, gotów był wybuchnąć. Ale nie chciał odczuwać takiej namiętności w stosunku do żadnej kobiety. A już na pewno nie wobec tej. Przecież ona była narzeczoną Nata. Elisabeth Stanton należała do niego.

Lecz bitwa już została przegrana. Wkroczył na niebezpieczną ścieżkę. Był bliski szaleństwa. Skazał się na wieczne potępienie.

Nic go to jednak nie obchodziło. Liczył się tylko żar krwi. Umierał z pragnienia, by zanurzyć się głęboko w jej ciele.

Wpijał się łakomie w jej usta, jakby nie mógł się nasycić ich słodyczą. Wygięła ciało w łuk i poddała się pieszczocie. Byli dla siebie stworzeni. Niezdolny, by panować nad sobą dłużej, powiodł palcami po sznurówce gorsetu, a następnie wsunął je głębiej, by wyczuć cudowną miękkość jej ciała. Nakrył dłonią

„sprężystą, pełną pierś. Wyczuł, jak jej koniuszek twardnieje pod wpływem pieszczoty. Upajał się przyspieszonym oddechem dziewczyny.

Wydał głośny jęk i przerwał pocałunek, lecz tylko po to, by przyciągnąć ją jeszcze bliżej. Zarzuciła mu ręce na szyję i uśmiechnęła się słabo.

Nathaniel - westchnęła. - Nathaniel...

Dźwięk tego imienia podziałał na niego jak lodowato zimna morska fala. W mgnieniu oka zerwał się z łóżka.

Elisabeth otworzyła oczy i popatrzyła na niego nieprzytom-

- Śpij - powiedział ochrypłym głosem. - Spij, Elisabeth. Przymknęła powieki, a po chwili oddychała już równo i spokojnie.

Lecz Morgan wiedział, że jemu nieprędko uda się zasnąć. Stał przy łóżku, zaciskając pięści.

Zrozumiał, że podjął słuszną decyzję. Ta dziewczyna musiała wyjechać. Im szybciej, tym lepiej.



## Rozdział szósty

Elisabeth obudziła się ze strasznym bólem głowy. Dręczyło ją nieznośne pragnienie i dziwne uczucie, że wydarzyło się coś, o czym powinna pamiętać. Mimo usilnych prób przypomnienia sobie tego czegoś pamiętała jednak tylko okropny sen, w którym Morgan O'Connor ją całował, a potem położył się na łóżku i dotykał jej ciała... jej nagiej piersi. Nie, nie. To był na szczęście tylko sen. Koszmarny sen.

Nathaniel... Na samą myśl o nim poczuła dziwną pustkę w sercu. Zaryzykowała Głupio i niepotrzebnie, bo wszystko przegrała. Mimo głębokiego żalu, jaki miała do niego, nie wylała ani jednej łzy. Co dziwniejsze, nie pograżyła się wcale w rozpacz.

Na dole pojawiła się dopiero po południu. Natychmiast zmówiła dziękczynną modlitwę, bo okazało się, że Morgan, jak zwykle, poszedł do biura. Gdy Simmons zauważył, że bardzo przybladła, zdobyła się tylko na słaby uśmiech.

- Byłbym zapomniiał. Doktor Marks przyśle po panią powóz punktualnie o szóstej, lady Elisabeth...

Bal u Stephena! Dobry Boże! Kompletnie o tym zapomniiała! W pierwszej chwili postanowiła, że usprawiedliwi swą nieobecność złym samopoczuciem, gdyż zupełnie nie miała ochoty na huczne przyjęcie. Jednakże Stephen tak troskliwie się nią opiekował, poświęcił jej tyle serdecznej uwagi... Jedyne on starał się dostarczyć jej trochę rozrywki. Nie mogła mu sprawić zawodu.

Resztę popołudnia spędziła na pospiesznych przygotowaniach.

Na szczęście przywiozła do Bostonu swą ukochaną kreację balową z koronek i atlasu. Mimo głębokiego dekoltu, był to strój klasyczny i niezwykle elegancki. Oczywiście, suknia wymagała prasowania. A włosy... Annie, pokojówka z górnego piętra, pożyła jej na ratunek i upięła je w lśniący węzeł z tyłu głowy.

Stephen przyjechał po nią osobiście. Gdy Elisabeth zeszła ze schodów, oczy rozbłysły mu w niemym zachwycie, a dziewczyna ucieszyła się, że podjęła słuszną decyzję.

Dziękowała też losowi za to, że Morgan nie wrócił jeszcze biura.

Od samego początku zanosilo się na wspaniałe przyjęcie. Dom Stephena był równie wystawny jak rezydencja Morgana, a może nawet jeszcze wystawniejszy. Zdawał się płonąć od blasku tysięcy świec. Kiedy Stephen przedstawiał ją gościom, poczuła, że bawi się lepiej, niż mogła się była spodziewać. Śmiała się i cieszyła tak bardzo, że nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przecież powinna była rozpaczać! Niemniej jednak spotkało ją tak ciepłe przyjęcie, że musiała tę serdeczność odwzajemnić. Została sama dopiero wówczas, gdy jej partner odszedł na chwilę, by przynieść kieliszek wina.

Wtedy ktoś delikatnie dotknął jej ramienia. Był to Morgan.

I choć miał na sobie elegancki strój wieczorowy, emanowała z niego aura tak surowej męskości, jakiej nie dostrzegła u żadnego ze swych dotychczasowych adoratorów.

Zaparło jej dech w piersiach. Spowił ich obłok rozedrganego napięcia. Elisabeth zaczęła się bać. Lękała się Morgana, choć nic w pełni rozumiała, dlaczego.

- Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną walca?

Chciała odmówić. Powinna była odmówić. Ale zabrakło jej słów, a Morgan wziął milczenie dziewczyny za zgodę i poprowadził ją na parkiet.

- Mam nadzieję, że Stephen trzyma panią z dala od brandy I mruknął.

Popatrzyła mu w oczy i ku swemu zdziwieniu nie odnalazła w nich pretensji ani złośliwości.

- Jak się pani czuje?

- Lepiej niż rano - odpaliła.

Uśmiechnął się, a ona spąsowiała.

Znow zaczęło ją dręczyć jakieś mgliste wspomnienie. Oczami

wyobraźni ujrzała jego wargi na swoich ustach... To tylko sen - uspokajała samą siebie. - Tylko sen.

Bliskość Morgana obezwładniała ją. Było w tej bliskości coś znajomego i niepokojącego jednocześnie. A on przycisnął ją tak mocno, że wyczuwała wyraźnie jego szeroki, twardy tors. W miejscu, gdzie ją dotykał, skóra paliła jak ogień.

Serce zabiło jej szybciej. Przełknęła ślinę.

- Muszę prosić pana o przysługę - szepnęła. - Wiem, że ma pan rację i że nie mogę już liczyć na Nathaniela. I choć to zupełnie niestosowne, chciałabym skorzystać jeszcze przez pewien czas z pana gościnności. Ale nie wrócę do Londynu i nie poślubię lorda Harry'ego.

Uniośł pytająco brwi.

- W takim razie, co pani zamierza?  
- Zostanę tutaj.  
- Tutaj? W Bostonie?  
- Tak - odparła, modląc się w duchu, by nie wyczuł przerażenia w jej głosie. - Odebrałam doskonałe wykształcenie. Sądzę, że mogłabym się wystarać o posadę guwernantki.  
- Pani? Córka hrabiego guwernantką? - spytał z powątpiewaniem.

Elisabeth uniosła dumnie podbródek gotowa bronić swych racji.

- A dlaczegoż by nie? Mogę robić wszystko - nawet szorować podłogi, jeśli zajdzie taka potrzeba. Na pewno jednak nie wrócę do Anglii.

Nie wyrzekł ani słowa, przesywał ją tylko na wskroś swymi szarymi oczyma, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Elisabeth miałaby ochotę krzyczeć z bezsilnej wściekłości. Gdyby tak potrafiła wnikać w głąb jego duszy!

- Oczywiście, że może pani zostać - powiedział w końcu z lekkim uśmiechem. - Choć obawiam się jednak, że ludzie wezmą nas na języki, zanim zorganizuje pani sobie życie. Zawirował nią w tańcu. - Właściwie uważam, że już tak się stało.

W pierwszej chwili Elisabeth nie zrozumiała, o co mu chodzi. Gdy jednak zwrócił głowę w stronę innych gości, ujrzała, że śledzi ich wiele par zaintrygowanych oczu.

Poczuła lekki ucisk w sercu.

- Dlaczego tak mi się przyglądają?

Zacisnął jej delikatnie dłoń na ramieniu.

Być może dlatego, że tańczy pani z najprzystojniejszym mężczyzną w Bostonie.

Kaczej najbardziej niesławnym mężczyzną w Bostonie!

Naraz wszystko się zmieniło. Wszystko. Wyczuła, jak twardnieją mu mięśnie. Beztronski nastrój prysnął. Elisabeth popatrzyła U Morgana z przestachem. Miał lodowaty wyraz twarzy.

Co się stało? O co chodzi? - Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Muzyka umilkła. Elisabeth poczuła, że jeden z jej poprzednich partnerów, Gerald, bierze ją pod rękę.

Lady Elisabeth. Moja siostra i jej przyjaciele chcieliby się dowiedzieć, co się teraz nosi w Londynie. Przecież to tak blisko Paryża...

Protest zamarł jej na ustach, gdyż Morgan odwrócił się do niej plecami i odszedł. Żal mieszał się w niej z oburzeniem, w końcu górę nad nimi wzięła uraza. Prostack! Jak mógł tak niegrzecznie ją potraktować?! Nic dziwnego, że dotąd nie znalazł sobie żony. Żadna szanująca się kobieta nie poślubi przecież mężczyzny o manierach ropuchy!

Odwrociła się z uśmiechem do Geralda.

Bardzo chętnie. Ostrzegam jednak, że nieszczególnie znam się na modzie.

Postanowiła, że nie poświęci już Morganowi ani chwili uwagi. Niemniej jednak często popatrywała ponad ramionami innych gości, jakby usiłowała znaleźć go wzrokiem w tłumie.

Po pewnym czasie muzyka i głośne rozmowy sprawiły, że rozboleła ją głowa. Zapragnęła, żeby bal się już skończył, żeby mogła spokojnie wrócić do domu i odpocząć. W nadziei na chwilę ciszy wymknęła się na taras przez francuskie okno.

Noc była dość chłodna, ale Elisabeth z ulgą powitała rześki powiew wiatru. Kilka małych latarni rozświetlało ciemności. Pod wysmukłym dębem stała mała, kamienna ławka i ku niej właśnie dziewczyna skierowała swe kroki. Siadając, zaczerpnęła głęboko powietrza, aby rozjaśnić myśli.

- Chyba została pani królową balu - powiedział głęboki, męski głos.

Przerażona chwyciła się za serce, lecz to był tylko Morgan, toteż odetchnęła z ulgą.

Wyszedł z cienia.

- Choć z drugiej strony, wydaje mi się, że wreszcie jest pani

w swoim żywiole. Och, przepraszam. Powinienem być dodać: lady Elisabeth.

Usiłował z niej zakpić. Uniosła więc dumnie podbródek i spojrzała w srebrzystą ciemność.

- Kiedy mieszkałam z ojcem w Londynie, bawiliśmy się, nie przeczę. Oczywiście, chodziłam na przyjęcia, do teatru i do opery. Najszczęśliwsza jednak byłam w naszej wiejskiej posiadłości - w Hayden Parku.

- Jakoś nie odniosłem wrażenia, że jest pani prostą wieśniaczką. Zbliżył się do niej z rękami schowanymi za plecy. Elisabeth opanowała przypływ zdenerwowania. Usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale stał plecami do latarni i zdawał się nie mieć twarzy.

Zdobyła się na odwagę i wyprostowała plecy.

- Bardzo mało pan o mnie wie - powiedziała cicho. - Z pewnością uważa pan, że jestem rozpuszczona. Ponadto nie lubi mnie pan za moje pochodzenie. - Przechyliła głowę na bok i patrzyła na niego chłodno. - Nie myślę się, prawda?

- W przeciwieństwie do tego, co pani sądzi, wcale pani nie nienawidzę. Sądzę, że powinniśmy zmienić temat. Szczerze mówiąc, dziwię się pani. Nie powinna była pani przychodzić tu sama. To niemądre.

Elisabeth wyprostowała się jak struna.

- Przecież nie jestem sama, tylko z panem.

- Niektórzy mogliby dopatrzeć się w tym prowokacji - ciągnął, jakby jej nie słyszał. - Co by było, gdyby ktoś zauważył, jak wymyka się pani do ogrodu?

- Rzeczywiście, ktoś zauważył! - Spojrzała na niego płonąącym wzrokiem. - I cóż właściwie mogłoby się wydarzyć? Chciała wstać, ale położył jej ręce na ramionach i poderwał ją z ławki.

Niemal przestała oddychać i, zdumiona, spojrzała mu prosto w oczy.

- Właśnie to, głupia!

Gdy zbliżył wargi do jej ust, w jego oczach pojawił się błysk. Nie patrzyły już zimno, przeciwnie, jaśniały jak słońce. W pierwszej chwili Elisabeth była zbyt zdumiona, by go postrzymać, a potem świat zawirował...

Morgan ją całował. Morgan. Jeszcze nie wierzyła. Serce zabiło jej szybciej. Boże - wcale nie doznawała przykrości - nie, przeciwnie! Miał ciepłe usta, którym musiała się poddać.

Zadrżała, pławiąc się w słodkiej, grzesznej rozkoszy, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. A może jednak? Mgliste wspomnienie nie dawało jej spokoju.

Oderwała się od niego, dysząc ciężko.

- Boże! Myślałam, że to mi się tylko śniło! - Dotknęła rozpalonych policzków. Już wiedziała! - Pan mnie dotykał! - krzyknęła z przerażeniem i... znowu pan mnie rozebrał. Całował mnie pan, jakbym była zwykłą dziewczką!

Uśmiechnął się arogancko.

- Wielkie rzeczy! - powiedział. - Czyżby Nathaniel nie robił tego samego?

Zanim zdążyła pomyśleć, jej ręka wystrzeliła w powietrze i wylądowała na jego policzku.

- Jak pan śmie? - krzyknęła. - Dlaczego pan mówi takie rzeczy?

W oczach Morgana pojawił się gniew. Elisabeth obawiała się przez chwilę, że odpłaci jej pięknym za nadobne. Ale on się tylko trochę ironicznie uśmiechnął.

- Cóż - rzekł cicho. - Obiecałem, że będzie pani mogła mnie policzkować, gdy wreszcie dojdzie pani do siebie. Cieszę się, że wróciła pani do formy. - Skłonił sztywno głowę. - Teraz już pójdę. I proszę się nie martwić. Nie zamierzałem zakradać się do pani łóżka ani dziś, ani nigdy. Sądzę, że przenocuję po prostu gdzie indziej.

Odszedł i nawet się nie odwrócił.

Wciąż czując w ustach smak pocałunku Elisabeth dotknęła z niedowierzaniem swych pełnych warg.

Lecz ani ona, ani Morgan nie mieli pojęcia, że w parku był jeszcze ktoś...

## Rozdział siódmy

Los zdarzył, że Morgan wrócił do domu w środku nocy. Wyszedł od Stephena i udał się prosto do apartamentów Isabelle Ross. Isabelle - niezła i znana aktorka estradowa - była już od lat przyjaciółką i kochanką Morgana. Zdziwiła się trochę na jego widok, niemniej powitała go otwartymi ramionami.

Ubrana w różowy negliz, który odsłaniał więcej niż krył, wsunęła mu rękę pod ramię. Uśmiechając się do niego pełnymi, umalowanymi ustami, przycisnęła pierś do jego boku.

- Morgan! Co za cudowna niespodzianka! - powiedziała niskim, gorącym szeptem. - Cóż cię tu sprowadza?

W odpowiedzi odrzucił kapelusz i wziął ją w ramiona. Wpił się mocno ustami w jej pełne wargi, a ona odpowiedziała natchmianem i ich języki rozpoczęły szalony pojedynek. Nie odczuwał wprawdzie wyjątkowego pożądania, ale miał ochotę spędzić tę noc w przyjemny sposób. Isabelle zaś należała do kobiet, które doprowadzają do perfekcji sztukę uszczęśliwiania mężczyzn. W jej przypadku talent nie ustępował chęciom. Samymi tylko rękami - zręcznymi i odważnymi - potrafiła doprowadzić kochankę do stanu wrzenia w ciągu zaledwie paru sekund. A jakich cudów dokonywały jej usta...

Poszli od razu do sypialni, gdzie Morgan wypił trochę - a właściwie nawet sporo - whisky. Dziwnym trafem nie spieszyło mu się do fizycznych przyjemności, mimo że z taką myślą tu przyszedł. Isabelle nie odezwała się. Zamówiła tylko jedzenie, o które prosił. Wreszcie O'Connor odstawił talerz.

Wtedy, jakby w odpowiedzi, wstała i pozwoliła, by opadła z niej suknia, po czym dopóty śmiało przesuwiała palcami po swych ciemnych sutkach, dopóki nie stwardniały. Potem - z uśmiechem na ustach i na wpół przymkniętymi oczami - polizała palec i powiodła nim w dół brzucha, zanurzyła rękę w gęstwinie rudych włosów, a następnie dotknęła tego sekretnego miejsca - źródła kobiecej rozkoszy. A przez ten cały czas widziała, że Morgan na nią patrzy.

Choć podobały mu się te lubieżne zabawy, jego ciało pozostawało wobec nich obojętne. Isabelle nie traciła jednak cierpliwości - całowała go przeciągle i pieściła zmysłowo.

Wszystko na nic.

Aktorka była zdziwiona, Morgan wściekły. Odwzajemniał pieśczoły Isabelle, lecz nie potrafił wyrzucić z pamięci widoku ogromnych zielonych oczu i kaskady złotych włosów.

Ciało uparcie nie reagowało na wyzwanie.

Aby uniknąć totalnej kompromitacji, Morgan zwałił wszystko na nadmiar alkoholu i wyszedł.

Po prawie bezsennej nocy powitał nowy dzień w równie paskudnym nastroju. Zjadł śniadanie w gabinecie i załatwił kilka spraw domowych. Dopiero, gdy minęło południe, postanowił wybrać się do stoczni. Ale dokładnie wtedy Simmons zaanonsował przybycie gościa.

- Pan Thomas Porter do pana, sir.

Morgan zmarszczył czoło.

- Porter? Nie znam nikogo o tym nazwisku - odparł niecierpliwie. - Powiedz mu, że nie mogę go teraz przyjąć. Jeśli zaś będzie nalegał, umów go z moim asystentem w biurze.

- Sądzę, że lepiej by było dla nas obu, gdyby znalazł pan jednak trochę czasu - przerwał mu nieznajomy, męski głos. - Proszę się tak nie spieszyć, panie O'Connor.

Morgan podniósł wzrok i ujrzał wysokiego, chudego mężczyznę w ciemnym wełnianym płaszczu.

W oczach nieznajomego pojawił się dziwny błysk.

- Radzę się zastanowić.

Morgan odprawił Simmons'a machnięciem ręki. Porter zamknął za nim drzwi i podszedł śmiało do biurka Morgana.

O'Connor nie poprosił go, by usiadł.

- Kim pan, u diabła, jest? - zapytał.

Mężczyzna skłonił głowę.

- Thomas Porter, do usług. Pracuje jako reporter w „Chronicle”. Morgan zacisnął usta. Boże, jak On nienawidził reporterów, a już szczególnie tych z „Chronicle”. Po śmierci Amelii ta przekłeta gazeta niemal go ukrzyżowała, nie dopuszczając nawet myśli o jego niewinności.

Rozsiadł się na krześle z dumną miną.

- Proszę powiedzieć, o co panu chodzi powiedział szorstko.  
- Dobrze. - Porter przysunął sobie krzesło. Jestem ambitnym młodym dziennikarzem, który chciałby wznieść się nieco ponad wyszukiwanie materiałów do kroniki towarzyskiej. Z drugiej strony jednak odkryłem, że mam prawdziwy talent do zbierania plotek. - Uśmiechnął się. - I, dalibóg, nigdy bym się nie spodziewał, że w tym małym bostońskim światku można natrafić na tak łakome kąski. - Przekrzywił głowę. Pan, jak mi się zdaje, pozostawał przez pewien czas nieco na uboczu.

Usta Morgana przybrały kształt cienkiej linijki.

- Nigdy nie należałem do tego towarzystwa, i pan doskonale o tym wie.

Porter zaśmiał się cynicznie.

- Niech panu będzie, panie O'Connor. Ja lubię wykorzystywać dogodnie sytuacje. A czasem w najmniej prawdopodobnych miejscach zdarzają się niezwykle interesujące rzeczy. Kiedy dowiedziałem się, że doktor Marks wydaje bal, byłem bardzo ciekaw, czy pan się tam również zjawi.

Morgan zwalczył w sobie pokusę, by wstać i chwycić Portera za gardło.

- I cóż pan takiego zrobił? - spytał, wykrzywiając usta z obrzydzenia. - Schował się pan w krzakach i notował pan skrupulatnie nazwiska zaproszonych gości?

- Przyznam, że nie mam nic przeciwko krzakom - roześmiał się chytrze Porter. - Nawet pan sobie nie wyobraża, co można stamtąd zobaczyć... no, a konkretnie, pana i pewną angielską damę złączonych gorącym pocałunkiem.

- Jeden skradziony pocałunek, to żadna zbrodnia. Morgan próbował odzyskać panowanie nad sobą.

- Pewnie - zgodził się Porter. - Ale byłem tak zainteresowany tą piękną damą, że zostałem tam nieco dłużej. Słyszałem przedtem, iż jest ona daleką kuzynką doktora Marksa, która

przyjechała do niego z wizytą, toteż byłem bardzo zdziwiony, gdy wyszła z domu o tak późnej porze. Wiedziony ciekawością, poszedłem za nią.

Morgan zacisnął pięści.

- No i oniemiałem wprost ze zdumienia, gdy zobaczyłem, że przyszła tutaj, do pańskiego domu. Widziałem, jak wchodziła do środka, a wkrótce na górze zapaliło się światło.

- Pozwoli pan, że zgadnę - wtrącił Morgan twardo. - Nie odszedł pan od drzwi, bo palił się pan z ciekawości. - Ostatnie słowo wymówił tak, jakby to było wyzwisko.

Porter rozparł się na krześle z rozanielonym wyrazem twarzy. Najwyraźniej świetnie się bawił

- Oczywiście, że nie odszedłem - odparł.

- W takim razie widział pan zapewne, jak wracam do domu o znacznie późniejszej godzinie. Powinien pan z tego wywnioskować, że nie spędziłem nocy w towarzystwie owej damy.

- To pan tak twierdzi, panie O'Connor. To pan tak twierdzi. Oczywiście, że trochę jeszcze sobie tamostałem, a dziś rano wziętem na spytki pomocnika ogrodnika. Ten młody człowiek okazał się niezwykle rozmowny. Gdy zaś zahaczyłem go mimochodem o tę damę, wszystko mi opowiedział. I okazało się, że ona przebywa tutaj od wielu tygodni. Podobno była chora, to prawda, ale jednak... Niezależnie, młoda dziewczyna pod pańskim dachem. Wiele się już mogło wydarzyć, a nikt przecież nie podejrzewał, że ona w ogóle tu jest. Co by sobie ludzie pomyśleli? A jestem przekonany, że bostońska elita takich rzeczy nie wybacza.

Morgan niemalże znieruchomiał.

- Ty łajdaku - syknął przez zęby - czego chcesz?

W oczach Portera pojawił się nieprzyjemny błysk.

- Niestety, nie ja dostałem w spadku rodzinny interes. Odziedziczył go mój brat. Proszę spytać własnego brata, jak się czuje ten młodszy syn. Nigdy nie starcza pieniędzy... - Wymienił ogromną sumę.

- Połowę tego - rzucił Morgan.

- Zgoda. Zajrzę do pańskiego banku późnym popołudniem. Dumny z siebie Porter wstał i wyciągnął rękę do O'Connora.

Morgan zignorował jego gest. Gdyby dotknął tego mężczyzny, to tylko po to, żeby go rozerwać na strzępy. Podszedł szybko do drzwi i zawołał Simmonsa,

Odprowadź go powiedział ochryple.

Gdy wrócił do gabinetu, zaplótł palce i pogрузzył się w rozmyślaniach. Doszedł do wniosku, że sprawa będzie się ciągnąć w nieskończoność. Następnym razem, gdy Porter znajdzie się w potrzebie, znów poprosi go o wsparcie. Nie cofnie się przed niczym. On, Morgan, przetrwa bez wątpienia każdy skandal. Ale co się stanie z Elisabeth?

Ta głupia dziewczyna uparła się, że zostanie w Bostonie. A nawet, gdyby zmieniła zdanie, jako córka angielskiego hrabiego ściągnęłaby na siebie uwagę. Nie uciekłaby przed hańbą i skandalem. Niezależnie od tego, gdzie w końcu zdecydowałaby się zamieszkać, straciłaby reputację, a jej życie ległoby w gruzach.

Nie powinno go to w zasadzie obchodzić. I, na Boga, wcale się nią nie przejmował. Pomógł jej tylko w potrzebie. A ona bardzo go nie lubiła.

*Ale nie ma nikogo - mówił jakiś wewnętrzny głos - kto chciałby się nią zaopiekować.*

Morgan nie chciał się wiązać z jakąkolwiek kobietą, a już szczególnie z taką która w mówiła sobie, że zakochała się bez pamięci w jego bracie-łajdaku. Tłumaczył sobie, że nie wolno mu zrobić żadnego głupstwa. Dostał już przecież surową nauzkę. Ożenił się wszakże z Amelią jedynie po to, by uniknąć skandalu, a jego małżeństwo skończyło się tragicznie.

A jednak, mimo że rozważał ten problem z coraz to innego punktu widzenia, dochodził wciąż do tego samego wniosku. Istniał tylko jeden sposób, by ocalić reputację Elisabeth i uniknąć kłęski.

Niech Pan Bóg ma w opiece ich oboje.

Elisabeth udało się uniknąć rozmowy z Morganem przez cały dzień i kawałek następnego. A może to on jej unikał? Tak czy inaczej, nie miało to większego znaczenia, póki ich drogi nie krzyżowały się. Niestety, Elisabeth wiedziała, że w końcu się spotkają i bardzo się bała tej chwili, bo cóż właściwie miała mu powiedzieć? Czyżby miała go przeprosić za ten policzek? Nie! Zasłużył sobie na to. Potraktował ją, naprawdę okropnie. Z drugiej strony, trudno byłoby udawać, że nic nie zaszło, że Morgan wcale jej nie pocałował. I tonie z jednej, ale nawet z dwóch okazji! Sama ta myśl przyprawiała ją o dreszcz, toteż wołała do niej nie wracać.

Niemniej późnym popołudniem nie wiedziała, co zrobić. Weszła więc do biblioteki i zauważyła, że Morgan posiada całkiem przyzwoity księgozbiór. Była jednak zbyt niespokojna, żeby usiedzieć na miejscu. Pragnęła gorąco, by odwiedził ją Stephen.

Nie widziała się z nim od balu. Mimo że wieczór ów miał tak niemiłe zakończenie, Elisabeth bawiła się przecież wspaniale. Nucąc walca, z uśmiechem na ustach, uniosła ręce do góry i zakręciła się w tańcu.

Rozległy się gromkie brawa.

Elisabeth zatrzymała się, jak skamieniała. Jej ręce opadły bezwładnie, jak marionetce, której odcięto sznurki. Zanim zdążyła się odwrócić, by spojrzeć na intruza, wiedziała już, że to Morgan.

Spłonęła rumieńcem, poczuła, jak fala gorąca rozlewa się po całym jej ciele.

Popatrzyła na niego speszona.

- Mógł pan zapukać - powiedziała spokojnie.

- Pukać? W moim własnym domu? Nie widzę takiej potrzeby.

Przez myśl przebiegło jej wiele nieprzyjemnych uwag, lecz zacisnęła usta, by żadnej z nich nie wypowiedzieć na głos.

- Nie ma powodu się wstydić. Naprawdę. Wciąż się pani na mnie gniewa? Widzę, że ma pani ochotę mnie zwymyślać. Proszę się więc nie krępować. Oboje będziemy mieli to za sobą.

Niech diabli porwą tego człowieka. Dlaczego on zawsze z taką łatwością czytał w jej myślach?

- Jestem zbyt wielką damą, by używać podobnych słów.

- Tak - odparł wolno. Z pewnością. - Urwał na chwilę. - Przeglądała już pani poranną gazetę?

Potrząsnęła głową. To pytanie brzmiało dziwnie w jego ustach.

- W takim razie pozwoli pani, że coś jej pokażę.

Wyprowadził ją na korytarz, ujął pod łokieć i ruszył w stronę gabinetu. Elisabeth z trudnością powstrzymała chęć, by się zatrzymać. Poczuła się jak owca prowadzona na rzeź.

Stanął przy biurku i wskazał dziewczynie otwartą gazetę. Puścił jej ramię, a ona cofnęła się szybko.

Nie zwrócił na to uwagi.

Sądzę, że powinna panią zainteresować dzisiejsza kolumna towarzyska.

Natychmiast obudził jej czujność. W jego zachowaniu było coś dziwnego.

- Nie rozumiem, dlaczego - ucięła. - Nie pamiętam połowy gości, których poznałam na przyjęciu u Stephena.

- Nie o to mi chodzi. Oszczędzę pani trudu. W tej gazecie znajduje się notatka, która dotyczy mnie osobiście. Czekałam na gratulacje. Wkrótce się żenię.

Obawiała się czegoś znacznie gorszego.

- Naprawdę? - spytała nieuprzejmie. - W takim razie proszę złożyć kondolencje nieszczęśliwej wybrance.

- Dobrze, ale nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. - Na jego usta wypłynął szelmowski uśmiech. - Kochanie - szepnął słodko - ty nią jesteś.

## Rozdział ósmy

Ten uśmiech powinien był obudzić w niej czujność. Jakże mogła się nie domyśleć, że Morgan coś knuje?!

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, a potem chwyciła gazetę i szybko przebiegła oczami kolumnę towarzyską.

*Morgan O'Connor - właściciel stoczni z Bostonu - ma przyjemność ogłosić swe zaręczyny z Lady Elisabeth Stanton, córką śp. hrabiego Chester. Ślub odbędzie się jeszcze w tym miesiącu.*

Elisabeth uniosła głowę i popatrzyła na niego w niemym przerażeniu.

- Kto to zrobił? Kto śmiał dać takie ogłoszenie?

- Ja - odparł spokojnie.

- Dlaczego? - krzyknęła. - Czy to ma być jakiś koszmar z żartem?

- Nic podobnego. Naprawdę zamierzam się z tobą ożenić - odparł z poważną miną, która nie budziła żadnych wątpliwości co do jego zamiarów.

Podłoga zawirowała jej pod stopami.

- Przecież to niemożliwe, żeby chciał mnie pan poślubić - wyjąkała słabym głosem.

- A jednak chcę.

Elisabeth osłupiała. Poczowała, że doznaje zawrotu głowy i lekko się zachwiała.

Morgan położył jej ręce na ramionach i doprowadził do krzesła.

- Daj spokój. Nie jest tak źle. - W jego głosie wyraźnie kryło się rozbawienie.

Elisabeth położyła chłodne dłonie na rozpalonych policzkach. Przymknęła oczy, próbując odzyskać równowagę. Kiedy jednak je otworzyła, nadal nie była w stanie wyrzec ani słowa.

Usłyszała tuż nad głową jego władczy głos.

- Nie ma się czym przejmować. Oddychaj głęboko i uspokój się.

Zrobiła, jak kazał. Wciąż oszołomiona, opuściła ręce na kolana i spłótła palce, by uspokoić ich drżenie.

- Pan zwariował - wykrztusiła, gdy była już zdolna wydobyć z siebie głosi Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Zapewniam cię, że nie.

- Ale dlaczego, na miłość boską? Dlaczego? Nie rozumiem, dlaczego chce mnie pan poślubić.

Uśmiechnął się lekko.

- Przecież przyjechałaś tutaj, żeby wziąć ślub.

- Ale nie z panem!

Spojrzał na nią lodowato. Elisabeth zrozumiała poniewczasie, jak bardzo go uraziła.

- Ja po prostu nie rozumiem - mówiła drżącym głosem. - To wszystko jest takie niespodziewane - szukała słów - takie nagłe.

Drżało jej serce. Poślubić Morgana... W dalszym ciągu nie przyjmowała tego do wiadomości. Jakże by mogła zostać żoną tego dziwnego, ponurego mężczyzny, tak niepodobnego do swego brata, który w dodatku budził w niej nadzwyczaj dziwne, nieznane uczucia. Szczególnie wtedy, gdy ją całował.

Pograżyła się we wspomnieniach - jego gorące, zachłanne wargi na jej ustach... Dotknęła ich delikatnie.

- Wczoraj w nocy? Pamiętasz? - spytał chłodno. - Całowaliśmy się. Chyba rozumiesz, że to była tylko zabawa. - Spojrzał na nią obojętnie. - Miałem do czynienia z wieloma kobietami - dodał. - Chciałbym, żebyś wiedziała, że nie żywię w stosunku do ciebie żadnych głębszych uczuć.

Jakże bardzo go nienawidziła! Nigdy bardziej!

- W takim razie - odparła chłodno - tym bardziej nie rozumiem pańskiej wspaniałości.

- Wspaniałości? Istotnie. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak daleko posuniętej... A zresztą, dlaczego właściwie nie miałbym powiedzieć ci prawdy? Otóż widziano nas wtedy na tarasie. Tak - potwierdził, a Elisabeth rozszerzyła oczy z przerażenia. - Zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku, a raczej - pocałunku.

- Kto nas widział?

- Pewien mężczyzna pozbawiony skrupułów. Nazywa się Thomas Porter.

Elisabeth usiłowała odszukać to nazwisko w pamięci, ale bez skutku.

- Chyba nie miałam okazji go poznać... - zaczęła.

- Bo on nie był zaproszony - Morgan zacisnął usta w linijkę. - To reporter. Pracuje dla „Chronicie”. Ta gazeta specjalizuje się w wyciąganiu różnych brudów na światło dzienne. Tak czy inaczej, pan Porter złożył mi wczoraj wizytę i wyjawiał radośnie swą tajemnicę. Niestety, nie uwierzył, że jesteś kuzynką Stephena. Śledził cię więc cały wieczór, a potem, gdy zaszedł za tobą aż tutaj, pozbył się wszelkich wątpliwości. Następnego dnia wziął na spytki tego młodziana, który pomaga ogrodnikowi i dowiedział się, że mieszkasz u mnie od dawna. - Uniósł diabelskie brwi. - Mam mówić dalej? Groził skandalem. I tak naprawdę chodziło mu wyłącznie o pieniądze. Musiałem poddać się szantażowi i wypłacić mu okrągłą sumkę.

- Zapłacił mu pan? - krzyknęła. - Przecież pan wie, że jestem bez grosza! Nie mogę zwrócić panu tych pieniędzy.

- Nie mam ochoty stać się bohaterem skandalu - uciął. - Choć i tak ryzykowałbym mniej niż ty. - Straciłabyś reputację, mimo że jesteś córką hrabiego, a tak naprawdę z tego właśnie powodu. Ludzie nie zapominają tak łatwo. Podejrzewaliby cię o niemoralne prowadzenie się. A nawet, gdyby ci się udało wystarać o posadę guwernantki, twój pracodawca uważałby na pewno, że może rozłożyć ci nogi, ilekroć przyjdzie mu na to ochota. Na najbliższym łóżku, a nawet przy ścianie...

- Proszę już nic nie mówić! - krzyknęła. Zaszokował ją swoją wulgarnością. - Przy ścianie... Czyżby ludzie naprawdę robili takie rzeczy? Nie, z pewnością żaden przyzwoity człowiek nawet o nich nie słyszał. Jednakże Morgan miał niewątpliwie rację - wszyscy traktowałiby ją jak zwykłą ładacnicę. W dal-



szym ciągu jednak nie rozumiała... - Ale kiedy kazał pan wydrukować to zawiadomienie?

- Wczoraj po południu.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

- Dlaczego? Dlaczego ogłosił pan, że my ... - zająknęła się.

- Bo nie chcę, żeby ten łajdak Porter przyssał się do mnie jak pijawka. A tak z pewnością by się stało, gdybyśmy nie podjęli żadnych działań. Jeśli zaś weźmiemy ślub, on nie będzie już w stanie nam zagrozić.

Elisabeth umilkła. Morgan pomyślał o wszystkim. Oboje będą musieli się poświęcić. Nie chciała się oszukiwać. Morgan dbał przede wszystkim o własną reputację.

Spojrzała na swoje ręce, splecione mocno na kolanach.

- Prawie pana nie znam - powiedziała cicho. - Ale wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że wcale mi się pan nie podoba - dodała w myślach.

Roześmiał się uszczypliwie.

- I tak lepiej niż Nathaniela.

Nathaniel. Przez chwilę znów rozgorzała w niej nadzieja. A gdyby tak zaczekała... Przecież on w końcu wróci. Ale Morgan miał rację. Skandale niszczą głównie kobiety. Mężczyźni jakoś sobie z nimi radzą.

Znów z łatwością odczytał jej myśli.

- Dobry Boże! - powiedział niechętnie. - Nikt nie wie, gdzie on jest, i gdzie go szukać. Sądziłem, że wreszcie to do ciebie dotarło. A nawet, gdyby się tutaj pojawił, choćby jutro, i nawet gdybyście wzięli ślub, co by się stało potem? Przecież już ci mówiłem, że bierzesz go za kogoś zupełnie innego. Pewnego pięknego dnia obudziłabyś się i stwierdziła, że go nie ma. I co wtedy? A gdybyś oczekiwała dziecka?

Elisabeth zbłądła ze strachu. Dziecko. O tym rzeczywiście nie pomyślała.

- Rozumiem. Naprawdę. Tylko, że ja po prostu... pana nie kocham! - wybuchnęła. - I...

- Miłość niepotrzebnie komplikuje małżeństwo.

Elisabeth spojrzała na niego zdumiona. Powiedział to z takim zimnym spokojem. Był gruboskórny, cyniczny i zadufany w sobie. A ona marzyła, że będzie kochać swego męża, który odwzajemni w pełni jej szalone uczucie.

- Jeśli istotnie tak pan uważa, zapewne odnosi się pan do swego pomysłu równie niechętnie, jak ja.

- Przeciwnie, moja droga. Coraz bardziej mi się to wszystko podoba.

Otworzyła szeroko usta, po czym natychmiast je zamknęła. Cóż był z niego za człowiek? Mówić takie rzeczy akurat w chwili, gdy powoli zaczynała rozumieć jego sposób myślenia.

- Nie mówi pan chyba poważnie. - Niepokoiła ją myśl, że Morgan naprawdę chce ją poślubić.

- Ależ jak najbardziej. - Stanął przy oknie. Promienie słońca padły mu na twarz, która wyglądała tak, jakby została wykuta w kamieniu, bowiem nie wyrażała nic - żadnych uczuć, żadnych myśli. Nagle przyszło jej do głowy, że Morgan po prostu nie chce ich zdradzić.

Odwrócił się do niej.

- Mam pieniądze. Posiadam majątek i sprzyja mi szczęście. Jestem wart dokładnie tyle samo, co inni z moją pozycją. Wyglądam jak dzentelmen, wyuczyłem się również dobrych manier. Mieszkam w domu, którego wielu mi zazdrości. Wydaję wiele przyjęć. Mimo to bostońska elita patrzy krzywym okiem na człowieka z taką przeszłością. Bo ja - w przeciwieństwie do nich - nie odziedziczyłem fortuny. Sam musiałem zarabiać na życie. I choć utrzymuję kontakty z ludźmi wysokiego urodzenia, oni nigdy mnie w pełni nie zaakceptowali.

Elisabeth popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- A nasz ślub może to zmienić?

- Z pewnością.

- W jaki sposób?

Na jego wargach pojawił się najłżejszy z uśmiechów.

- Mówiąc szczerze, mam fatalne pochodzenie. W Bostonie, tak samo jak w Anglii, odpowiednie nazwisko liczy się bardziej niż pieniądze. A ja, niestety, nie mam się czym chwalić. Dlatego też powinienem się dobrze ożenić. Jeśli zaś poślubię angielską arystokratkę, nikt już nie ośmieli się okazać mi wzgardy.

Elisabeth zrobiła lekko zmartwioną minę.

- Czy to naprawdę takie ważne? - spytała cicho. Przecież sam pan mówił, że jest pan wart dokładnie tyle samo, co inni. Cóż pana obchodzi opinia elity?

Spojrzał na nią twardo.

- Mógłbym zapytać o to samo. Cóż takiego by się stało, gdybyś poszła do teatru i usłyszała szept za plecami? Czy nadal miałabyś ochotę pokazywać się publicznie? Czy też zamknęłabyś się w czterech ścianach? Żyłabyś wprawdzie w tym świecie, ale nigdy nie stałabyś się jego częścią. A jakbyś się czuła, gdybyś znowu odważyła się wyjść na światło dzienne, a ktoś nazwałby cię ladacznicą?

Wstrzymała oddech. Morgan potrafił być okrutny! Wiedziała jednak, że nie zniosłaby takiego życia.

Jej milczenie wystarczyło mu za odpowiedź.

- Tak też sądziłem. Więc dlaczego mi się dziwisz? To kwestia dumy i tyle - ciągnął szorstkim głosem. - Urwał. - Czekam zatem na twoją decyzję. Wyjdiesz za mnie czy nie?

Ich spojrzenia spotkały się, a w głowie dziewczyny zawirowało tysiące myśli. Cóż tak naprawdę o nim wiedziała? Bardzo mało. Nie utrzymywał bliskich kontaktów z bratem. Chyba nawet go nie lubił. Ale zaopiekował się nią gdy zachorowała. Karmił ją i pilnował, by wyzdrowiała. Musiała przyznać, aczkolwiek niechętnie, że zachował się naprawdę wspaniałomyślnie.

Ale wyjść za niego za mąż?!

- Przyjechałaś tutaj - powiedział, wyrwijając ją z zadumy - żeby odmienić swoje życie. A ja chcę ci dać taką szansę.

Opuściła głowę. Łzy napłynęły jej do oczu. Serce krzychało. Nie o takim małżeństwie marzyła.

Zagryzła wargi, by powstrzymać łkanie.

- Dobrze - powiedziała z trudem, nie patrząc mu w oczy - Poślubię pana.

Zdecydowali, że pobiorą się za dwa tygodnie.

Dzień po zaanonsowaniu zaręczyn w „Chronicie” Morgan powiedział Elisabeth, że Stephen poprosił ciotkę, Clarę Fleming, która dwa dni wcześniej wróciła z Paryża, aby zaprosiła ją do siebie na jakiś czas.

Elisabeth nie była specjalnie zachwycona taką perspektywą, ale uznała to za jedynie możliwe rozwiązanie. Z drugiej strony, dostrzegła również całą ironię tej sytuacji. Gdyby bowiem pani Fleming spędziła ostatnie dwa miesiące w domu, mogłaby zamieszkać u niej wcześniej, a wtedy Porter nigdy by nie wyszedł, że przebywa pod dachem Morgana. Nie musiałyby wcale wychodzić za niego za mąż.

A tak, dzień ślubu zbliżał się z przerażającą szybkością.

Pani Fleming oddała jej chętnie do dyspozycji swój dom oraz powóz. Ciotka Stephens, mimo swego podeszłego wieku, prowadziła niezwykle aktywny tryb życia. Elisabeth żartowała czasem, że widuje ją tylko wówczas, gdy leciwa dama wychodzi lub wraca do domu.

Wkrótce nadszedł dla niej ostatni dzień panieństwa.

Całe popołudnie spędziła w towarzystwie szwaczki, która wykańczała jej suknię ślubną. Gdy Morgan oznajmił, że powierzył to zadanie najlepszej krawcowej w Bostonie, dziewczyna usiłowała protestować.

- Przecież mówięś - przypomniała mu - że nie wyglądam jak żebraczka.

Wykrzywił wargi w irytującym, despotycznym uśmiechu, który już tak dobrze poznała. Nawet zbyt dobrze.

- Niemniej jednak włożysz suknię godną damy.

Zerknęła na niego podejrzliwie. Zaakcentował lekko słowo: dama. Czyżby z niej kpił? Odniosła wrażenie, że tak, ale Morgan patrzył na nią z lekko uniesionym brwiami, chłodno i uprzejmie.

Suknia była piękna - nie mogła temu zaprzeczyć. Gdy Elisabeth stanęła przed ogromnym lustrem, oniemiała z wrażenia. W opadających na podłogę fałdach jasnokremowego atłasu wyglądała jak krucha, porcelanowa figurka. A kiedy krawcowa upięła tren, jej pomocnica wpadła w bezbrzeżny zachwyty.

- Och! Nigdy nie widziałam wspanialszej sukni! Panu Morganowi z pewnością zmięknie serce!

Niemożliwe - myślała Elisabeth. - Przecież on w ogóle nie ma serca.

- Po wyjściu krawcowej Elisabeth odrzuciła na bok suknię i popadła w ponury nastrój. Na wieść, że Stephen czeka na nią w salonie, zaczęła gorączkowo szukać przekonującej wymówki, ale nie chciała go zmartwić i w końcu zeszła na dół.

- Panna młoda gotowa do ślubu? - spytał lekko.

Niepotrzebnie. Elisabeth natychmiast poczuła palący ból w gardle. Dlaczego Nathaniel nie czekał na nią w Bostonie? Czemu ją porzucił? Z jakiego powodu nie potrafił jej pokochać? - myślała, zwątpiwszy nagle w jego uczucia.

Pochyliła głowę, ale już było za późno. Stephen patrzył na nią dziwnie.

- Wyglądasz, jakby zbierało ci się na płacz.  
Ponieważ wiedziała, że ma rację, omal nie załała się łzami.  
Stephen położył jej delikatnie rękę na ramieniu.  
- Wyznaj, co cię trapi - nalegał. - Zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby ci pomóc.  
Potrzęsnęła głową.  
- To nic takiego - szepnęła.  
Ale on nadal spoglądał na nią z troską w oczach.  
Przełknęła ślinę.  
- Wszystko po prostu wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałam, gdy opuszczałam Londyn - szepnęła z trudnością. - Przyjechałam tutaj, by poślubić Nathaniela. Nie sądziłam, że zostanę żoną jego brata. Nie przypuszczałam, że poślubię obcego człowieka.  
Stephen zacisnął mocno dłoń na jej ramieniu.  
- Elisabeth...  
Usłyszeli czyjeś kroki. Podnieśli głowy i zobaczyli go niemal w tej samej chwili. W drzwiach stał Morgan. Stephen natychmiast zerwał się z miejsca.  
- Właśnie o tobie mówiliśmy - powiedział.  
Morgan wpatrywał się uważnie w Elisabeth.  
- Widzę. - Wreszcie przeniósł wzrok na przyjaciela. - Czy mógłbyś zostawić nas samych? Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia.  
- Oczywiście - odparł Stephen, jak przystało na dżentelmena. Zerknął na zegarek. - I tak już zbierałem się do odejścia. Muszę odwiedzić kilku pacjentów, zanim wrócę do siebie.  
Elisabeth uśmiechnęła się tylko i odprowadziła go do holu. Morgan ani na chwilę nie spuścił jej z oka.  
Stephen wyszedł. Ledwo zdążyła wrócić do salonu, a już władczy głos Morgana przebił ją jak sztylet.  
- Mam nadzieję, że nie wyszłaś z nim przed dom.  
- A gdyby nawet? - dziewczyna zachnęła się.  
- Nie sądzę, by było mądrze ryzykować kolejny skandal - wyjaśnił. - Czyżbym naprawdę musiał ci o tym przypominać?  
Zesztywniała. Przecież nie uczyniła niczego, by narazić się na taką reprimendę.  
- Stephen jest po prostu przyjacielem - poinformowała go chłodno.

- A ja mężczyzna, który wkrótce zostanie twoim mężem. Nie odmawiam ci prawa do posiadania przyjaciół, bo wiem, że czujesz się tutaj bardzo samotna. Niemniej jednak wolałbym, by nikt nie dopatrywał się niczego niestosownego w twoim zachowaniu, a zatem Stephen musi na zawsze pozostać wyłącznie przyjacielem.

- W moim zachowaniu ... - obdarzyła go niezadowolonym spojrzeniem. - Czyżbyś już zapomniał, że to twoje zachowanie doprowadziło do tego oszukańczego ślubu? Thomas Porter nigdy by mnie nie śledził, gdyby nie zobaczył, jak mnie całujesz.

- Stało się. Teraz oboje musimy za to zapłacić.

Jakże był spokojny! Potrafił tak świetnie nad sobą panować. Elisabeth poczuła nagle, że jest na niego zła,

- A więc po to tu przyszedłeś? Chciałeś oskarżyć mnie o flirt ze Stephenem?

- O nic cię nie oskarżałem. Ufam Stephenowi, ale jeszcze nie wierzę tobie.

Elisabeth zamilkła z oburzenia.

- Nasze małżeństwo to układ, z którego oboje będziemy czerpać korzyści - ciągnął Morgan. - Ty otworzysz przede mną drzwi, jakie już dawno uznałem za zamknięte. A ja dam ci w zamian dom i pieniądze. Ostrzegam cię natomiast, że nie pozwolę zrobić z siebie głupca.

- Głupca? - odpaliła. - Skoro z pewnością uważasz mnie za osobę ograniczoną, wytłumacz lepiej, o co ci chodzi.

- Z przyjemnością. Nie zamierzam tolerować żadnych mężczyzn w twoim życiu. Żadnych kochanków.

Elisabeth była zbyt rozgniewana, by odpowiedzieć. Jakże on śmiał pouczać ją w kwestiach natury moralnej? Jakim prawem przemawiał do niej tonem pana i władcy?

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej podłużne pudełko.

- Zajmijmy się teraz czymś innym. Przeszedłem, aby coś ci ofiarować. - Jednym pstryknięciem otworzył pokrywkę. - Pomyślałem, że będziesz chciała to założyć.

Na aksamitnej wyściółce leżał sznur błyszczących, przezroczystych pereł. W innych okolicznościach Elisabeth wydałaby jedynie okrzyk szczerego zachwyty, bo naszyjnik był naprawdę wyjątkowo piękny. Jednakże w tej sytuacji nadal się trzęsła ze złości. Jak on śmiał najpierw ją besztać, a potem obdarowywać klejnotami?!

Zanim jednak zdołała wyrzec choć słowo, Morgan odwrócił się i zapiął jej kolicę na szyi, a potem ujął ją pod rękę i pociągnął do owalnego lustra w złotych ramach.

Stanął za nią i przekrzywił głowę.

- No i co? - zapytał. - Co o tym myślisz?

Ich oczy spotkały się w lustrze - w jednym wciąż paliły się iskry oburzenia, drugie patrzyły chłodno, pytająco.

- Są cudowne - odparła przez zęby.

Uniósł brew.

- Czyżbyś tylko tyle miała do powiedzenia? - zapytał przenosząc wzrok na perły, a potem nieco niżej.

Zamarła. Jej suknia miała wprawdzie skromny dekolt w kształcie serca, ale Elisabeth wydawało się, że Morgan przebija ją tym spojrzeniem na wylot. I stał tak blisko niej. Tak przerażająco blisko! Wokół unosił się zapach wody kolońskiej. Poczwała na plecach musnięcie wełnianego surduta. Przeniknęło ją na wskroś ciepło męskiego ciała.

- Cudowne - powtórzyła, tym razem pogodniej. Chciała się cofnąć, lecz Morgan przytrzymał ją za łokcie i odwrócił twarzą do siebie.

- Czyżbyś zapomniała o dobrych manierach, moja droga? Tak wspaniały podarunek zasługuje chyba na odrobinę wdzięczności.

- Ależ oczywiście. Nie chciałam być niegrzeczna. - Dotknęła nerwowo pereł. - Dziękuję. Jestem ci doprawdy bardzo zobowiązana.

Wykrzywił usta w uśmiechu, który niemalże sprawił jej ból.

- Miałem na myśli - mruknął - jakieś bardziej gorące podziękowanie. Chyba najlepszy byłby pocałunek. Tak, jeden mały całus w zupełności wystarczy. - Odwrócił lekko głowę i nadstawił policzek.

Elisabeth zaczęła ciężko oddychać. On się z nią bawił. I to w dodatku z premedytacją! Chcąc jednak jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa, postanowiła uczynić, o co prosił.

Zaczerpnęła więc powietrza i wspięła się na palce.

Ale nie zdołała dotknąć ustami szorstkiego, chropowatego policzka mężczyzny, gdy natychmiast została uwięziona w jego ramionach. Nim zdążyła wydać okrzyk protestu, Morgan zamknął jej usta pocałunkiem.

To nie ona go całowała. Czuła zachłanny napór jego warg.

Przeszedł ją dreszcz i pomyślała, że tak już kiedyś było. Ogarnęła ją dziwna beztroska. I choć chciała z tym walczyć, zabrakło jej zarówno woli, jak siły. Rozwarła dłonie, jakby zamierzała go odepchnąć, ale w tym samym momencie jej usta uległy sile warg mężczyzny i oddały mu pocałunek. Przywarła do Morgana ciasno, bezwładnie, jakby nagle zapragnęła stać się częścią jego ciała.

Gwałtownie wypuścił ją z objęć. Napięcie osiągnęło punkt krytyczny, gdy spojrzeli sobie w oczy. Elisabeth doznała dziwnego wrażenia, że Morgan jest tak samo zmieszany, jak ona. Po chwili jednak nakrył dłonią jej rękę, którą wciąż opierała mu na piersiach. Ścisnął ją mocno i cofnął się o krok. Czyżby chciał ją odepchnąć? Wciąż oszołomiona zobaczyła, że zmierza w kierunku drzwi.

Przystanął na moment.

- Pojutrze będziesz moja. Pamiętaj, nie uda ci się przyprawić mi rogów.

Jego lodowaty ton podziałał na nią jak kubeł zimnej wody. Gdy wreszcie odszedł, zapłakała ze złości. Jakże mogła pozwolić, by ją obejmował? Co w nią wstąpiło? Dlaczego poddawała się pocałunkom tego zimnego mężczyzny o twardym sercu, który oskarżał ją o flirt z innym i traktował jak swoją wyłączną własność? Zupełnie go nie rozumiała.

Ale nie rozumiała również siebie.

## Rozdział dziewiąty

Ranek nadszedł zbyt szybko, a wraz z nim - dzień jej ślubu. Elisabeth wstała z łóżka i podbiegła boso do okna, odgarniając do tyłu skłębione włosy. Tej nocy prawie w ogóle nie spała i czuła się tak zmęczona, jakby wcale się nie kładła. Poprzez koronkową firankę dostrzegła zachmurzone, szare niebo. Powiatał ją odgłos grzmotów.

Ponury dzień dla ponurej panny młodej.

Usłyszała pukanie do drzwi. Pokojówka zajrzała do środka.

- Czy jest pani gotowa wziąć kąpiel, lady Elisabeth?

To była Mary - pogodna, mała istota, która towarzyszyła jej nieustannie od dwóch tygodni.

- Tak. Dziękuję. - Usiłowała zdobyć się na uśmiech, ale nic z tego nie wyszło.

Kąpiel odświeżyła nieco jej zmęczone ciało, ale nie poprawiła stanu ducha. Gdyby nie pogodna paplanina Mary, która pomagała jej włożyć suknię i uczesać włosy, w pokoju panowałaby iście grobowa cisza.

Wreszcie była gotowa i - ulegając namowom pokojówki - stanęła przed lustrem. Dziewczyna stała obok niej z okrągłymi, lśniącymi z podziwu oczyma.

- Ach - szepnęła. - Wygląda pani jak anioł. Naprawdę.

Elisabeth przyjrzała się uważnie swemu odbiciu. Włosy miała wysoko upięte na czubku głowy, a delikatne, drobne loczki okalały dyskretnie piękny owal jej twarzy. Na policzkach wy-

kwitły rumieńce - nie z emocji, jak sądziła Mary, lecz ze zdenerwowania. Jej oczy pociemniały ze strachu.

- Ach, byłabym zapomniała. Jeszcze perły. - Mary zapięła kolię i westchnęła marząco. - Och, jak on musi panią kochać, skoro ofiarował pani tak wspaniały prezent

Nie - pomyślała Elisabeth. - Nie ma tu mowy o miłości, odpowiedzialności czy obowiązku. Powstrzymała gorzki śmiech. Cóż pomyślałaby sobie Mary na wieść o tym, że Morgan uległ po prostu szantażowi i chce poprawić swoją pozycję towarzyską?

Zapagnęła nagle zerwać naszyjnik w geście pogardy.

Nie starczyło jej jednak odwagi.

Nagle - o wiele za szybko - poproszono ją na dół. Tam czekał na nią Stephen, który miał zawieźć ją do kościoła. Morgan poprosił go również na świadka. Gdy Elisabeth stanęła przed nim w holu, Stephen ujął w zachwycie jej dłoń.

- Twój widok zapiera mi dech - wyznał z uśmiechem.

Elisabeth spłonęła rumieńcem. Myślami powędrowała natychmiast do Morgana. Czy zdoła wyrzucić na nim podobne wrażenie? Głupie pytanie! Przecież on nicował ją wzrokiem na wylot. Zdumiało ją nagłe uczucie przykrości, jakie wywołała w niej ta konstatacja. Dlaczegoż by miało zależeć jej na opinii Morgana? Natychmiast przywołała się do porządku. Zawierali małżeństwo wyłącznie dla uniknięcia skandalu i szantażu. Podpisywali pewien układ.

Wydawało się to jedynym wytłumaczeniem tej decyzji.

Nagle ogarnęły ją jednak wątpliwości, czy na pewno - właściwym.

- Czy mogę służyć ramieniem? - zapytał Stephen.

Całą siłą woli zmusiła się do wyjścia.

W powozie milczała. Była równie posepna jak niebo nad jej głową.

- Odnoszę wrażenie, że Morgan nie był szczególnie zachwycony moją wczorajszą wizytą - zauważył Stephen. - Uznałem, że będzie lepiej, jeśli od razu sobie pójdę. - Urwał. - Mam nadzieję, że nie był dla ciebie niemiły.

Elisabeth wróciła natychmiast myślami do namiętnego pocałunku.

- Nie krył, że darzy cię zaufaniem - odparła bez namysłu. - Miał jednak czelność podejrzewać mnie o... - zamilkła, gdyż zdała sobie sprawę, jak głęboką tajemnicę zamierza wyjawić.

- Niewierność? - podpowiedział Stephen, przekrzywiając komicznie głowę.

- Tak - odparła, splonąwszy rumieńcem.

Zaśmiał się, ale jego wesołość nie trwała długo.

- Morgan potrafi być nieznośny - powiedział wolno - lecz należy do ludzi, którzy bardzo poważnie traktują wszelkie zobowiązania. W przeciwieństwie do... - Urwał.

- Nathaniela. - Tym razem Elisabeth dokończyła jego myśl.

- Nie chciałbym cię zdenerwować - powiedział delikatnie - ani urazić, ale gdybym tonał i gdyby obaj wyciągnęli do mnie ręce, bez wątpienia pochwyliłbym dłoń Morgana. - Patrzył na nią szczerze. - Nie znajdziesz lepszego męża, Elisabeth.

Wahał się przez chwilę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie wtedy powóz zatrzymał się przed kościołem.

Byli na miejscu. Zeszła na ziemię na drewnianych nogach. A gdyby Stephen nie towarzyszył jej jak cień, bez wątpienia odwróciłaby się i poszła w przeciwną stronę na tyle szybko, na ile starczyłoby jej sił.

Ceremonia rozpoczęła się o wiele za wcześnie. Na znak Stephena Elisabeth ruszyła naprzód.

Ów marsz zdawał się nie mieć końca. Mimowolnie dostrzegła, że na uroczystość przybyło sporo ludzi. I wtedy go zobaczyła.

Morgan czekał na nią przy ołtarzu - wysoki, smagły, przystojny. Elisabeth nie była w stanie oderwać od niego oczu - przyćmiewał swą osobą wszystkich obecnych.

Jak zwykle, nie uśmiechał się - patrzył tylko na nią z kamienną twarzą. Elisabeth poczuła, że ogarnia ją panika. Przecież nie mogła tego zrobić! Nogi miała jak z waty i z pewnością by upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Wyciągnął tylko ramię, objął ją w talii i przyciągnął blisko - jakże blisko - do siebie. A potem położył na jej ręce swą smukłą, silną dłoń i mocno zacisnął palce. Tylko dzięki temu zdołała jakoś utrzymać równowagę.

Gdy nadszedł czas ślubowania, Morgan wypowiedział słowa przysięgi pewnie i zdecydowanie.

Ona zdobyła się jedynie na szept.

I już było po wszystkim. Pastor ogłosił ich mężem i żoną.

- Możesz pocałować pannę młodą - oznajmił Morganowi.

W oczach Elisabeth błysnęły łzy, których nie mogła powstrzymać. Nadszedł dzień jej ślubu - o którym tak skrycie marzyła

całymi nocami - a ona czuła się tak bardzo nieszczęśliwa. Wyszła za męża z rozsądku, a nie z miłości.

Poczuła ucisk w gardle i uniosła podbródek, aby odpędzić łzy w nadziei, że Morgan nie zdąży ich zauważyć. Ale on widział wszystko.

Jego pocałunek nie sprowadzał się wcale do obojętnego muśnięcia warg. Był głęboki, namiętny i tak długi, że pastor musiał chrząknąć, by przywołać pana młodego do porządku.

Gdy Morgan podniósł głowę, Elisabeth dojrzała w jego oczach dziwny błysk... triumfu? Ujął ją pod ramię, po czym wyprowadził z kościoła. Elisabeth czuła się tak odrętwiała, jakby to wszystko działo się wokół niej i wcale jej nie dotyczyło.

U stóp kościelnych schodów zebrał się tłumek. Elisabeth prawie nie widziała tych ludzi, lecz Morgan uniosł wysoko, radośnie, ich złęczone dłonie.

Nagle jakiś mężczyzna oderwał się od wiwatujących.

- Proszę uważać - krzyknął - bo skończy pani tak samo jak tamta!

Morgan stanął jak wryty i puścił jej dłoń. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie Stephen, który powstrzymał przyjaciela stanowczym gestem ręki.

- Pozwól, że ja się tym zajmę - powiedział, odwracając się od schodów.

- Co się dzieje, na Boga? - zapytała niepewnie Elisabeth mrugając powiekami.

Morgan doszedł już do siebie.

- Nie martw się - odparł grzecznie. - Nie ma czym - dodał, prowadząc ją do powozu.

Wkrótce znaleźli się w domu, gdzie panował niezwykle rozgwar i zamieszanie. Wszędzie kręcili się służący. Ku niezadowoleniu dziewczyny, Morgan nie odstępował jej ani na krok i przedstawiał coraz to innym gościom. W końcu Elisabeth zaczęła się gubić wśród tylu nowych twarzy. Zapamiętała tylko bankiera Wilsona Reeda i radcę Justina Powella.

Stół zastawiono obficie pieczystym, szynką, chlebem i warzywami. Elisabeth nie była w stanie jeść, ale przyjęła chętnie od Stephena kieliszek wina. Gdy w końcu została sama, wysliznęła się przez francuskie okno na taras. Czuła pulsowanie w skroniach i jakiś ból w piersiach. Opuściwszy wzrok, spo-

strzegła złotą obrączkę na lewej dłoni i zaczęła obracać ją wokół palca. Obrączka była równie ciężka, jak jej serce.

Nagle przeszedł ją dreszcz.

Wiedziała, że on tam jest, zanim jeszcze podniosła głowę.

Stał o niecały metr od niej. Skrzyżował dłonie na piersiach i patrzył na nią zimno.

- Już żałujesz? - spytał.

Urażona jego kaśliwym tonem uniosła dumnie podbródek i spojrzała na niego spod oka.

Uśmiechnął się lekko.

- No, już lepiej. Obawiałem się przez chwilę, że poślubiłem zwiędły kwiat.

- Może okaże się, że dostajesz więcej niż sądziłeś - odpaliła.

Powiódł wzrokiem po jej krągłych piersiach.

- To przepowiednia czy obietnica? - spytał z leniwym uśmiechem.

- Ani jedno, ani drugie!

- Szkoda, bo fascynuje mnie ta perspektywa. W istocie...

- Morgan? - Drzwi otworzyły się nagle i na taras wyszedł Stephen. - Tu jesteście. Wejdźcie do środka. Justin chce wznieść toast na waszą cześć.

Zachwycona takim obrotem sprawy Elisabeth zebrała fałdy sukni i ruszyła do salonu.

Natychmiast wręczono im kieliszki z szampanem. Justin Powell klepnął Morgana po ramieniu.

- Nie chowaj żony tylko dla siebie! Będziesz miał jeszcze na to dużo czasu! - zganił go żartobliwie i roześmiał się głośno.

Elisabeth uśmiechnęła się z przymusem. Widać było, że Justin doskonale się bawi i że wypił trochę za dużo. Miał rumieńce na policzkach i zaczerwieniony nos.

Uniósł wysoko kielich.

- A teraz toast - ciągnął. - Za wiele szczęśliwych lat i za gromadkę dzieci!

Uśmiech zamarł jej na ustach. Spłonęła szkarłatnym rumieńcem, gdyż dotąd udawało się jej nie myśleć o tym aspekcie małżeństwa. Kątem oka dostrzegła natomiast baczne spojrzenie Morgana.

Nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Po prostu nie mogła. Nie znajdując słów, spuściła wzrok. Najchętniej zapaliłaby się pod ziemię.

Od tej chwili Morgan nie opuszczał jej ani na krok. Czasem dotykał jej ramienia lub obejmował ją w tali. W miejscach, gdzie spoczęła jego dłoń, skóra paliła ją jak płomień.

Od czasu do czasu zerkała na jego kieliszek, który wciąż był pełny, choć ona już dawno opróżniła własny. Morgan trzymał delikatnie kryształową nóżkę w długich, smagłych palcach. Zaszło jej w ustach, w głowie wirowały tysiące myśli.

Wiedziała, oczywiście, na czym polega akt prokreacji. Ponieważ jednak nie miała matki, nie znała żadnych szczegółów. W szkole dla panien krążyły wprawdzie różne plotki na ten temat, ale Elisabeth nie dawała im wiary. Jej koleżanki mówiły wiele na temat pocałunków i pieszczot...

Nie potrafiła oderwać oczu od rak Morgana. Jak zniesie ich dotyk? A jego ciało? Czy okaże się tak twarde i niezłomne jak jego charakter?

Jedna myśl pociągała za sobą następną. Czy będzie rozebrana? A on?

- Elisabeth?

Na dźwięk swego imienia odwróciła się gwałtownie i popatrzyła niespokojnie na Morgana.

- Tak? - spytała piskliwym, nieswoim głosem.

Wyjął jej z ręki pusty kieliszek, po czym postawił go na tacy wraz ze swoim, wciąż jeszcze nietkniętym. Pochylił się tak nisko, że niemal musnął wargami jej ucho.

- Dość już, kochanie - szepnął. - Nie chciałbym, żebyś się wstawiła w noc poślubną.

Elisabeth zbladła ze strachu. Do tej pory czas dłużył się jej niemiłosiernie, ale naraz zapragnęła, by ten wieczór nigdy nie dobiegł końca.

Uśmiechnął się lekko.

- Pewnie jesteś zmęczona - zauważył. - Skoro większość gości już wyszła, poproszę Annie, żeby odprowadziła cię na górę.

Głos uwiązał jej w gardle.

- Jak sobie życzysz - odparła w końcu ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Elisabeth?

Ale ona szła już wolno w kierunku schodów, więc tylko odwróciła się przez ramię.

- Tak?

- Połóż się. Muszę jeszcze omówić parę spraw z Justinem.  
O mało nie podskoczyła z radości. Nie przeszkadzaj sobie - pomyślała.

Na widok rozpromienionej miny pokojówki serce ścisnęło się jej boleśnie. Nic dziwnego, że Annie uznała ich ślub za niezwykle romantyczne wydarzenie.

Gdy weszły już na podest, Elisabeth instynktownie skrzyżowała przed sobą ręce. Zaraz za rogiem znajdowała się sypialnia, którą zajmowała przed ślubem. Annie jednak położyła rękę na jej ramieniu.

- O, nie, lady Elisabeth. Nie tędy.  
- Ależ mój pokój jest tutaj - odparła, marszcząc brwi.  
- Już nie, pani - Annie zarumieniła się jak burak, a jej uśmiech można by uznać w innych okolicznościach za wyjątkowo uroczy. - Teraz zajmie pani sypialnię obok pokoju pana. Już rozpakowałam pani rzeczy i włożyłam je do szafy. - Promieniała. - Proszę za mną.

Elisabeth powlokła się za nią z ponurą miną.

Pokój był przestronny i bardzo piękny. Na podłodze leżał kremowy dywan, w oknach wisały jasnoniebieskie aksamitne zasłony. Kapę okrywającą łóżko uszyto z tego samego materiału. Toaletkę udrapowano zwiewną tkaniną znakomicie pasująca do całości. Gdyby nie sytuacja, w jakiej się znalazła, Elisabeth klasnęłaby w dłonie z zachwytem.

Ale teraz patrzyła tylko na drzwi, które, jak sądziła, prowadziły z pewnością do pokoju Morgana.

Nie było w nich zamka.

- Pomyślałam, że zechce pani wziąć kąpiel - powiedziała pogodnie Annie. - Woda jeszcze nie wystygła.

Przy pomocy Annie szybko uwolniła się z sukni. Ta dziewczyna miała rację. Woda niemal parzyła jej ciało; z drugiej strony, nigdy jeszcze nie było jej tak zimno. Nieświadoma nastroju swej pani, Annie ochoczo wyszorowała jej plecy i podała miękki ręcznik.

- Wybrałam dla pani koszulę. Mam nadzieję, że się pani na mnie nie pogniewa.

Na widok koszuli z czystego jedwabiu Elisabeth przełknęła nerwowo ślinę.

- Nie sądzisz, że jest trochę za chłodno na tak cienką bieliznę?

Annie posmutniała.

- Chociaż muszę przyznać, że jest wyjątkowo piękna - dodała pospiesznie, widząc strapioną minę pokojówki.

Włożywszy koszulę, Elisabeth dostrzegła kątem oka swe lustrzane odbicie - pod niemal przezroczystą materią zarys jej ciała był aż nazbyt widoczny.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Chłodno mi. Chciałabym włożyć jeszcze szlafrok.

Annie westchnęła wymownie, ale podeszła posłusznie do szafy, wyjęła z niej szlafrok, okryła nim Elisabeth, po czym dorzuciła drewno do ognia.

Dziewczyna została sama - słyszała tylko tykanie zegara i bicie własnego serca.

Przemierzała niespokojnie pokój, a w jej głowie krążyła tylko jedna myśl. Mąż miał prawo spać ze swoją żoną. Był to jego przywilej i obowiązek. A ona musiała wypełniać swoją powinność, ilekroć się tego od niej domagał. Czuła lekki szum w skroniach. Może dziecko okazałoby się dla niej błogosławieństwem? Może wtedy Morgan zostawiłby ją w spokoju?

Do tej pory starała się zapomnieć o nadchodzącej nocy. Teraz jednak nie sposób było uciec od rzeczywistości.

Położyła się, lecz nie spała. Powolne, głośnie i natrętne tykanie zegara doprowadzało ją do rozpacz. Czujnie nadstawiała ucha, by wyłowić najmniejszy bodaj szelest, który by świadczył o tym, że Morgan dotarł na górę.

Ale on nie dawał znaku życia.

Wreszcie wstała i owinęła się szlafrokiem. W mgnieniu oka znalazła się pod drzwiami prowadzącymi do jego sypialni. Wstrzymała oddech, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Pokój - na szczęście pusty - tonął w słabym świetle lampy. Wiedzioną ciekawością Elisabeth postąpiła parę kroków w głąb sypialni swego małżonka.

Umeblowanie było tu surowe, typowo męskie. Na wprost drzwi stało masywne łóżko wsparte na czterech słupach i właśnie ono przykuło jej uwagę.

- Muszę przyznać, moja droga, że zrobiłaś mi ogromną niespodziankę.



## Rozdział dziesiąty

To był on.

Przez dłuższą chwilę nie mogła się poruszyć. Nogi ciążyły jej jak ołów. Dotknęła ręką szyi i poczuła duszące palenie w piersi.

Wolno obróciła głowę. Wiedziała, że płoną jej policzki. A on stał w progu i w przeciwieństwie do niej czuł się zupełnie swobodnie. Nie zwracając uwagi na jej spojrzenie zdjął marynarkę i kamizelkę, po czym rzucił je obok łóżka.

- Bardzo... przepraszam - wyjąkała, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Niewiele więcej mogła powiedzieć, gdyż schwytano ją w miejscu, w którym nigdy nie powinna się była znaleźć - w jego sypialni! - Nie chciałam przeszkadzać.

- Ależ wcale mi nie przeszkadzasz - powiedział, podciągając rękawy koszuli i odsłaniając silnie umięśnione przedramiona porośnięte jedwabistymi, ciemnymi włosami. Był tak niezwykle męski - nie mogłaby temu zaprzeczyć - i tak pociągający, że opadły z niej wszystkie siły.

Gdy pochwyił jej spojrzenie, przerażała się jak złodziej schwytany na gorącym uczynku.

- Gdzież w końcu mogłaby być żona w noc poślubną? - Uśmiechnął się zagadkowo. - Gdybym wiedział, że na mnie czekasz, przyszedłbym już dawno temu.

- Mylisz się - odparła z oburzeniem.

- Czyżby? Jakże to?

A niech go diabli! Czy on naprawdę musi igrać z nią jak kot z myszą? Ta niepewność rozdzierała jej duszę.

- Wybacz mi - odrzekła, zaciskając nerwowo dłonie. Obawiam się, że jestem nadmiernie wścibska.

Istotnie. Mam nadzieję, że podoba ci się pokój.

Przytaknęła.

- Możesz urządzić go inaczej, jeśli chcesz.

- Och nie! Jest naprawdę bardzo piękny.

Uniósł brew, jakby oczekiwał innej odpowiedzi.

Zamilkli. Napięcie rosło z sekundy na sekundę. Elisabeth zerknęła na wejście do własnej sypialni.

Odgroził ją od drzwi, uniemożliwiając ucieczkę. Poszedł za jej wzrokiem. Uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu.

- Chcesz wyjść?

- Tak - odparła po chwili wahania. - Jestem bardzo zmęczona.

- Daj spokój. W końcu wzięliśmy ślub - powiedział kpiąco.

- Nareszcie zostaliśmy sami.

Natychmiast wróciła jej odwaga.

- Przecież dobrze wiesz, że wcale nie przyszedłam tu po to, żeby ci ulec.

Podszedł o krok.

- Niemniej jednak jesteśmy małżeństwem. I chciałbym ci powiedzieć, że jako twój mąż nie potrzebuję przyzwolenia, by wziąć to, co należy do mnie za sprawą ślubowania, jakie dzisiaj złożyliśmy.

To rzeczowe stwierdzenie było jak policzek. Poczuła ucisk w żołądku. Potwór! Czy naprawdę musi jej o tym przypominać?

Uniosła lekko podbródek.

- Czyżbyś zamierzał to wykorzystać? - spytała sztywno.

- Chciałabyś? - odparował.

- Niekoniecznie - odpowiedziała zjadliwie. Wystarczyło jej jednak na niego spojrzeć, by zrozumieć natychmiast, że popełniła ogromny błąd.

- A jeśli będę nalegał?

- Proszę Boga, żebyś tego nie uczynił - powiedziała zarliwie, patrząc na niego błagalnym wzrokiem.

Nie zwrócił na to uwagi. Podszedł po prostu bliżej i otaksował ją uważnym spojrzeniem, po czym zatrzymał wzrok na wypukłości jej piersi. Dopiero wtedy Elisabeth zauważyła, że ma rozpięty szlafrok.

Natychmiast ściągnęła poły, a serce zabiło jej tak szybko, że ledwo mogła oddychać.

- Mówiłeś, że nasze małżeństwo to układ - szepnęła bez tchu. -  
Zwykła umowa. Nie... nie widzę powodu, by miało stać się inaczej.

- Masz na myśli małżeństwo wyłącznie na papierze?

- Tttak.

- Rozumiem. Dlaczego w takim razie lubisz, jak cię całuję?

- Wcale nie! - wyrzuciła z siebie szybko.

Natychmiast znalazł się tuż przy niej.

- Owszem, tak

Chwyił ją za ramiona i przycisnął mocno do siebie.

- Zamierzam ci to znowu udowodnić.

I, niestety, jak powiedział, tak zrobił.

Najpierw zacisnęła mocno usta, ale jego wargi okazały się niesamowicie chytne, słodkie i cierpliwe.

Czuła wyraźnie, że jej opór słabnie.

Miał rację. Naprawdę lubiła jego pocałunki.

Choć zmysły dały wyraźnie o sobie znać, coś w jej duszy krzyczało. Ale Morgan niczego od niej nie wymagał. Uciekł się jedynie do łagodnej perswazji, a pocałunki sprawiały jej grzeszną przyjemność, z którą nie potrafiła walczyć. Gdzieś głęboko w podświadomości pragnęła, by trwało to całe wieki.

Ale dlaczego? Dlaczego tak się działo? Krew krążyła szybko w jej żyłach. W piersiach wzbierało dręczące, nie znane dotąd uczucie. Zdała sobie nagle sprawę, że nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego przy Nathanielu. Nigdy! Przeraziła ją własne reakcje, nad którymi nie potrafiła zapanować.

*Ten człowiek jest twoim mężem* - przypominał jej jakiś natrętny głos, ale ona i tak czuła się winna. Jakże mogła dopuścić do tego, by brat Nathaniela budził w niej takie uczucia?

Zwinne palce Morgana pokonały bez trudu barierę szlafroka, uchylając jego poły z zamiarem nie budzącym żadnych wątpliwości. Dotknął jej tak śmiało i bezwstydnie jak przystało na zuchwalca. Ugniatał wypukłość jej piersi, która nie zaznała dotąd pieczyoty żadnego mężczyzny.

Ogarnęła ją panika - i w tej samej chwili wróciła do rzeczywistości.

Oderwała się od Morgana i pchnęła na ślepo jego tors.

- Przestań! Mówię ci, przestań!

Stanął w miejscu jak kamień. Uniósł wolno głowę.  
- Nie mogę tego zrobić! Słyszysz? Nie mogę!  
Przeszywał ją na wylot płonącym wzrokiem.  
- Czego? - spytał niebezpiecznie cicho.  
- Nie będę z tobą spać - oświadczyła desperacko.  
- Nie będziesz ze mną spać - powtórzył.  
- Nie! - Krzyknęła. - Nie mogę. Nie teraz. Nie dziś.  
Właściwie... - Urwała.

Zaległa złowroga cisza.

- Nigdy? - dokończył za nią myśl.

Dopiero wówczas dostrzegła, że rysy jego twarzy nieruchomieją. Przytaknęła, niezdolna oderwać od niego wzroku. Morgan miał zaciśnięte szczęki i patrzył na nią bezlitośnie.

Gwałtownie wypuścił ją z objęć.

- Nie przypominam sobie, żebym cię kiedykolwiek o to prosił, kochanie. - Jego ton był ostry jak brzytwa.

Elisabeth cofnęła się o krok.

- Ale na dole mówięś...

- Powiedziałem, że panna młoda nie powinna się upijać.

- Więc nie zamierzasz... - Urwała. Nie mogła wykrztusić więcej.

- Nie. Ale chcę znać prawdę. - Zanim zdążyła się odsunąć, chwycił ją za ramiona i przyciągnął blisko do siebie. - Powiedz mi szczerze. Czy zachowywałabyś się tak samo, gdyby na moim miejscu był teraz Nathaniel?

Odrzuciła wzrok. Nie postąpiła z nim przecież okrutnie, toteż zupełnie nie rozumiała, dlaczego doznaje przedziwnego wrażenia, że go zraniła.

Niemożliwe. Absurd.

Nie ustępował. Uniósł jej podbródek i spojrzął w oczy.

- Odpowiedz. Czy odmówiłabyś Nathanielowi tego, czego odmawiasz mnie?

- Nie! - krzyknęła, choć tak naprawdę nigdy o tym nie myślała. Złość i uczucie zawodu wyraźnie dawały o sobie znać. Zachnęła się i popatrzyła na niego płonącym wzrokiem.

- Nie pragnęłam tego małżeństwa ani ciebie - powiedziała z irytacją. - Myślałeś, że lubię, jak mnie całujesz i nie myliłeś się. Wyobrażałam sobie po prostu, że jesteś Nathanielem, rozumiesz? Udawałam!

późno. Często nawet po dwunastej. A czasem Elisabeth wydało się, że nie wrócił w ogóle.

Tak jak ubiegłej nocy.

*Gdzież on w takim razie się podziewał? Przesiadywał u kochanki?*

Wciąż dręczyło ją to pytanie, choć wmawiała sobie, że nie powinna się interesować, z kim ten łajdak sypia i że powinna być szczęśliwa, iż nie z nią.

Lecz ów problem nie dawał jej spokoju. Gdy przekonała się, że Morgan nie zamierza zmuszać jej do uległości, odczuła głęboką ulgę, ale sama myśl o tym, że ma kochankę, wzbudzała w niej uczucie zbliżone do przykrości. Nie rozumiała jednak zupełnie, dlaczego w ogóle ją to obchodzi. Wiedziała tylko, że jej ojciec nie zrobiłby czegoś podobnego ani matce, ani Clarissie, gdyż zbyt sobie cenił wierność i lojalność, by otwarcie z nich kpić.

Pewnego poranka znalazła na tacy liścik napisany zamasztyłym męskim pismem.

*Mam bilety do opery. Bądź gotowa na siódmą.*

Ze złością zwinęła kartkę w kulkę i rzuciła ją na podłogę.

- Zobaczmy, mój panie - mruknęła pod nosem. - Może się jeszcze okazać, że pójdziesz tam sam.

Była wściekła, że Morgan nie przekazał jej tej wiadomości osobiście.

W dodatku nie zapytał nawet, czy ma ochotę wyjść.

Zanim zegar wybił szóstą, Elisabeth uspokoiła się. Pomyślała nawet, że wspólnie spędzony wieczór może ich trochę do siebie zbliżyć.

Ubrała się bardzo starannie. Chciała wyglądać jak najlepiej. Annie zaczesła jej włosy wysoko, tak, by odsłaniały smukłą szyję. Ciemnoniebieska suknia z atłasu nie była wprawdzie nowa, ale Elisabeth zawsze ją bardzo lubiła. Na szyi zapięła sznur pereł otrzymany w prezencie od Morgana.

Wreszcie była gotowa. Pokojówka z parteru dwukrotnie przybiegała na górę, by ją poinformować, że Morgan czeka w holu. Schodząc ze schodów Elisabeth dostrzegła, że mąż - ubrany w ciemny, elegancki strój wieczorowy - przemierza niecierpliwie korytarz.

Zauważył ją jednak dopiero wtedy, gdy zeszła na ostatni stopień. Otaksował ją od czubka głowy aż po obcasy pantofli, a Elisabeth wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, co powie.

Jego oczy nie wyrażały jednak absolutnie nic, nawet śladu zadowolenia. Była w nich tylko zimna obojętność. Patrzył na nią jak na mebel.

Poczuła się tak, jakby naraz coś w niej umarło, ale postanowiła niczego po sobie nie pokazać. Z dziwną pustką w sercu uniosła dłoń w białej rękawiczce i położyła mu koniuszki palców na przedramieniu.

Droga do teatru upłynęła im w całkowitym milczeniu.

Niemniej jednak Elisabeth wcale nie miała zamiaru się umartwiać. Gdy wysiadali z powozu, zdobyła się nawet na uśmiech. Wkrótce wchłonał ich tłum. Już w teatrze okazało się, że Morgan wykupił wspaniałe miejsca, co bardzo ją ucieszyło. Z balkonu widać było doskonale środek sceny.

Kurtyna poszła w górę. Od tej chwili Elisabeth przestała w ogóle zwracać uwagę na swego męża. Całą jej uwagę przykuła rozgrywająca się na dole historia. W roli głównej bohaterki występowała sopranistka z głosem jak żywe srebro.

Przerwa rozpoczęła się o wiele za szybko. Podobnie jak inni widzowie, Morgan i Elisabeth wstali z miejsc i udali się do holu, gdzie podawano napoje. W powietrzu unosił się zapach perfum i wody kolońskiej, słychać było strzępy rozmów. Morgan przyniósł Elisabeth wino, lecz sam - tak, jak się tego spodziewała - nie pił nic.

Gdy wręczał jej kieliszek, ich palce nawet się nie zetknęły.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś taką entuzjastką opery - zauważył, unosząc lekko brew.

Straciła panowanie nad sobą. *Bo niby i skąd mógłbyś o tym wiedzieć?* - pomyślała i w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie wykrzyknąć mu tego pytania prosto w twarz. Po chwili jednak gniew jej przeszedł.

- Mój ojciec bardzo lubił operę. Gdy bywaliśmy w Londynie, staraliśmy się nie opuścić żadnego spektaklu.

- Byliście sobie bardzo bliscy, prawda? - spytał.

Przestała się uśmiechać.

- Bardzo - odparła cicho.

Podeszło do nich kilku mężczyzn wraz z żonami, dokonano

prezentacji. Błyskały klejnoty. Mimo woli Elisabeth dostrzegła, że panowie patrzą na nią z podziwem. Jej mąż zdawał się tego nie zauważać. Kobiety natomiast wdzięczyły się do niej trochę sztucznie i pytały o plany towarzyskie na najbliższą przyszłość.

Gdy tylko odeszła ostatnia para, Morgan nachylił się do jej ucha.

- Bostońska śmietanka - szepnął.

- Ach tak - odparła poważnie, ale zaraz uroczo się uśmiechnęła. - Raczej gromada pyszałków, nie sądzisz?

Spotkali się wzrokiem. W oczach Morgana błysnęło zdziwienie, lecz natychmiast ustąpiło miejsca czemuś, co sprawiło, że Elisabeth poczuła przyspieszone bicie serca i wstrzymała oddech.

Spojrzała mu przez ramię i dostrzegła nieznaną brunetkę, która przyglądała mu się bezwstydnie. Kobieta - ubrana w odważnie wyciętą suknię ze szkarłatnego atłasu - wyglądała pięknie i egzotycznie zarazem. Jej lśniąco czerwone usta były jednak zaciśnięte ze złości. Nawet na taką odległość Elisabeth wyczuła bez trudu jej niezadowolenie.

- Ta kobieta miałaby ochotę wysłać cię do samego diabła - powiedziała lekko do Morgana. - Znasz ją?

Odwrócił się i poszedł za jej spojrzeniem.

- Tak - odrzekł krótko. - Ale ona nie powinna cię obchodzić.

Nastrój prysnął jak bańka mydlana. Elisabeth poczuła, że robi się jej niedobrze. Wszystko stało się nagle jasne.

Ta piękność była jego kochanką.

Kiedy zaś brunetka posłała jej wściekłe spojrzenie i pokazała plecy, Elisabeth straciła jakiekolwiek złudzenia.

Przestała cieszyć się widowiskiem i popadła w okropny nastrój, równie beznadziejny, jak jej przyszłość. Całą resztę wieczoru spędziła cierpiąc katusze.

Odezwała się do Morgana dopiero wówczas, gdy dojeżdżali do domu.

- Nie chcę mieszkać tuż obok ciebie - powiedziała. - Wolałabym wrócić do swego starego pokoju.

Wystarczyło, że na niego zerknęła, a już wiedziała, że popełniła błąd.

- Wykluczone - odparł krótko.

Zaskoczyła go odwagą choć tak naprawdę nie była wcale w bojowym nastroju.

- Dlaczego? - spytała po prostu.

Spojrzał na nią z taką miną że ogarnął ją strach.

- Bo to by wywołało różne zbędne komentarze w domu, a nawet poza domem. A ja nie zamierzam znosić żadnych plotek na nasz temat.

Elisabeth nie wierzyła własnym uszom.

- Plotek! - wykrzyknęła. - I kto to mówi? Myślisz, że nikt nic wie, o której wracasz? Albo że czasem w ogóle nie nocujesz we własnym łóżku?

- W twoim również nie. Sądziłem zatem, że reszta cię nie interesuje.

Żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. Morgan wykorzystał jej własne słowa w wyjątkowo okrutny sposób.

I nie zamierzał puścić ich w niepamięć.

- Czyżby doskwierała ci samotność? Nie, niemożliwe. Przecież to ty nie chciałaś mieć ze mną nic wspólnego.

Uniosła wojowniczo podbródek.

- Nasze małżeństwo jest czystą farsą. Nie widzę powodu, by ją kontynuować. Właśnie dlatego chciałabym przenieść swoje Beczy do starego pokoju!

Zacisnął mocno ręce na jej ramionach i przyciągnął tak blisko, że poczuła jego oddech na twarzy.

- Nie naruszę twojej prywatności - powiedział, a z oczu leciały mu iskry. - Swojej również zamierzam strzec jak oka w głowie. Mimo to zostaniesz tam, gdzie mieszkasz teraz.

Aż krzyknęła z gniewu. Morgan miał nad nią nieograniczoną władzę, a jej życie legło w gruzach. Chciała mu się wyrwać, lecz poniosła fiasko. Wyraźnie nie zamierzał jej puścić.

- W takim razie żądam, żebyś zamontował zamek!

Nawet w tak słabym świetle dostrzegła wyraźnie, jak zaciska szczęki.

- Chciałbym postawić sprawę jasno - odparł z lodowatym spokojem. - Nie życzę sobie zamków we własnym domu. Poza tym sądziłem, że już wszystko ustaliliśmy. Gdybym cię pragnął, nie powstrzymałyby mnie żadne rygle.

W tej samej chwili powóz stanął pod domem. Drzwi otworzyły się, a Morgan natychmiast zeskoczył na ziemię. Elisabeth ugryzła się w język i powstrzymała gniew w obawie, że stangret

może ich usłyszeć. Nie chciała korzystać z pomocy męża przy wysiadaniu, ale on pomógł jej stanąć bezpiecznie i wziął ją pod ramię.

- Puść mnie - nakazała natychmiast, gdy znaleźli się wewnątrz.

On jednak zacisnął mocniej palce na jej delikatnej ręce i pociągnął ją za sobą.

- Nie skończyliśmy rozmowy.

Mruknęła tylko coś w odpowiedzi. Nigdy nie spotkała się z podobną arogancją.

Nadszedł Simmons.

- Sir - zaczął. - Muszę panu powiedzieć, że pański...

- Nie teraz - uciał Morgan.

Poprowadził Elisabeth do biblioteki, po czym zamknął starannie drzwi. Dziewczyna wreszcie wyzwoliła się z jego uścisku i spojrzała mu prosto w twarz.

W tej samej chwili dostrzegła jakiś ruch w głębi pokoju. Zanim zdołała wyrzec bodaj słowo, usłyszała głośny, ochrypły śmiech.

- Muszę przyznać, Morgan - powiedział czyjś męski głos - że kupujesz wspaniały koniak. - Szkoda, że nie możesz się nim delectować.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Z fotela przy kominku podniosła się niedbale czyjaś postać. Dziewczyna zamarła z wrażenia. Patrzyła z niedowierzaniem na rozgrywającą się przed nią scenę.

Dobry Boże! To był Nathaniel!

## Rozdział jedenasty

Nie mogłaby przysiąc, kto był bardziej zaskoczony: ona czy on.

Nathanielowi uśmiech zamarł na ustach. W pokoju zaległa kompletna cisza.

Przerwał ją Morgan.

- Widzę, że już się rozgościłeś - powiedział, biorąc Elisabeth za rękę. - Chciałbym ci przedstawić swoją małżonkę, lady Elisabeth Stanton, jedyną córkę hrabiego Chester. Ale zaraz ... wy się chyba znacie, prawda?

Nathaniel potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli.

- Elisabeth - odezwał się chropawym głosem. - Dobry Boże, w jaki sposób...

- Przybyła tutaj ponad dwa miesiące temu - wyjaśnił Morgan lodowato. - Ale ty oczywiście nic nie wiedziałeś.

Nathaniel nie mógł oderwać od niej oczu. Odstawił kieliszek i wyciągnął rękę do dziewczyny.

- Elisabeth - wyszeptał błagalnie. - Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz, że za niego nie wyszłaś.

Pokręciła lekko głową.

- To prawda - odrzekła z lekkim wahaniem. - Prawie dwa tygodnie temu wzięliśmy ślub.

- Jak mogłaś? A niech to wszyscy diabli! Jak mogłaś?!

Rozpacz w głosie Nathaniela przejęła ją do żywego. Chciała do niego podbiec, ale Morgan przyciągnął ją do siebie i zaniknął

w żelaznym uścisku. Rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie zdążyła.

- Jesteśmy małżeństwem - ubiegł ją Morgan - I nikt na świecie nie może tego zmienić.

Wyraz twarzy Nathaniela uległ zaskakującemu przeobrażeniu.

- Odczep się - powiedział z płonącymi oczami. - A właściwie wyjdź. Chcę z nią porozmawiać sam na sam.

- Nie - odparł krótko starszy O'Connor.

I choć nie podniósł głosu, zabrzmiało to złowieszczo.

Atmosfera zgęstniała.

- Do diabła - zaklął Nathaniel. - To sprawa między mną a Elisabeth.

- Już nie.

Nat zacisnął pięści.

- Ty draniu - syknął. - Ja poznałem ją wcześniej. Ona jest moja. Przyjechała tutaj dla mnie i mam prawo...

- Nie masz. A Elisabeth nie należy do ciebie. Widzisz, znam prawdę. Wiem, że podawałeś się za bogatego budowniczego okrętów z Bostonu. Co za zbieg okoliczności! Nigdy bym się nie domyślił, że mamy ze sobą tyle wspólnego. Wiem również, że oczarowałeś tę dziewczynę, że wyznałeś jej miłość i poprosiłeś o rękę. Oczywiście, ani przez chwilę nie zamierzałeś się z nią ożenić.

Powoli mijały sekundy, a Nathaniel nie zaprzeczał. Patrzył tylko spode łba na brata, a na szyi wystąpiły mu plamy.

- Ale to już nie ma znaczenia - ciągnął Morgan - ponieważ Elisabeth została moją żoną a w tej sytuacji wszystko, co jej dotyczy, staje się również moim problemem. Tak więc, wybacz, ale jesteśmy zmęczeni - kontynuował uśmiechając się szyderczo - toteż nie możemy się już doczekać wspólnie spędzonej nocy.

Elisabeth skamieniała ze zgrozy. Morgan ujął ją pod ramię, wyprowadził z biblioteki i pociągnął na górę. Gdy stanęli pod jej sypialnią dziewczyna natychmiast wyrwała mu ramię.

- Zachowałeś się okropnie! - wybuchnęła.

- On zna drogę do wyjścia.

Elisabeth kipiała z oburzenia. Choć wiedziała, że jej policzki wciąż płoną zdobyła się jednak na parę słów prawdy.

- Powiedziałeś to wyłącznie po to, żeby go poniżyć!

Morgan nie odpowiedział. Otworzył tylko drzwi i puścił ją przodem.

- Mogłeś przynajmniej być grzeczny!

Zamknął drzwi, oparł się o framugę i skrzyżował ręce na piersiach.

- Przykro mi, że nie podobają ci się moje maniery - odparł chłodno patrząc na nią nieobecny wzrokiem. - Ciekaw jednak jestem bardzo, czy wiesz, po co on tutaj przyszedł.

- A ty?

- Zapewniam cię, że ja go nie zapraszałem. Ale to chyba jest dla ciebie jasne.

Było.

Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego panuje między nimi tak dziwna atmosfera.

Podeszła do toaletki, stanęła przed lustrem i uniosła dłoń, by odpiąć perły.

- Może chciał zasięgnąć twojej rady.

Morgan stanął tuż za nią.

- Wierz mi - powiedział do jej odbicia - że nie. - Złożył mi tę wizytę wyłącznie z jednego powodu - powiedział twardo.

Elisabeth walczyła nadal z zapięciem naszyjnika.

- A jakież to powód, jeśli można wiedzieć?

Poczuła delikatny i ciepły dotyk jego palców na karku - odsunął jej dłoń. Przeszedł ją dreszcz.

• To chyba jasne - odparł cicho. - Pieniądze.

Perły spoczęły bezpiecznie w szufladzie toaletki.

Dopiero wtedy Elisabeth zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech. Bliskość Morgana odbierała jej spokój, powodowała gwałtowne bicie serca. Odsunęła się szybko, pragnąc zwiększyć dzielącą ich odległość.

- Twój osąd jest doprawdy godny ubolewania - powiedziała spokojnie.

- Godny ubolewania, powiadasz? Cóż, to świetne określenie, tyle że pasuje raczej do Nathaniela - Zaśmiał się wesoło. - Kiedyś zrozumiesz, co miałem na myśli.

- Dlaczego tak go nie lubisz? - spytała.

Morgan zacisnął usta.

- To nieprawda. Widzę go tylko takim, jakim jest. Ty również powinnaś się tego nauczyć.

- Potrafię samodzielnie myśleć. Dziękuję ci za pomoc - odparła przez zaciśnięte zęby. I zaczynam rozumieć, dlaczego tak się nie znosicie. Jesteście po prostu zbyt do siebie podobni.  
- Szeleszcząc spódnicą podeszła do drzwi łączących ich sypialnie. - A teraz... wybacz, ale to był naprawdę długi, męczący dzień.

- W takim razie nie będę cię dłużej zatrzymywał - pożegnał ją Morgan z cichą nutką sarkazmu w głosie.

Nie poszedł jednak do siebie, tylko do holu i natychmiast wyszedł. W chwilę później zatętniły końskie kopyta.

Elisabeth doznała dziwnego uczucia przykrości. Morgan nie miał złudzeń co do Nathaniela. A ona wiedziała - również bez żadnych wątpliwości - że jej małżonek poszedł do swojej kochanki.

Następnego ranka długo leżała w łóżku. Obudziła się z uczuciem tak silnego zmęczenia, jakby wcale się nie kładła. Zasnęła jednak dopiero o świcie. Z tego też powodu zrezygnowała ze śniadania i postanowiła zaczekać na południowy posiłek.

Gdy siedziała samotnie w jadalni, Simmons przyniósł jej list na srebrnej tacy.

- Właśnie przyniesiono to dla pani, lady Elisabeth.

Elisabeth otarła usta chusteczką i sięgnęła po kopertę.

- Dziękuję, Simmons - powiedziała z uśmiechem.

Sądząc, że to zaproszenie na przyjęcie, w pierwszej chwili chciała odłożyć list. Potem jednak zauważyła, że na kopercie widnieje wyłącznie jej nazwisko.

Otworzyła ją radośnie z dziwnym uciskiem w gardle. Ale gdy przeczytała liścik, przestała się uśmiechać.

Nathaniel prosił ją o spotkanie. Podał adres na Hansen Street i błagał, by przyszła tam po południu.

Zagryzła wargę zapominając o lunchu. Intuicja ostrzegała ją, że jej mąż nie byłby tym zachwycony. Jakżeby jednak mogła odmówić? Zeszłego wieczoru Morgan nie dopuścił do żadnych rozmów i wyjaśnień. Nic dziwnego, że Nathaniel chciał się z nią zobaczyć.

Ona również miała do niego kilka pytań...

Wstała, wezwała do siebie Simmons'a i poprosiła, by kazał Willisowi - stangretowi - szykować powóz.

Chciałam zrobić trochę zakupów - powiedziała.

W ciągu godziny dotarła na miejsce. Przytrzymując targany wiatrem kapelusz odprawiła Willis'a do domu i oznajmiła, że wróci sama, dorożką. Stangret zdziwił się bardzo, lecz ona była stanowcza. Gdy powóz zniknął za rogiem, ruszyła szybko chodnikiem w stronę małego budynku z cegły.

Nie uszedł jej uwagi fakt, że znalazła się w niezbyt eleganckim otoczeniu. Z ziemi wystawały tu i ówdzie kępki trawy, szyba w oknie na górze była pęknięta, zasłony miały brudno-żółty kolor, a kołatka z brązu - zardzewiała.

Usłyszała odgłos kroków wewnątrz domu. Nathaniel otworzył drzwi na oścież.

- Elisabeth! Wiedziałem, że przyjdiesz! - Uśmiechał się do niej ciepło i radośnie.

Wchodząc do środka, nie czuła się dobrze. Coś się zmieniło przemknęło jej przez myśl. - Wszystko się zmieniło.

Nathaniel wskazał jej drogę do małego saloniku.

Mimo że umeblowanie pozostawiało tu wiele do życzenia, Nathaniel był - jak zwykle - starannie i elegancko ubrany. Rozłożył ramiona.

- Jak widzisz - oświadczył - mój brat zapewnia mi utrzymanie na wysokim poziomie.

- Nie sądzę, by w ogóle powinien cię utrzymywać. - Nie udało się jej powstrzymać zjadliwej repliki.

Przestał się uśmiechać.

- Już cię omamił, prawda? Nastawił cię przeciwko mnie. - Zaklął siarczyście. - Do wszystkich diabłów! Jak mogłaś? Jak mogłaś mnie zdradzić?

Odebrało jej mowę - najpierw ze zdziwienia, a później ze złości.

- Zdradzić? Niczego takiego nie zrobiłam! Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Umówiliśmy się, że kiedy tylko mój ojciec wyzdrowieje, przyjadę do ciebie. Ale papa umarł. Wówczas postąpiłam tak, jak obiecałam. Udałam się w podróż, gdy tylko to było możliwe.

Nathaniel świetnie potrafił udawać zażenowanie.

- Tak mi przykro. Nic nie wiedziałem.

- To ty nie dotrzymałaś słowa. - Patrzyła na niego płonącymi oczyma. Obiecałaś, że będziesz czekał! Ale nie czekałaś i sądzę,

że należą mi się wyjaśnienia! Twój brat wynajął nawet prywatnego detektywa, by cię odszukał.

- Wyjechałem z Bostonu zaraz po powrocie z Londynu - odparł szybko. - Byłem w Nowym Jorku. Musiałem odwiedzić przyjaciela, którego nie widziałem od lat.

- Dlaczego w takim razie nie napisałeś? Sądziłam, że zastanę cię na miejscu.

- Masz rację, popełniłem błąd. Teraz to wiem. Ale, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się ciebie tak szybko. Sądząc z tego, co słyszałem, choroba twego ojca mogła się ciągnąć miesiącami.

- Ale tak się nie stało, prawda? - W jej głosie zabrzmiała wyraźnie nutka goryczy.

Milczał dłuższą chwilę.

- W dalszym ciągu jednak nie rozumiem, dlaczego wyszłaś za Morgana.

Elisabeth skrzyżowała ręce na piersiach.

- Gdy tu przyjechałam, poszłam prosto do jego domu, sądząc, że to twoja rezydencja. Ale byłam bardzo chora i zemdlałam, gdy zobaczyłam Morgana zamiast ciebie. Zarówno on, jak doktor Marks, bardzo troskliwie się mną opiekowali.

- Czyżbyś poślubiła mego brata z wdzięczności?

- Raczej z konieczności - ucięła. - Nie miałam innego wyboru. Nie mogłam wrócić do Anglii. I już tam nie wrócę. Ty zniknąłeś. Zostało mi bardzo mało pieniędzy i...

- Bardzo mało pieniędzy! Elisabeth! Twój ojciec nie należał do biedaków. Z pewnością coś ci zostawił.

- Zapisał prawie cały majątek Clarissie - dla mnie przeznaczył tylko posiadłość w hrabstwie Kent. Podkreślił jednak, że mam ją otrzymać dopiero po ślubie. Niestety, zgodnie z jego wolą to Clarissa musiała mi znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. A ona aprobowała tylko lorda Harry'ego Carltona. Gdy oświadczyłam, że go nie poślubię, wydziedziczyła mnie.

- Nic ci nie zostało? - Nathaniel był wyraźnie zdumiony.

Jego reakcja przyprawiła ją o gwałtowny skurcz serca, ale nie dała niczego po sobie poznać.

- Nic - odparła spokojnie.

- To znaczy, że przyjechałaś do Bostonu wiedząc, że jesteś bez grosza?

Wtedy zrozumiała... zrozumiała, że to nie ona zwróciła na siebie uwagę Nathaniela.

Interesowała go wyłącznie wypchana kabza jej ojca.

Co za ironia losu! Morgan nie ożenił się z nią przecież dla pieniędzy, tylko dla tytułu. Poślubił lady Elisabeth Stanton, jedyną córkę hrabiego Chester.

- A więc ty mnie nie kochałeś? Darzyłeś uczuciem wyłącznie moje pieniądze?

- Ależ skąd! Jak możesz tak myśleć?

Nie dała się jednak nabrać na jego urażoną minę.

- To nie ty zostałeś oszukany, Nathanielu. Nie mówiłam ci nigdy, że jestem bogata ani tym bardziej nie przypisywałam sobie cudzych osiągnięć. Nie obiecywałam, że będę czekać na kogoś, komu złożyłam propozycję małżeństwa.

- Wiem - odparł szybko. Usiadł i przeczesał palcami włosy. Ja tylko... nie spodziewałem się ciebie tak szybko - powtórzył.

- Bądźmy szczerzy. W ogóle się mnie nie spodziewałeś. - Ku swemu ogromnemu zdziwieniu Elisabeth nie odczuwała najmniejszej przykrości.

Nathaniel popatrzył na nią z nadzieją.

- Może, gdybyś wróciła do Anglii, Clarissa w końcu by ci wybaczyła. Rozwiodłabyś się z Morganem...

Rozwód! Taki skandal?!

• - Nie. Nie mogę. Nie zrobiłam nic złego i nie zamierzam udawać, że jest inaczej.

Czyniła wysiłki, by ukryć rosnące oburzenie, ale nie całkiem jej się to udawało.

- Z całą pewnością nie ukorzę się przed Clarissą dla pieniędzy. A ja i twój brat - niezależnie z jakiego powodu - jesteśmy małżeństwem.

Nathaniel wstał. Szukał pytającym wzrokiem spojrzenia dziewczyny.

- Elisabeth... czy on... czy wy...?

Nie musiał mówić więcej. Elisabeth spłonęła rumieńcem. Nie mogła potwierdzić, ale - na Boga! - nie wolno jej było również zaprzeczyć.

Nathaniel sam wyciągnął z tego wnioszek.

- Zmusił cię do małżeństwa, prawda? - spytał wojowniczo. Oczywiście, że tak. Znam Morgana i wiem...



- Nie, wcale mnie nie zmuszał. - Jej obowiązkiem było bronić męża, choć - ukrywając faktyczny stan rzeczy - czuła się jak ostatnia hipokrytka. - Pewien człowiek, całkowicie wyzuty ze wszelkich skrupułów, odkrył, że mieszkam w domu Morgana. Szantażował go. Morgan doszedł do wniosku, że jedynie ślub może uchronić nas przed skandalem. Zaproponował mi małżeństwo, gdyż chciał ocalić moje dobre imię i reputację. Nie dbał o siebie. Tak więc, jak widzisz, sama dokonałam wyboru. Wysłałam za twego brata z własnej woli.

Nathaniel patrzył na nią z kamienną twarzą.

- Boże, to rzeczywiście pasuje do Morgana - parsknął. - Zbawca i rycerz bez skazy! Jak zwykle!

- Wszystko jedno. Tak czy inaczej, jesteśmy małżeństwem. Nie mogłabym żyć, gdybym nie dochowała wierności samej sobie. - Zerknęła na drzwi. - Wybacz mi. Muszę wracać. Robi się późno. - Odwróciła się i ruszyła do wyjścia, stukając obcasami po drewnianej podłodze.

Nathaniel -jak zwykle szarmancki — pospieszył natychmiast, by otworzyć przed nią drzwi.

- Chciałbym, żebyś wiedziała - powiedział na koniec - że naprawdę chciałem cię poślubić. - Gdybym tylko nie musiał wyjechać tak nagle..

- A dlaczego właściwie musiałeś?

Westchnął i zrobił przeproszącą minę.

- Powiedziałbym ci na pewno, ale, niestety, nie mogę. Przy sięgam, że nie mogę.

- Nie, Nathanielu. Ty nie chcesz. To zupełnie co innego. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

Nie odpowiedział.

- Proszę cię, nie rób tego - poprosił, gdy chciała go wyminąć. - Wiem, że nie będziesz szczęśliwa z Morganem. On jest...

- On jest teraz moim mężem - dokończyła. - I nic tego nie zmieni. - Potrząsnęła lekko głową. - Wszyscy dokonaliśmy wyborów, a teraz musimy żyć zgodnie z tym, co postanowiliśmy. Nie utrudniaj nam jeszcze bardziej sytuacji. Musisz zaakceptować nasze małżeństwo, tak, jak akceptują je ja.

Nie mogła już powiedzieć nic więcej. Odwróciła się tylko i wysłała, a w chwilę później usłyszała trzaśnięcie zamykanych od wewnątrz drzwi.

Gdy wróciła do pokoju, odwinęła szal i rzuciła go na łóżko, rozcierając czubkami palców obolałe skronie. Pomyślała, że być może gorąca kąpiel ją ożywi. Kolację zamierzała zjeść w pokoju.

Po niedługim czasie pławiła się już w dużej, drewnianej wannie. Wokół niej unosiły się kłęby pary. Chciała zostać sama, więc zwolniła Annie, ułożyła ręce wzdłuż ciała i oparła się wygodnie. Upragniony spokój jednak nie powracał. Rozbiegane myśli nie pozwalały wrócić do równowagi.

*Musisz zaakceptować to małżeństwo, tak, jak akceptują je ja.*

Skrzywiła się. Co w nią wstąpiło? Dlaczego to powiedziała?

*Musisz zaakceptować to małżeństwo, tak, jak akceptują je ja.*

Gdyby rzeczywiście mogła je zaakceptować...

Usłyszała skrzypnięcie zawiasów i zmarszczyła brwi.

- Nie musisz mi pomagać - odkrzyknęła, sądząc, że to Annie. Dam sobie radę sama!

Nikt się nie odezwał. Zaszleściło ubranie.

- Ależ ja bardzo chętnie służę! - Ten kpiący ton znała aż nadto dobrze.

Morgan stał tuż za nią. Elisabeth pochyliła się szybko do przodu i przyciągnęła zaciśnięte kolana do piersi. Serce waliło jej jak młotem. A on przyklęknął przy wannie i wycisnął trochę wody z gąbki wprost na jej nagie ramię. Zachowywał się tak, jakby robił to codziennie i miał do tego prawo!

Przecież ma - podpowiadał jej jakiś natrętny głos. - Jest twoim mężem.

Co... co ty robisz? - wyjąkała.

Myję ci plecy w nadziei, że kiedyś mi się zrewanżujesz.

I rzeczywiście. Mył ją tak, że wstrzymała oddech i straciła mowę.

Zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli. Rzucona do wanny gąbka wylądowała w wodzie z głośnym plaśnięciem tuż obok jej prawej dłoni. Namydlił ręce i mył plecy dziewczyny od karku po wcięcie nad biodrami. Dotykał jej mocno i odważnie; skóra paliła ją jak ogień w miejscach, gdzie zawędrowały jego palce. Elisabeth była zbyt zdumiona, by się poruszyć.

A poza tym trochę się bała.

Nie mogła również zapomnieć tego, co jej powiedział: *Myję ci plecy w nadziei, że kiedyś mi się zrewanżujesz.*

Sama jego obecność tutaj była oburzająca. Nie mówiąc już o tym, że ją mył. A gdy pomyślała, że mogłaby dotknąć go w ten sposób... przesunąć koniuszkami palców po tych umięśnionych plecach... Elisabeth nigdy nie widziała mężczyzny w stroju Adama.

W jej głowie kłębiły się tysiące myśli. W końcu Morgan odsunął się od wanny, a Elisabeth kątem oka dostrzegła, że wstaje.

- Woda stygnie. Nie sądzisz, że powinnaś już wyjść?

- Zobaczysz mnie bez ubrania! - krzyknęła, gdyż w pierwszej chwili nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Owszem. Ale już i tak cię widziałem, nie pamiętasz?

Wolałaby, żeby jej o tym nie przypominał.

- Przecież nasze małżeństwo nie jest typowe - wyjąkała.

- Istotnie. - Zgodził się natychmiast, a Elisabeth pochwyliła niepokojącą nutkę w jego głosie. - Dwa tygodnie temu był ślub, a ty jeszcze nie spałaś ze swoim mężem.

Poczuła, że ma serce w żołądku, ale zdobyła się na resztki odwagi i zerknęła przez ramię. Morgan stał nie opodal i patrzył na nią surowo.

- Proszę - powiedziała, usiłując zachować godność, co nie było wcale łatwe w takiej sytuacji. - Obiecałeś, że nie odbierzesz mi prywatności.

Posłał jej lekki uśmiech.

- Rzeczywiście, moja droga. Obiecałem. - Sięgnął po surdut. - Przyślę Annie na górę. I każę Simmonsowi podać kolację za-powiedzmy piętnaście minut?

Przytaknęła z roztargnieniem, gdyż głowę zaprzętały jej zupełnie inne myśli. A więc Morgan zamierzał spędzić wieczór w domu. Jej nadzieje na samotną kolację w pokoju rozwiały się jak mgła. Gdy tylko wyszedł, szybko wstała i wytarła się ręcznikiem. Nie zastanawiała się długo nad doбором stroju, pozostawiła ten problem decyzji Annie. Pokojówka podała jej aksamitną suknię w kolorze starego burgunda, podkreślającą złocisty odcień jej włosów.

Morgan czekał w jadalni. Wchodząc do pokoju, zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest spóźniona. Przeprosiła za opieszałość, a jej mąż zachowywał się niezwykle grzecznie aż do końca posiłku.

Dopiero przy kawie - Elisabeth była pewna, że nigdy nie przyzwyczai się do tego napoju - Morgan skierował na nią całą swoją uwagę.

Słyszałem od Simmons'a, że wybrałaś się dziś do miasta. Co kupiłaś?

- Ja... - zająknęła się... właściwie nie byłam w nastroju, żeby chodzić po sklepach - odparła cicho. - Nie powinnam była jechać sama.

Rozumiem. - Patrzył na nią chłodno szarymi oczami. - Powinnaś była poprosić Nathaniela, żeby ci towarzyszył.

Elisabeth popatrzyła mu w oczy, a to, co w nich zobaczyła przyprawiło ją o skurcz serca.

- A więc ty wiesz - szepnęła. - Wiesz, że się z nim widziałam.

- Tak, wiem. Nie potrafisz kłamać. Daleko ci pod tym względem do mego brata.

Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy. Nigdy nie widziała go w równie ponurym nastroju. Zadygotała całym ciałem i spłótła dłonie, by uspokoić ich drżenie.

- Ufam, że przeżyliście wiele wzruszeń - powiedział bardzo nieprzyjemnym tonem.

Potrząsnęła głową.

Nie, to nie było tak...

Więc jak?

Z pewnością rozumiesz, że należały mu się jakieś wyjaśnienia - odparła, próbując zachować resztki spokoju.

Wyjaśnienia. Tak. Chyba rozumiem. Zastanawiam się jednak, czy nie uznałaś, że należy mu się coś jeszcze?

Zacisnęła delikatne wargi.

Ublizas godności swego brata, sugerując podobne rzeczy.

On nie wie, co to godność.

Wciągnęła głęboko powietrze,

- Postaw się na chwilę w jego sytuacji. Miałam wyjść za niego za mąż. A gdy wreszcie wrócił do domu, okazało się, że poślubiłam zupełnie kogo innego. I to w dodatku jego brata. Ma chyba prawo wiedzieć, co się stało.

Morgan wykrzywił usta z obrzydzeniem.

- Nic mu się od ciebie nie należy. Zawiódł twoje zaufanie, a ty się nad nim litujesz. Tak, Nathaniel zawsze potrafił nabierać

ludzi. Dziwne, że jeszcze tego nie zauważyłaś. Ale nic straconego. W końcu na pewno sama się przekonasz, że miałem rację.

Wtedy właśnie Elisabeth zrozumiała wszystko. Myślała dotąd, że Morgan nie lubi Nathaniela, albo że ma do niego żal.

- Dobry Boże! - powiedziała śmiało. - Ty go nienawidzisz!

W głębi serca oczekiwała, że Morgan zaprzeczy. Albo że będzie usiłował ją zapewnić, że się myli. Ale on niczego takiego nie zrobił. Jego milczenie wystarczyło za odpowiedź.

Zaszokowało ją to i przerażyło. Poślubiła człowieka, który się wyrzekł własnego brata.

Wstała, wyprostowała się dumnie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Możesz sobie wierzyć, w co chcesz - powiedziała wyraźnie. To nie ma znaczenia, ponieważ znam prawdę. Tak, poszłam na spotkanie z twoim bratem. Nie powinnam była kłamać, ale wiedziałam, że będziesz na mnie zły, jeśli się dowiesz, gdzie naprawdę byłam. I to wszystko. Wytłumaczyłam mu tylko, dlaczego cię poślubiłam. Trudno byłoby to nazwać schadzka. Do niczego się nie przyznam, bo mam czyste sumienie. A teraz wybac. Chciałabym pójść do swego pokoju. Wolę własne towarzystwo od twego.

Nie czekając na pozwolenie wstała i, szeleszcząc fałdami sukni, z dumnie uniesionym podbródkiem, wyszła jak królowa do sypialni.

Zanim jednak tam dotarła, jej gniew przerodził się w żal. Przebrała się w koszulę nocną i szlafrok, a potem stanęła nieruchomo naprzeciw lustra. Nie zobaczyła w nim jednak własnego odbicia - przed oczami stanęła jej zacięta twarz Morgana.

Gryzło ją sumienie. Nie powinna była okłamywać Simmons. Nie zasłużyła jednak na gniew Morgana i jego oskarżenia.

W jej głowie kłębiły się dziesiątki pytań, na które nie znajdowała odpowiedzi. Dlaczego Morgan tak otwarcie ją podejrzewał? Przecież - dokładnie tak, jak twierdziła - nie zasłużyła na takie zachowanie. Może był po prostu podejrzliwy z natury? A może w jego życiu wydarzyło się coś, co odebrało mu zaufanie do ludzi?

Była tak pogrążona w zadumie, że nie usłyszała, jak otwierają się i natychmiast zamykają drzwi łączące ich sypialnie. Dopiero

gdy w tafli lustra zamajaczyła jej postać męża, Elisabeth podniosła wzrok i wstrzymała oddech.

Morgan miał na sobie tylko szlafrok, związany luźno paskiem w talii, rozchylony tak, że odsłaniał gęste, ciemne włosy poro----- mu pierś.

Spotkali się wzrokiem. Elisabeth rozchyliła szeroko oczy przerażenia. On jednak patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Co ty tu robisz? - spytała pośpiesznie.

Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie miałaś racji, moja droga. Ten wieczór się jeszcze nie skończył. - Urwał znacząco - Dla żadnego z nas.

Miała wrażenie, że zamiera jej serce. Wiedziała, co oznacza jego przybycie i ta świadomość paraliżowała ją. Zaszło jej w ustach.

- Co masz na myśli? Co zamierzasz?

Na jego ustach pojawił się złowieszczy, nieprzyjemny półuśmiech.

- Jedynie to, co powinienem był zrobić w noc poślubną - Odparł cicho.

## Rozdział dwunasty

Niemądre pytanie. Jesteś moją żoną. Czy muszę coś jeszcze wyjaśniać?

Ale... ale mówiłeś, że nie żywisz do mnie żadnych uczuć.

Dobry Boże! Dziewczyno! Mężczyzna i kobieta nie muszą się kochać, by dzielić ze sobą łóżę i czerpać przyjemność ze swych ciał.

Krew zastygła jej w żyłach.

Nie masz prawa...

Zupełnie przeciwnie. Mam. Jestem twoim mężem. A ty moją żoną. Czy też może nie oparłaś się pokusie, by o tym zapomnieć, gdy spotkałaś się dziś z Nathanielem?

Elisabeth przymknęła oczy i uczyniła nadludzki wysiłek, by nic ulec ogarniającej ją panice. Gdyby to był tylko sen! Kiedy jednak uchyliła powieki, Morgan wciąż stał na swoim miejscu.

Dlatego tu przyszedłeś, prawda? Słowa uwięzły jej w gardło. Bo wiesz, że się z nim widziałam. Zauważyłam, jak na niego patrzysz. Jest dokładnie tak, jak mówię. Ty go nienawidzisz. Choćby teraz - chcesz wyładować całą swoją złość, jaką żywisz do niego, na mnie.

Ależ mylisz się, kochanie. Wcale nie jestem zły. Odkryłem jednak coś, czego nie mogę tolerować. Nie życzę sobie - popatrzeć na nią wyzywająco - by to on leżał w twoim łóżku zamiast mnie.

Był taki spokojny. Tak całkowicie panował nad sobą i swymi uczuciami.

To ją jeszcze bardziej przerażało.

Zacisnęła usta, by przestały drżeć. Czuła się tak, jakby stanęła oko w oko ze swoim Stwórcą po to tylko, by zostać skazana na życie w nieznanym świecie ciemności i chłodu.

Dopiero wtedy Morgan wziął ją w ramiona. Miał irytująco ciepłe, duże dłonie. Nagle poczuła się tak mała i samotna jak nigdy.

Bez przekonania uniosła rękę, jakby chciała go odepchnąć.

Proszę... Nie chcę...

- Ale ja chcę.

Położył sobie jej dłonie na ramionach i objął ją w talii. A potem przytulił ją tak mocno, że ledwo mogła zaczerpnąć powietrza.

- Powiedz mi, co tak cię pociągało w moim bracie. Zalecał Nie do ciebie? Uwodził cię? - pytał leniwie. Otworzyła usta, by

Gdzieś w głębi duszy Morgan wiedział od dawna, że tak się stanie. Zdawał sobie z tego sprawę niemal od początku. I usiłował walczyć ze sobą od chwili, gdy ją pocałował.

A teraz zabrakło mu już sił.

Czuł do niej urazę za to, co mu zrobiła, za to, że przez nią skręcały mu się wnętrzności. A najbardziej za to, że nadal jej pragnął, choć oddała serce Natowi.

Ileż to nocy przeleżała samotnie w łóżku, myśląc o Nathanielu? Marząc, że wyszła za męża za niego?

To wszystko dręczyło go i powodowało piekący ból w piersi.

Boże! Przecież ona należała do niego! Do niego! Była jego żoną.

Zrobił krok naprzód. Nadszedł czas, by jego dumna oblubienica nareszcie się o tym dowiedziała.

Elisabeth zeszywniała ze strachu. Z trudem poruszała ustami.

- Proszę cię, wyjdź.

- Nie, najdroższa. - W dalszym ciągu się uśmiechał. - Tym razem nie.

Zadrzało jej serce.

- Czego chcesz?

- Ciebie - odparł, patrząc jej prosto w oczy swym chmurnym spojrzeniem.

Nie mogła znaleźć słów.

- Dlaczego? - wyjąkała.

Ale on tylko pokręcił głową.

coś powiedzieć i w tej samej chwili dostrzegła, że Morgan wpija się wzrokiem w jej wargi.

- Nieważne - mruknął- - Teraz jesteś ze mną. Uniósł delikatnie jej podbródek. Oczy dziewczyny rozszerzyły się z przestachu, gdy zrozumiała, ku czemu on zmierza, było już jednak za późno.

Dotknął wargami jej ust, lecz nie w tak zaborczy i nieustępliwy sposób, jakby się mogła spodziewać. Przeciwnie - słodko i gorąco. Jej protesty utonęły w żarze pocałunków. I jeśli zamiarem Morgana było odwrócić jej uwagę od Nathaniela, to w pełni mu się to udało.

Nathaniel nigdy jej w ten sposób nie całował - myślała jak przez mgłę, dopóki nie rozszalały się w niej zmysły, które odebrały jej całkowicie zdolność rozumowania. Ledwo zarejestrowała dotyk zwinnych palców rozwiązujących pasek jej szlafroka i wślizgujących się pod cienką tkaninę. Doznawała wrażenia, że boli ją całe ciało - ale to jej nie przerażało. Jej sutki naprężyły się i stwardniały, w dole brzucha odczuwała dziwne napięcie.

Wciąż pożerał zachłannie jej usta, jakby umierał z głodu i jakby ona stała się jego jedyną szansą na przetrwanie. Elisabeth pławiła się w mrocznej mgłę rozkoszy. Gdyby postępował z nią gwałtownie - tak, jak groził - być może zaczęłaby kopać i krzyczeć. Lecz on kusił i nalegał tylko za pomocą sztuki swych pocałunków, a takiej perswazji nie potrafiła się oprzeć.

Jego język staczał ostrą potyczkę z jej językiem. Dziewczyna wydała cichy jęk, jakby ogarnęła ją nagle jakaś niewysłowiona tęsknota. Za czym? Nie wiedziała. Gdy uniósł wreszcie głowę, przytuliła się do niego tylko, by nie upaść - czuła się zupełnie jak zamroczone.

Tyle, że teraz była naga.

U jej stóp leżała koszula nocna i szlafrok. Stała w milczeniu, świadoma, że Morgan cofnął się o krok i bada swymi świdrującymi oczami koloru cyny każdy obnażony centymetr jej ciała. Zalała ją gorąca fala wstydu. Skurczyła się cała pod jego nieustępliwym wzrokiem, pewna, że jej twarz - ba, nawet całe ciało - przybrało ognisty odcień. W starym jak świat geście uniosła ramiona, by osłonić piersi.

Ale on jej na to nie pozwolił. Zamknął kruche przeguby dziewczyny w uścisku twardym jak stal i odsunął na bok jej ręce. Usłyszała męski, cichy śmiech.

- Nie, Elisabeth. Nie zniosę dzisiaj żadnych panieńskich protestów.

A ona gdzieś w podświadomości wyczuwała, że nie zdoła go powstrzymać.

Morgan również o tym wiedział.

Ogień, jaki trawił go od środka, objął również jego łądzwie, rozpalil wzbierającą męskość. Elisabeth wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Skóra dziewczyny miała mleczną, niemal przezroczystą barwę pereł, jakie ofiarował jej w prezencie. Choć dzięki długim, smukłym nogom i szczupłym rękóm wydawała się krucha, żadnej kobiecie nie udało się wzbudzić w nim takiego pożądania. Sutki jej małych sprężystych piersi przybrały ma linowy odcień. Talia osy kontrastowała z krągłością bioder. A w dole brzucha trójkąt złocistych włosów strzegł zazdrośnie bram do raju. Porwany nagłą namiętnością Morgan uniósł ją wysoko i położył na łóżku.

Gdy legł tuż obok, napięły mu się naraz wszystkie mięśnie. A potem przyciągnął ją blisko do siebie. Znow objął gorąco ustami jej wargi, tylko że teraz już mu to nie wystarczyło.

Nakrył więc szczupłą, smagłą dłonią krągłą pierś dziewczyny. Oszołomiona podobną zuchwałością Elisabeth oderwała usta od **jego** ust. Zupełnie nie była przygotowana na widok, jaki ukazał się nagle jej oczom: nabrzmiała delikatność piersi pasowała do kształtu dłoni Morgana - tak, jakby zostali dla siebie stworzeni.

Bedąc wciąż w szoku patrzyła, jak kciuk mężczyzny zatacza wolne kręgi wokół jej piersi w lubieżnej, bolesnej pieszczocie. Jej sutki twardniały aż do bólu; wydała zduszony jęk, lecz nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, że ów odgłos wydobył się jej gardła.

To jednak wcale nie był koniec.

Usta Morgana zakradły się na jej szyję, a potem zawisły nad piersią. Zaczęła oddychać płytko i szybko. Najpierw dotknął jej językiem, a Elisabeth poczuła się tak, jakby nagle poraził ją piorun. Później zamknął wargi wokół ciemnoróżowej, nabrzmiałej sutki i wessał ją głęboko do ust.

Elisabeth stłumiła okrzyk. Wbiła palce w delikatną skórę na ramionach Morgana, ale nie zamierzała go powstrzymać. Dobry Boże! Nie potrafiła. Zapomniała o wszystkim. O gniewie. O wszelkich powodach, dla których nie chciała dopuścić do tego,

co właśnie nastąpiło. Lecz przecież nie istniało nic poza tą słodką torturą, jakiej Morgan poddawał jej ciało. I choć płonęła ze wstydu - świadoma, że popełnia szaleństwo - odczuwała tak ogromne podniecenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

Morgan czuł się podobnie.

Pożądanie odebrało mu zmysły. Pragnął tylko zanurzyć się w niej głęboko, do końca. Krew mu wrzała, powiódł ręką niżej, kryjąc ją na chwilę w złotej gęstwinie i rozpoczął dalsze poszukiwania.

Odnalazł jej słodki sekret jednym palcem. Krzyknęła i wbiła mu paznokcie w ramię. Zagryzł zęby. Jakże była wąska... Jakiś głos szeptał mu, że ta dziewczyna jest niewinna. Ale nie słuchał. Przecież to niemożliwe. Otrzymała staranne wychowanie, to prawda, ale zakochała się w Nathanielu, a on na pewno odebrał jej wianek.

Cofnął rękę. Wstał, zrzucił szlafrok i cisnął go na podłogę.

Gdy Elisabeth popatrzyła na jego nagie ciało, uśmiechnął się bezlitośnie. Dziewczyna poczuła dziwną suchość w ustach - szeroki tors Morgana porastała gęstwiną ciemnych, kręconych włosów, jego biodra były niesamowicie wąskie, a brzuch płaski jak deska.

Powiodła wzrokiem niżej.

Stłumiła okrzyk na widok jego nabrzmiałej męskości otoczonej kędzierzawą dżunglą. Nie potrafiła jednak odwrócić od niego wzroku, gdy znów położył się obok.

Ręce i nogi drżały jej mocno, ale nie z podniecenia, tylko ze strachu. Rozchyliła usta, a on znów objął je w posiadanie. Czowała ucisk jego szerokiego torsu na piersiach i napór wzwiedzionego członka na udo. Gdy Morgan uniósł się na łokciu i dźwignął nad nią, ponownie ogarnęła ją panika.

Udało się jej uwolnić usta.

- Proszę! Proszę! Nie! - To nie była odmowa, lecz rozpaczliwy apel do jego sumienia.

Nie zwrócił na nią uwagi.

- Muszę ci coś powiedzieć...

- Nie teraz. - Gorący szept musnął jej ucho.

- Ale ja nigdy...

- Cicho - powiedział ochryplym głosem. Zaplótł palce wokół jej dłoni leżącej bezwładnie na materacu i ciężarem swych ud rozsunał jej nogi, pozostawiając ją bezbronną i otwartą.

Jedno płomienne pchnięcie i już był wewnątrz... głęboko... w środku...

To stało się zbyt szybko, aby go mogła powstrzymać. Otworzyła szeroko oczy i krzyknęła głośno, gdyż przeszył ją rozdzielający ból. Odepchnęła go mocno, ale leżał na niej - twardy i nieruchomy jak kamień.

- Proszę - błagała - Proszę.

Morgan znieruchomiał, a jego twarz wykrzywił grymas... bólu? Uderzyła go w ramię.

- Co ty zrobisz? - wykrztusiła. - Co zrobisz?

- Elisabeth! Nie ruszaj się!

Ale ona już go nie słyszała. Czowała tylko, jak głęboko w niej tkwi. W końcu, całkowicie pokonana, zaniechała dalszej walki.

Palący pręt opuścił jej ciało, czego nie mogła powiedzieć o bólu. Przymknęła oczy i odwróciła głowę do ściany. Prawie nie spostrzegła, że Morgan okrył niezgrabnie jej nagość prześcieradłem, po czym wstał i włożył szlafrok.

Materac ugiął się pod jego ciężarem, gdy usiadł z powrotem na łóżku.

Do diabła! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Elisabeth zeszywniała. On jeszcze śmiał mieć do niej pretensje? Przekręciła się na bok i przycisnęła prześcieradło do nagich piersi.

- Próbowałam! - krzyknęła. - Ale nie chciałeś mnie słuchać! Gdybym wiedział...

• To co? Zostawiłbyś mnie w spokoju? - w jej podniesionym łosie dźwięczała wyraźnie nutka hysterii. - To by nic nie zmieniło i doskonale o tym wiesz!

Morgan odetchnął głęboko i wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia.

• Elisabeth...

Odsunęła się.

- Daj mi spokój - poprosiła urywanym głosem. - Zostaw mnie samą.

Zamarł. W mgnieniu oka opadły z niego wszelkie emocje. Zwinął dłoń w pięść.

- Jak sobie życzysz - powiedział i szybkim ruchem podniósł się z łóżka.

Zostawił ją zwinętą w kulkę, łkającą cichutko.

Nad ranem w karafce nie było już ani kropli koniaku.

## Rozdział trzynasty

Następnego ranka Elisabeth wstała z łóżka zmęczona i obołała. Myślała wyłącznie o wydarzeniach ubiegłej nocy. Czyżby dlatego kobiety tak niechętnie poruszały te delikatne tematy? Na wspomnienie tego, co zaszło, zalała ją fala gorąca.

Poczuła dziwny ucisk w gardle. Przez dłuższy czas doznawała zwodniczej, słodkiej rozkoszy. Oblała się rumieńcem na myśl o tym, jak Morgan ją pieścił, gdzie jej dotykał...

Potem jednak to pierwsze wrażenie ustąpiło pod wpływem bolesnego ucisku w głębi jej ciała, w miejscu, gdzie nie dotarł przedtem żaden mężczyzna. Już nigdy nie spojrzy w lustro. Nie popatrzy też Morganowi w oczy nie mogąc myśleć o tym, co się stało.

W końcu jednak nie miała innego wyjścia, lecz ilekroć go spotykała, była spięta i zdenerwowana. On natomiast zachowywał się bardzo oficjalnie.

Od tamtej pory nie nocował w domu - Elisabeth nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Pewnego wieczoru Simmons poinformował ją, że Morgan czeka na nią w gabinecie. Gdy stary lokaj wyszedł, Elisabeth zaczęła rozpaczliwie szukać jakiegokolwiek wymówki, która pozwoliłaby jej uniknąć spotkania.

Poszła do gabinetu pełna obaw wprawiających ją w stan silnego zdenerwowania.

Gdy zapukała, przed oczyma stanął jej nagle pewien obraz:

ona leży na wznak na dywanie, Morgan na niej... Nie wiedziała, skąd się to wzięło, ponieważ sama myśl była gorsząca i skandaliczna. I w gruncie rzeczy tak śmieszna, że Elisabeth uspokoiła się nieco. Przecież żaden mężczyzna nie miałby ochoty robić takich rzeczy w gabinecie... a w dodatku na podłodze.

Zapukała zadziwiająco głośno, a gdy zaprosił ją do środka, pchnęła mocno drzwi.

Morgan spojrział na nią zza biurka. Ich oczy spotkały się, co było z pewnością największą torturą, jakiej zaznała w życiu. O'Connor miał obojętny wyraz twarzy - w przeciwieństwie do niej najwyraźniej zupełnie nie odczuwał skrępowania.

- Usiądź, proszę - powiedział, wskazując krzesło naprzeciw biurka. - Powiniennem być poruszyć z tobą wcześniej ten problem, ale jakoś wyleciał mi z głowy. Simmons przypomniał mi jednak o sprawie. Tak czy inaczej, chciałbym ci powierzyć zarządzanie domem. Otworzyłem specjalne konto w banku, a ołożone tam pieniądze przeznaczam właśnie na ten cel.

Mył grzeczny, ale bardzo oficjalny.

W razie, gdyby zaszła potrzeba, możesz również korzystać z pieniędzy, jakie trzymam tutaj - ciągnął, wskazując na szufladę przy swojej lewej nodze. Klucz leży pod porcelanowym wazonem na kominku. A gdybyś potrzebowała funduszy na specjalne wydatki, natychmiast daj mi znać.

Elisabeth złożyła dłonie na kolanach i wymamrotała parę słów podziękowania.

Ustanowiłem również fundusz na twoje wydatki osobiste, Jeśli go zaaprobujesz, zamierzam wpłacać co tydzień na konto pieniądze do twojej wyłącznej dyspozycji. - Wymienił astronomiczną kwotę.

Elisabeth potrząsnęła głową.

Naprawdę, to zupełnie niepotrzebne. - I tak mam więcej, niż mi potrzeba.

Uniósł ciemną brew.

- To nie jest kwestia potrzeb, moja droga. Doskonale znam kobiece słabości, więc nie widzę powodu, dla którego miałabyś się pozbawiać takich przyjemności - powiedział sztywno. - Poza tym chciałbym zapewnić ci utrzymanie na poziomie, do jakiego przywykłaś.

Elisabeth opuściła wzrok, czując się tak, jakby ją wychłosta-

no. I dlaczego doznawała wrażenia, że Morgan uważa ją za osobę zachłanną i rozrzutną? Wiedziała jednak, że dalsze protesty mogą go obrazić.

- Dziękuję. Jesteś bardzo hojny - odparła cicho.

Przyjął podziękowanie do wiadomości lekkim skinieniem głowy i wstał. Elisabeth popatrzyła w górę. Gdy obszedł biurko i zbliżył się do niej, wstrzymała oddech z wrażenia. Wydał się jej potężniejszy niż zwykle, jeszcze bardziej barczysty. Ku swemu przerażeniu złapała się na tym, że przypomina sobie, jak wyglądał bez ubrania: wysoki, zgrabny, męski, wspaniale zbudowany, mocno owłosiony...

Przycupnął na brzegu biurka. Wyciągnął niedbale nogi, skrzyżował ręce na piersiach i przygwoździł ją spojrzeniem. Jego bliskość wprawiła ją w niepokój. Ledwo się powstrzymała, by nie schować nóg pod krzesło. A gdy spoczął wargami na jej ustach, coś w niej aż podskoczyło.

- W przyszłym tygodniu zamierzam wydać przyjęcie - oznajmił rzeczowo. - Wśród gości będzie mój bankier oraz człowiek o nazwisku James Bruebaker. Pan Bruebaker projektuje klipy. Sądzę, że w przyszłości jego usługi będą bardzo poszukiwane, toteż postanowiłem wejść z nim w spółkę.

Elisabeth słuchała z uwagą. Morgan po raz pierwszy dzielił się z nią swymi problemami zawodowymi, co szalenie ją ucieszyło. Być może w końcu zaczął jej ufać.

- Bruebaker będzie projektował statki, a ty je zbudujesz.
- Właśnie. - Urwał. - Dopilnujesz przygotowań do przyjęcia.
- Oczywiście - odrzekła z zadowoleniem.
- Jest coś jeszcze. Bruebaker pochodzi z Liverpoolu i na pewno będzie zachwycony, jeśli dotrzyma mu towarzystwa jego rodaczka.

Uśmiech zamarł na jej twarzy, a radość rozplynęła się w powietrzu.

- Rozumiem. A jakie będzie moje zadanie?

- Proszę tylko o to, co z pewnością doskonale potrafi angielska dama. Bądź miła i czarująca - odparł z lekkim uśmiechem.

Dama. Do reszty straciła humor. Dlaczego on zawsze wypowiada to słowo obelżywym tonem?

- Poza tym - ciągnął Morgan - byłoby dobrze, gdyby

Bruebaker wyszedł od nas w ugodowym nastroju. Być może przyjąłby chętniej moją ofertę. - Urwał. - Byłbym wdzięczny, gdybyś wyświadczyła mi tę uprzejmość.

W końcu mogła się tego spodziewać. Czyż nie dlatego się z nią ożenił? Czyż nie po to, aby otworzyć drzwi, jakie dotąd były dla niego zamknięte?

Gorycz zalała jej serce. Nie była ukochaną uwielbianą żoną. Była tylko nagrodą. Trofeum, którym mógł się szczycić przed ludźmi. Pionkiem w grze.

Ale też w końcu on nigdy nie udawał, że mogłoby być inaczej - przypomniała sobie natychmiast. - Nigdy.

Dlaczego więc było jej tak przykro?

Kilka następnych dni upłynęło w gorączce przygotowań do przyjęcia. Musiała napisać i rozesłać zaproszenia, przedyskutować menu z kucharzem, dopilnować, by należycie wypastowano podłogi i wypolerowano meble.

Gdy wreszcie nadszedł ów ważny dzień, Elisabeth była równie zdenerwowana, jak przed własnym ślubem. W noc poprzedzającą przyjęcie nie spała w ogóle. Zerwała się z łóżka o świcie, bo miała jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Późnym popołudniem wymknęła się do swego pokoju na krótką drzemkę. Obudziła się wprawdzie zmęczona, lecz nieco odświeżona. Tymczasem jednak zrobiło się bardzo późno.

Dzięki Bogu za Annie. Pokojówka przygotowała jej kąpiel w ciągu paru minut, a gdy Elisabeth wyszła z wanny, uczesała ją i pomogła włożyć suknię w kolorze starego wina, która dodawała jej odwagi. Suknia miała głęboki dekolt, odsłaniający ramiona i piersi.

Morgan czekał na nią na dole. Wyczuła, że bardzo się niecierpliwi, zanim jeszcze na niego spojrzała. Zebrawszy spódnice, stanęła naprzeciwko małżonka.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że jest tak późno.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, nie pomijając najmniejszego szczegółu.

- Ładnie wyglądasz - stwierdził krótko.

Chciała mu się zrewanżować, ponieważ istotnie wyglądał wyjątkowo korzystnie, ale ledwo zdążyła otworzyć usta, rozległ się dzwonek do drzwi.

W ciągu kwadransa przybyli wszyscy goście. Elisabeth wmie-



szła się w tłum, świadoma, że jest to jej pierwszy występ w roli pani domu. Pragnęła wywiązać się jak najlepiej ze swego zadania.

*A może chciała sobie zaskarbić uznanie Morgana?*

Odrzuciła jednak tę myśl, jako zupełnie absurdalną. Dlaczego, na Boga, miałaby chcieć, by jej mąż był z niej dumny? Przecież on nie darzył jej żadnym uczuciem. A ona jego tym bardziej.

Albo też tylko to sobie wmawiała.

Po kolacji, gdy goście przeszli do salonu na kawę i koniak, Elisabeth poczuła się o wiele lepiej. Zgodnie z tym, o co prosił ją Morgan, poświęcała wiele uwagi panu Jamesowi Bruebakerowi - siedziała obok niego podczas posiłku, a później wdała się z nim w ożywioną dyskusję. Zresztą, nie sprawiło jej to najmniejszych trudności.

Spodziewała się kogoś znacznie poważniejszego, bardziej wyniosłego i surowego. Okazało się jednak, że Bruebaker jest niewiele starszy od Morgana. Ten jasnowłosy, rumiany, trochę niezadarny i cichy mężczyzna wzbudził jej szczerą sympatię.

Bruebaker niedawno owdowiał. Jego maleńki synek i żona ponieśli śmierć w wypadku. Elisabeth wywnioskowała z rozmowy, że głęboko ich kochał.

- Brakuje mi jej i George'a bardziej niż mogę to wyrazić słowami - powiedział smutno - a jednak dziękuję Bogu za każdą godzinę, jaką pozwolił mi z nimi spędzić.

Elisabeth współczuła mu gorąco. Głuchy ból przeszył jej serce, gdyż takie właśnie uczucia spodziewała się znaleźć w swoim małżeństwie. Nie mogła przestać myśleć o testamencie ojca. Czy na pewno powierzyłyby szczęście córki Clarissie, gdyby wiedziały, jaki gotuje jej los?

Ku jej wielkiemu zdziwieniu prześladowała ją również inna myśl. Co ojciec sądziłby o Morganie? Czy uważałby go za lepszego kandydata na męża od Nathaniela? Hrabia Stanton należał do ludzi o nieposzlakowanej uczciwości, nade wszystko zaś cenił sobie szczerść i prawdomówność.

Zresztą, i tak nic nie mogło zmienić obecnego stanu rzeczy. Nathaniel ją oszukał, a Morgan był bezgranicznie uczciwy.

Czasem nawet aż do bólu.

A teraz wciąż czuła na sobie jego spojrzenie. W jadalni,

w salonie. Patrzył na nią nawet wówczas, gdy stał przy kominku, pogrążony w rozmowie z bankierem.

Czyżby nic nie mogło ująć jego uwagi?

Wkrótce zrobiło się późno. Stała u boku Morgana, by pożegnać gości. Niemal obawiała się chwili, w której drzwi zamkną się po raz ostatni.

Zostali sami. Jej niepokój wrócił jak bumerang, choć starała się tego nie okazać.

- Wszystko poszło dobrze, prawda? - spytała lekko, siląc się na uśmiech.

Popatrzył na nią chłodno.

- Bruebaker rzeczywiście uznał, że jesteś czarująca. - Urwał na chwilę. - Muszę przyznać, że naprawdę potraktowałaś poważnie swoje zadanie.

Elisabeth uniosła lekko podbródek, ale nie straciła panowania nad sobą.

- Sądziłam, że tego właśnie oczekujesz.

- Odniosłaś sukces, ponieważ zaproponował mi spotkanie jutro z samego rana. Ale, o ile sobie dobrze przypominam, prosiłem cię, żebyś była czarująca, a nie - uwodzicielska.

Elisabeth wyprostowała się jak struna.

- Zrobiłam wyłącznie to, o co prosiłeś. Nic więcej.

Wbił palce w jej delikatne ramię dokładnie w chwili, w której zamierzała się odsunąć.

- Oświadczam ci, moja droga, że nie zamierzam wychowywać niczyich bachorów. Ani tych spłodzonych przez mego brata, ani żadnych innych.

Odskoczyła jak oparzona.

- Jeśli masz o mnie takie zdanie, dlaczego w ogóle się ze mną ożeniłeś? - Poczwała nieoczekiwany przypływ odwagi. - Ach, tak. Zapomniałam! Cenisz sobie wysoko moje arystokratyczne pochodzenie. A mimo to twierdzisz, że zachowuję się jak zwykła dziewczka, choć tak naprawdę chyba sam w to nie wierzysz.

Po twarzy Morgana przemknął jakiś cień - może poczucie winy? Elisabeth smakowała przez chwilę swe drobne zwycięstwo.

- Wiem, że nie postępowałaś w ten sposób przed ślubem - powiedział w końcu - ale wiem również, na co nie pozwolę.

- Och, tak. Dość jasno się wyraziłeś. Nie będziesz tolerował żadnych kochanków. Ja - dokończyła gniewnie - również nie mam takiego zamiaru.

Popatrzył na nią, jakby postradała zmysły.

- Co, konkretnie, masz na myśli?

- Nie jestem taką idiotką, za jaką mnie uważasz! - powiedziała ostro. - Tamtego wieczoru, w operze, gapiła się na ciebie pewna kobieta. Zapytałam cię, kim ona jest, a ty odparłeś, że nikim, kto mógłby mnie zainteresować. Ale obawiam się, że ona jednak mnie obchodzi, skoro dokładnie wiem, że to twoja kochanka. Przecież u niej ostatnio sypiasz!

Ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził.

- Czy muszę ci przypominać o naszej nocy poślubnej? Powiedziałaś mi wtedy dość jasno, że nie dasz mi rozkoszy.

- Niemniej jednak nie życzę sobie, abyś spotykał się z tą kobietą - odpowiedziała brawurowo. - A teraz pójdę odpocząć, jeśli pozwolisz.

Morgan nie odpowiedział. Gdy zaś wymaszerowała z pokoju z dumnie podniesioną głową, popatrzył za nią z kamienną twarzą.

Poszedł wolnym krokiem do biblioteki, gdzie usiadł na aksamitnym krześle, wyciągnął przed siebie nogi, rozpiął surdut i koszulę.

Otaczały go ciemności tak ponure, jak jego nastrój.

I choć żadnym gestem nie zdradził niepokoju, w głowie miał zamęt.

Przez cały wieczór - niezależnie od tego, gdzie się znajdował - myślał wyłącznie o niej. O swojej żonie. Żonie, która go odtrącała.

Im dłużej tak siedział, tym bardziej był wzburzony.

Okazało się, że poślubił upartą purytankę. Choć wcale nie sprawiała takiego wrażenia. Jej nagie ramiona kusiły go przez cały wieczór. Wciąż wracał myślami do chwili, gdy ją posiadał - pamięć o tym paliła go jak ogień. Nie potrafił zapomnieć tego, co odczuwał wówczas, gdy wreszcie się w niej zagłębił, wciąż czuł, jak jego twarda męskość tkwi w gorącej i ciasnej pułapce jej ciała.

Chryste, jakże on chciał dokończyć ten ledwo rozpoczęty akt. Wyjście z niej było najtrudniejszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek

udało mu się dokonać. Chciał eksplodować tam w środku i rozpocząć wszystko od nowa.

A teraz znów krew w nim zawrzała parząc mu żyły i spalając ciało, jak piorun.

Ona jednak stała się dla niego bardziej niedostępna niż kiedykolwiek.

Zacisnął mocno szczęki. Wcale tak nie musiało być. Dobry Boże! Wcale tak nie będzie!

Pobiegł schodami na górę przeskakując po dwa stopnie naraz.

Elisabeth siedziała przed lustrem ubrana w prostą koszulę z długim rękawem, zapiętą pod samą szyję. Włosy opadały jej luźno na ramiona jak złota zasłona. Przeczesała szczotką błyszczące pasma w nadziei, że to monotonne zajęcie ukoi jej nerwy.

Nie wiedziała, czy powinna się cieszyć ze swego wybuchu, czy też go żałować.

Morgan dowiedział się wreszcie, że nie będzie dłużej tolerować jego kochanki i dobrze się stało.

Z drugiej strony jednak, na samo wspomnienie reakcji małżonka odczuwała dreszcze. Bo - szeptał jakiś natrętny głos - czyż nie uciekła przed nim na górę powodowana strachem?

*Wcale nie uciekłam - zaprzeczyła w duchu.*

*Ależ tak - upierał się głos. - Jesteś tchórzem.*

*Nie!*

*Właśnie, że tak*

Zakończyła toaletę i odetchnęła głęboko. Musiała w końcu przyznać, że poślubiła bardzo przystojnego mężczyznę.

A tego wieczoru Morgan prezentował się szczególnie korzystnie.

Otworzyły się drzwi wewnętrzne, łączące ich sypialnie. W chwili, gdy zrozumiała, co to oznacza, zamarła ze strachu. Serce skoczyło jej do gardła, ale lęk natychmiast ustąpił miejsca irytacji. Biorąc pod uwagę temat rozmowy, jaki podjęli w holu, nie mogła uwierzyć, że Morgan śmiał wejść do jej pokoju.

Dzieliło ich zaledwie parę kroków. Elisabeth poczuła, że napinają się jej wszystkie mięśnie, lecz nawet nie poruszyła się. Ich oczy spotkały się w lustrze. Ona patrzyła na niego niespokojnie, jego wzrok nie wyrażał nic.

- Czego chcesz? - spytała krótko.
  - Sądziłem, że to oczywiste. Muszę z tobą porozmawiać.
  - Czy to nie może poczekać do rana? Proponuję również, abyśmy dokończyli naszą dyskusję gdzie indziej.
- Uśmiechnął się w sposób nie wróżący niczego dobrego.
- Nie. To nie może poczekać. A miejsce jest jak najbardziej odpowiednie. W istocie, moja droga, nie mógłbym sobie nawet wymarzyć lepszego. A ty nie masz dokąd uciec.

## Rozdział czternasty

Elisabeth poczuła, że jej serce wali jak młotem. Z rosnącym przerażeniem patrzyła, jak Morgan chodzi tam i z powrotem po pokoju z rękami splecionymi na plecach. Jego nieskazitelnie biała koszula była odpięta przy szyi i odsłaniała kępkę kędzierzawych, ciemnych włosów.

- Odeszłaś, zanim dokończyliśmy rozmowę.

Nie odpowiedziała. Ścisnęła szczotkę tak mocno, że pobieleły jej kostki i opuściła bezwładnie rękę na kolana.

- Nasz układ nie funkcjonuje tak, jak się spodziewałem. Zgadzasz się ze mną?

Elisabeth zawahała się, ale w końcu przytaknęła.

- W takim razie uważam, że powinniśmy zacząć odgrywać nasze role. Ty wyznaczyłaś jednak pewne granice. Zgoda. - Urwał na chwilę. - Lecz wobec tego ja również zamierzam ci postawić swoje żądania.

Mówił bardzo cicho, ale wyraźnie dosłyszała cierpką nutę w jego głosie i pożałowała, że nie ugryzła się w język.

- Na przykład jakie? - spytała, z trudem poruszając ustami.

Usadowił się tuż za nią, tak blisko, że musnął koszulą jej włosy.

- Od miesiąca jesteśmy małżeństwem - powiedział z chłodnym namysłem. - Szczerze mówiąc, moja droga, oczekiwałem od mojej żony znacznie więcej.

Znów udało mu się ją rozzłościć.

- Być może ja również spodziewałam się czegoś więcej po swoim mężu! - wybuchnęła.

- Wspaniale. Bo właśnie doszedłem do wniosku, że chcę, a nawet marzę o tym, by wypełniać moje małżeńskie obowiązki. Zatrzymał wzrok w miejscu, gdzie jej nagie piersi prześwitywały przez koszulę.

W jego oczach pojawił się nieomylny, rozpustny błysk. Wiedziała dokładnie, co Morgan ma na myśli. Znów przypomniała sobie wyraziście chwilę, gdy wbijał w jej ciało ostrą włócznię męskości, tak, jakby chciał rozerwać ją na pół.

Poczuła nagle, że ogarnia ją panika. Nie zniesie tego po raz drugi! Z pewnością nie!

- Nie o to mi chodziło - wykrzyknęła, zrywając się z miejsca.

- A mnie właśnie o to. - Chwyił ją za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Patrzył zaś na nią tak, jakby chciał pojąć ją wzrokiem.

Po chwili puścił ją gwałtownie.

- Czuję się oszukany. Włożyłaś dzisiaj czerwoną suknię, a czerwień to kolor namiętności. A co ty mi ofiarowujesz? - Wykrzywił usta. - Moja idealna, bostońska - wybacz - angielska żona jest zimna jak lód.

Elisabeth nie odezwała się, bo cóż właściwie mogła powiedzieć? Patrzyła tylko na niego przerażonymi oczami.

Powiódł pogardliwie palcem po kołnierzyku jej koszuli.

- Zdejmij to - rozkazał krótko.

Nawet gdyby chciała spełnić jego życzenie, nie mogła ruszyć ręką. Zalała ją kolejna fala strachu, bo wiedziała, że Morgan nie ustąpi. Wydawało się, że przeskakują między nimi iskry.

Uniósł brew.

- Chyba, że wolisz, abym ja to zrobił.

Zbladła.

- Jaki z ciebie mąż, skoro masz takie wymagania - spytała, zbierając resztki odwagi.

Morgan zacisnął szczęki. Elisabeth drżała na całym ciele - nie spodziewała się, że znajdzie się w takim niebezpieczeństwie.

- Biorę, co mi się należy - pamiętasz przysięgę? - Jego głos

stał się drażniaco przykry. - A ja jestem na pewno lepszym mężem, niż ty - żoną.

- Nie! Wziąłeś to, co chciałam dać! - krzyknęła dziko.

- Komu? - parsknął. - Nathanielowi? Być może powinnaś zapytać mego brata, dlaczego go tu nie było, kiedy wróciłaś z Anglii. I dlaczego w końcu wrócił. Bo ja sądzę, że ta wdowa z Nowego Jorku miała go wreszcie dość. Albo on jej.

Doznała szoku. Gdy zrozumiała, o czym on mówi, krew odpłynęła jej z twarzy. Morgan wiedział, że Nathaniel przebywa w Nowym Jorku. Wiedział o tym cały czas.

- Znalazłeś go - wyjąkała. - Kłamałeś, gdy mi mówiłeś, że ten detektyw nie natrafił na żaden ślad - ciągnęła z furją. - Jaka ja byłam głupia! Wierzyłam, że jesteś uczciwym człowiekiem! - Odrzuciła głowę. - Ale wiesz? Masz rację! Nadal pragnę Nathaniela. Nigdy nie przestałam! I zamierzam się z tobą jak najprędzej rozwieść!

Morgan nie odezwał się. Jego twarz przypominała nieruchomą maskę, tylko oczy lśniły mu jak płonące węgle.

Przestała się kontrolować. Beładnie, bezmyślnie wyrzucała z siebie słowa.

- Słyszałeś? Pragnę Nathaniela, nie ciebie! A więc niech cię diabli wezmą!

Dla Morgana zabrzmiało to jak echo przeszłości.

*Pragnę Nathaniela, nie ciebie!* Najpierw Amelia. A teraz Elisabeth. Obie nim pogardzały. Niewierne żony... brat, który nie zasługuje na zaufanie... A wszyscy zdraдлиwi i nielojalni.

Coś w nim pękło. Bez ostrzeżenia wyciągnął ramiona, po czym - oślepiiony gniewem i namiętnością - przyciągnął ją mocno do siebie.

- Nie - powiedział ze złością. - Niech wezmą ciebie.

Dotknął ustami jej ust i wsunął palce w jej włosy. Długie, złote loki przelewały mu się przez ręce. Zaplótł jedno pasmo wokół dłoni, by przyciągnąć ją jeszcze mocniej.

To był zachłanny, gniewny, karzący pocałunek. Jej cichy, stłumiony okrzyk uwiązł między rozchylonymi wargami. Kręciło się jej w głowie, więc nawet nie zaprotestowała, gdy Morgan wziął ją na ręce i położył na łóżku. Poczuła tuż obok siebie ciężar jego ciała. Znów pochylił się nad nią, a na jego twarzy malował się gniew - i coś jeszcze.

Uwięziona w bezlitosnym uścisku, poczuła nagle ostry przypływ bólu w piersi. Morgan dotykał jej ciała z prawdziwie samczą maestrią. Jego pieszczoty stawały się coraz śmielsze - dłonie błądziły bez skrpułów wszędzie tam, gdzie tylko miały ochotę.

Tym razem nie przestanie. Elisabeth była tego pewna tak, jak niczego na świecie. Nie było więc sensu protestować. Morgan i tak by jej nie posłuchał. Nie mogła też z nim walczyć. Nawet gdyby spróbowała, i tak nie miałyby szans.

Koszula zaplatała się wokół jej ud, odsłaniając kształtne, smukłe nogi. Leżała nieruchomo, gdy zwinne palce rozpinają guziki. Ból w piersiach nasilił się, gdy spróbowała powstrzymać strumień łez cisnących się jej do oczu.

- Udajesz, że mną pogardzasz. Odtrącasz mnie. Ale tylko słowami. Twoje ciało mówi zupełnie co innego.

Elisabeth spodziewała się, że Morgan posiadzie ją gwałtownie i brutalnie. On jednak zachowywał się zupełnie inaczej. Muskał tylko koniuszkami palców jej sutki, bawił się nią, prowokował. Widząc, że bacznie ją obserwuje, poczerwieniała ze wstydu. Ku swemu przerażeniu poczuła, że jej sutki twardejają.

Uśmiechnął się.

W mgnieniu oka zdjął z niej koszulę.

Smukła, smągła dłoń dotknęła gładkiej skóry jej brzucha. Elisabeth drgnęła gwałtownie.

Popatrzył na nią chłodno.

- Jeszcze nigdy nie wymówiłaś mego imienia.

Spojrzała mu w oczy i pomyślała, że nie potrafi. Ucisk w gardle odbierał jej mowę.

- Powiedz moje imię - zażądał. - Powiedz natychmiast.

Zadrżały jej usta. Przełknęła ślinę. Zaległa między nimi pełna napięcia cisza, aż w końcu dziewczyna odwróciła głowę z gardłowym, zduszonym westchnieniem.

Morgan poczuł ucisk w żołądku. Ujął podbródek dziewczyny, obrócił jej twarz do siebie i pocałował boleśnie w usta.

Pomyślał gniewnie, że lepsze jest milczenie niż słowa pełne urazy.

Poczuł nagle coś ciepłego, mokrego i słonego...

Uniosł głowę.

Miała ogromne, zielone, przerażone oczy, w których lśniły łzy.

Zesztywniał na całym ciele.

- Niech cię diabli - powiedział ostro. - Niech cię diabli, Elisabeth!

Tego już nie zniosła i zaczęła szlochać. Rozpaczliwie, dziko, Odwróciła się od niego i zwinęła w małą kulkę.

Morgan oczekiwał raczej buntu. Ale nie tego. Z pewnością nie tego. Jej płacz przeszywał go na wskroś jak ostrze sztyletu.

I zupełnie nie wiedział, co zrobić. Kompletnie stracił głowę. Nie wiedział, jak zareagować na taki przypływ kobiecej słabości. Amelia była zbyt pewna siebie, zbyt świadoma własnej piękności, by kiedykolwiek płakać. I dopiero wówczas Morgan zdał sobie sprawę z tego, że podświadomie zaliczył Elisabeth do tego samego gatunku. Nigdy nawet nie pomyślał, że jest krucha i bezbronna.

- Elisabeth - powiedział, unosząc dłoń - Elisabeth.

Ale ona go nie słyszała. Instynktownie zrozumiał, że uciekła takie miejsce, gdzie nie będzie mógł jej dosięgnąć.

Położył dłoń na jej ramieniu i nieśmiało spróbował wziąć ją ramiona. A wtedy ona przytuliła się do niego tak mocno, jakby był lekarstwem na smutki, a nie ich sprawcą.

Nakrył ją kołdrą. Elisabeth wciąż płakała, jakby pękało jej serce. Podświadomie przytulał ją coraz mocniej, a jego ciało wciąż trawił ogień. Ona zaś położyła głowę na jego ramieniu, jej łzy kapały mu na pierś.

Miękło mu serce, które, wbrew temu, co sądził, nie zmieniło się jeszcze w bryłę lodu.

W końcu łzy ustały. Oddech dziewczyny stał się równy spokojny. Bezpieczna w uścisku jego ramion, zasnęła wtulona ciało Morgana, jakby właśnie tam było jej miejsce.

Ale on nie mógł zasnąć. Myślami błądził wciąż wokół kobiety, która nie dawała mu spokoju. Z chmurną miną wpatrywał się w ciemność.

Następnego ranka Elisabeth obudziła się później niż zwykle, głowie miała chaos, ziewnęła, przeciągnęła się i stwierdziła przerażeniem, że jest naga.

Z zapartym tchem popatrzyła na leżącą obok poduszkę, widniało w niej niewielkie wgłębienie.

Zatonęła w powodzi wspomnień o wydarzeniach ostatniej nocy. Morgan był tak rozgniewany, twardy i nieustępliwy...

Przypomniała sobie, że na chwilę otworzyła oczy - chyba tuż przed świtem, bo już dniało - i spojrzała sennie na swą dłoń zanurzoną w gęstwinie jego włosów na piersi. Kiedy poruszyła się lekko, musnęła delikatnie wargami jej skroni.

- Śpij - szepnął z chrypką w głosie.

*Czy też tak jej się tylko wydawało?*

Co w nią wstąpiło, na Boga? W tym, że w końcu się załamała, nie było nic dziwnego. Miała ku temu powody. Ale dlaczego szukała pociechy w tych samych ramionach, które ją więziły? Jeszcze poprzedniego dnia mogłaby przysiąc, że Morgan O'Connor nie zna litości. A współczucie było zupełnie obce jego naturze.

Naciągnęła kołdrę pod brodę. Gdy wszedł wczoraj do jej sypialni, wydawało się, że targa nim burza uczuć. Zadrżała. Był tak zdecydowany ją posiąść... narzucić jej swoją wolę...

Dlaczego więc się powstrzymał? To pytanie nie dawało jej spokoju. I dlaczego nie pozwolił jej płakać w samotności? I został, tuląc ją w ramionach?

Nie poszedł również do kochanki.

A to bardzo ją ucieszyło.

Mimo wszystko popadła w melancholijny nastrój i nie mogła się wyzbyć poczucia winy.

Cóż takiego powiedziała Nathanielowi? *Musisz zaakceptować to małżeństwo, tak, jak zaakceptowałam je ja.*

A przecież nie zaakceptowała.

Nadszedł czas, by to zmienić.

Uczepiła się tej myśli. Może wreszcie należałoby raz na zawsze przełamać panującą między nimi nieufność. Ostatnie dwa tygodnie żyła w ciągłym napięciu. I nagle zdała sobie sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma.

Istniało tylko jedno wyjście.

Wczesnym popołudniem kazała Simmonsowi sprowadzić powóz.

- Dokąd mam panią zawieźć, milady? - spytał pogodnie Willis, pomagając jej wejść do środka.

- Do stoczni.

- Do stoczni? - powtórzył, nie kryjąc zdziwienia.

- Tak. I pospiesz się - dodała z uśmiechem. - Jestem trochę niespokojna.

Mówiła prawdę, ale to nie perspektywa rozmowy z Morganem wprawiła ją w zdenerwowanie, lecz decyzja, którą już podjęła.

Wkrótce powóz zatrzymał się nie opodal zatoki. Na lazurowym niebie nie było ani jednej chmurki. Świeciło słońce.

Willis otworzył drzwi i pomógł jej wysiąść.

- Mam zaczekać, milady?

Elisabeth myślała chwilę.

- Wróć za godzinę. - Tyle powinno jej wystarczyć, by zebrać się na odwagę.

Na ogromnym szyldzie nad bramą widniał napis: STOCZNIA O'CONNORA. Elisabeth wyprostowała plecy i ruszyła naprzód.

Wysokie rusztowania otaczały dwa niedokończone kadłuby statków. Na pomostach kręcili się robotnicy. Zewsząd dochodziły odgłosy klepania młotem i pojedyncze okrzyki.

Nagle stanął tuż przy niej brodaty mężczyzna z krzaczastymi brwiami i głębokimi bruzdami na czole.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał, patrząc na nią przyjaźnie.

- Tak, chciałabym się zobaczyć z panem O'Connorem - odparła z wdzięcznością.

W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- O ile się nie mylę, mam zaszczyt rozmawiać z panią O'Connor.

Przytaknęła. Jeszcze nie zdążyła się przyzwycząić do nowego nazwiska.

- Nazywam się Roger Howell. Jestem asystentem pani męża - odparł, odsłaniając zęby w uśmiechu.

Pochwyił jej dłoń i potrząsnął nią energicznie. Elisabeth odwzajemniła uśmiech.

- Bardzo mi miło pana poznać. Chyba potrzebuję pańskiej pomocy. Czy mój mąż jest u siebie w gabinecie?

Howell wskazał statek przycumowany w porcie nie opodal.

- Znajdzie go pani na pokładzie. „Windcloud” był w remoncie, a teraz wrócił z próbnego rejsu.

Elisabeth spojrzała we wskazanym kierunku i wstrzymała oddech z wrażenia. Z tak bliskiej odległości statek wydawał się potężny, choć miał delikatną, lekką konstrukcję. Z ogromnymi

żaglami z białego płótna wyglądał jak niezwyklej rozmiarów ptak gotujący skrzydła do lotu.

Ale wspaniały kliper nie przykuł na długo jej uwagi. Na jego pokładzie stała bowiem znajoma postać.

Morgan patrzył prosto na nią.

Ze względu na Howella Elisabeth uniosła dłoń i pomachała do męża.

On jednak nie odwzajemnił pozdrowienia.

Nie było czasu na wahania.

- Proszę za mną- powiedział Howell, ujmując ją pod ramię.
- Przecież może pani zaczekać na męża w biurze.

Poprowadził ją w kierunku budynku po przeciwnej stronie dziedzińca. Przeszronne biuro znajdowało się tuż za recepcją. Nawet gdyby Elisabeth nie dostrzegła wiszącej na krześle marynarki Morgana, i tak by się domyśliła, że to jego gabinet, bo unosił się w nim znajomy zapach wody kolońskiej. Pan Howell wskazał jej krzesło i wyszedł dyskretnie.

Drzwi otworzyły się ponownie stanowczo zbyt szybko. Wzmoczona czujność ostrzegła ją przed Morganem, zanim jeszcze wszedł do pokoju i usiadł za biurkiem.

Na jego twarzy trudno się było jednak doszukać jakichkolwiek oznak radości. Skrzyżował ręce na ramionach - otoczyła go aura niecierpliwego oczekiwania..

I choć Elisabeth zapragnęła nagle odwrócić się i uciec, było już za późno.

Uśmiechnęła się z trudem.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłam ci kłopotu tym najściem
- spytała nieśmiało..

- Ależ skąd - odparł obojętnie.

Wyraźnie nie zamierzał ułatwiać jej sytuacji.

- Sądziłam, że powinniśmy porozmawiać?

- Na jaki temat?

- O... tym, co wydarzyło się wczoraj. - Jego rzeczowy ton wprawiał ją w zakłopotanie.

- O ile sobie przypominam - powiedział po chwili napiętej ciszy - nie miałaś na to ochoty.

Na te słowa uniosła głowę i gniewnie spojrzała mu w oczy.

- O ile ja sobie przypominam - odparowała bez zastanowienia - nie chodziło ci wcale o rozmowę.

Zacisnął zęby.

- Tak - przyznał ponuro. - A ty dość jasno wyraziłaś swoje uczucia.

Natychmiast pożałowała swej gwałtowności. Poczuli bolesny ucisk w gardle, jej serce trzepotało jak ptak w klatce, łzy napływały do oczu. Dlaczego? - krzyczała w duchu. Dlaczego są tak bardzo sobie obcy? Dlaczego wytworzyła się między nimi tak niedobra atmosfera? Przecież ona tego nie chciała. I właśnie dlatego tu przysłała, by wszystko zmienić.

Spojrzała na niego przelotnie, ale zaraz odwróciła wzrok. Zacisnęła kurczowo ręce na kolanach, by powstrzymać ich drżenie i spróbowała jeszcze raz wykrzesać z siebie resztki odwagi.

- Przepraszam - powiedziała. - Przysłałam przeprosić za moje wczorajsze zachowanie. - Byłam zaszokowana i zła, kiedy zrozumiałam, że od początku wiedziałeś, gdzie jest Nathaniel, a nie zdradziłeś się ani słowem. Ale i tak nie powinnam była tego wszystkiego powiedzieć.

Urwała, próbując zapanować nad wzburzeniem. Dziwnym trafem to właśnie Morgan przerwał przedłużające się milczenie.

- Miałaś wszelkie prawo do tego, by się rozżość - rzekł wolno. - Nie próbuję się bronić. Nawet nie jestem pewien, czy potrafiłbym ci to wytłumaczyć. Być może nie powinienem był przed tobą ukrywać miejsca pobytu mego brata. Ale gdybym znów musiał podjąć decyzję w tej sprawie, nie wiem, czy postąpiłbym inaczej. Sądzę jednak, że źle zrozumiałaś moje intencje. Nie zamierzałem cię skrzywdzić. Jego również nie. - Urwał. - Ja po prostu chciałem cię chronić.

- Przed czym? - spytała, marszcząc brwi.

- Przed prawdą - odparł cicho. - On był wtedy z inną kobietą. Jakże mogłem ci o tym powiedzieć?

Na jej twarzy pojawił się na chwilę grymas bólu, ale natychmiast zniknął.

- Nieważne - odparła stłumionym głosem. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie poślubiłam Nathaniela, tylko ciebie. I obawiam się, że miałaś jednak rację. Nie byłam dobrą żoną. Poniosłam klęskę.

- Jak to rozumiesz?

Pochyliła głowę. Patrzyła jak zafascynowana na swoje sple-

cione dłonie. Nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Po prostu nie mogła.

- Złożyłam ci pewną obietnicę. Ślubowałam przed Bogiem, że będę twoją małżonką. I zamierzam dochować przyrzeczenia. Teraz już wiem, że nie miałam prawa cię odtrącać... - zająknęła się - ani w naszą noc poślubną... ani wczoraj. Ale to się już nie powtórzy - dokończyła szeptem.

Morgan zamarł. Nie dowierzał własnym uszom. Poczuł nagły przypływ triumfu i namiętności, który sprawił, że zapragnął nagle pochwycić ją w ramiona, całować do utraty tchu i pozwolić się zawładnąć pożądaniu.

W mgnieniu oka znalazł się przy niej. Ujął ją pod łokcie i raptownie podniósł z krzesła. Czuł jak drży i marzył, by ją uspokoić, ale w piersiach szalała mu burza równie silna jak ta, która objęła we władanie jego myśli.

Przyciągnął do siebie jej twarz i - obawiając się głębiej odetchnąć - pochylił głowę. Ich usta spotkały się w delikatnej pieśszczocie.

Westchnęła i przymknęła powieki. Morgan pogłębił pocałunek, obejmując mocniej szczupłą talię dziewczyny. Z cichym jękiem zamknął jej udo między nogami. Zesztywniała lekko, ale nie cofnęła się, choć był przekonany, że tak właśnie uczyni. Gestem posiadacza nakrył wolną dłonią jej pierś, po czym okrążył kciukiem sterczący czubek.

Sprawdzał ją. Gardził sobą za to, ale nie miał innego wyjścia. Wstrzymała na chwilę oddech - wiedział, że ją przestraszył.

Sutka stwardniała pod jego dotknięciem. Z głębokim westchnieniem dziewczyna poddała się pieśszczocie.

Niechętnie przerwał pocałunek. Próbując uspokoić szalone bicie serca przycisnął jej głowę do piersi.

- Mam mały dom na północy - powiedział, nie całkiem jeszcze spokojny. - Myślałem, że moglibyśmy tam pojechać w przyszłym tygodniu. Tylko ty i ja. - Cofnął się lekko, by na nią popatrzeć. - Co ty na to?

Zarumieniła się ślicznie i skinęła głową na znak zgody.

Morgan nie potrzebował kolejnego zaproszenia. Jak wygłodzony podróżnik, któremu nieoczekiwanie zaferowano obfity posiłek, zaczął całować ją bez końca, długo i namiętnie.

A jego dłonie poczynały sobie coraz śmielej.

Jęknęła. Czuła się jak w niebie. Albo w piekle, gdy pomyślała, że już nie zdoła go powstrzymać. Ale Morgan nie odważył się posunąć dalej, do końca. Nie tutaj. Nie teraz.

Poza tym zbyt mocno jej pragnął. Wszakże przyszła do niego z własnej woli i nie zamierzał jej odstraszyć.

Chciał, by ten następny raz, gdy połączą się ich ciała, był zupełnie inny niż pierwszy.

Niemniej jednak upłynęło sporo czasu, zanim podniósł głowę.

- Wyjedziemy rano - oznajmił krótko.



## Rozdział piętnasty

Wybrzeże było skaliste i obdarzone tak niezwykłą, dziką urodą, że Elisabeth czuła się jak urzeczona jego widokiem. Jak dziecko, które po raz pierwszy opuszcza rodzinny dom, patrzyła ciekawie przez szybę na roztaczający się przed nią horyzont. Już od świtu było dość pochmurno, ale nie psuło jej to nastroju. Morgan siedział naprzeciwko niej z wyciągniętymi nogami, a na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia. I choć w czasie podróży nie rozmawiali wiele, cisza, jaka między nimi zapadła, wcale nie okazała się krępująca.

Gdy opłynęli cypel, Morgan pochylił się do okna.

- Tam - powiedział cicho, wskazując coś palcem. - Widzisz?

Elisabeth wyteżyła wzrok. Dostrzegła jedynie niewielką zatoczkę okoloną piaszczystą plażą i maleńką, zieloną wysepkę.

- Nie - odparła, marszcząc brwi.

Nagle zza chmur wyrzało słońce, a jego promienie zaiskrzyły się w wodzie jak płynne srebro. Wtedy dopiero dostrzegła wśród sosen kwadratowy, szary dom, otoczony drewnianym gankiem. Była tam nawet mała ławeczka z widokiem na morze.

Z podziwu zaparło jej dech w piersiach.

- Tu jest cudownie - westchnęła z zachwytem.

Morgan nie odezwał się, ale czuła, że sprawiła mu przyjemność.

Kiedy przybyli na miejsce, Morgan pomógł Willisowi wynieść bagaże na ganek.

- Jeśli będziemy czegoś potrzebować - wyjaśnił - do miasta mamy niespełna pół mili.

Gdy zakończyli wypakowywanie, Willis uchylił kapelusza i wskoczył do powozu.

- Miłego pobytu! - zawołał.

Umówili się, że wróci po ruch dopiero za tydzień.

Nawet wówczas, gdy machała mu na pożegnanie, myślała wyłącznie o jednym. Zostanie sama z Morganem na całe siedem dni.

I nocy.

Zadrżała i odetchnęła głęboko. Dzięki Bogu, Morgan nie zauważył niczego nienaturalnego w jej zachowaniu, bo był zanadto zajęty poszukiwaniem klucza.

- Niewykluczone, że się rozczarujesz. Dom nie jest ani wielki, ani szczególnie luksusowy.

Elisabeth zrobiło się przykro. Czyżby on naprawdę uważał ją za taką snobkę? Przecież nigdy się nie wywyższała. Dlaczego tego nie dostrzegł? Chciała dać wyraz swym uczuciom, ale powstrzymała się. Ponad wszystko przecież nie chciała, by tej wyprawie towarzyszyło napięcie.

Gdy weszli do środka, natychmiast zapomniała o wątpliwościach.

Cały domek z łatwością zmieściłby się w salonie rezydencji przy Beacon Hill. Przed kominkiem stały dwa fotele i kanapa. Na widok wbudowanej w ścianę ławy przy oknie Elisabeth wydała okrzyk zachwyty. Z siedziska zasłanego wysoko poduszkami rozciągał się widok na morze.

Potem przyszła kolej na sypialnię. Morgan powiedział jej, że mniejszą przerobił na gabinet, w którym mógł pracować, gdy tu przyjeżdżał. W większej grasowało popołudniowe słońce. Było w niej tylko jedno łóżko.

Zdała sobie z tego sprawę zaraz po wejściu do środka, ale jedyne, co mogła zrobić, to odwrócić wzrok od ogromnego łóżka z baldachimem, wspartego na czterech słupach.

Morgan zabrał torby z ganku i postawił je na łóżku, a ona przyglądała mu się z udanym spokojem, bo w środku trzęsła się ze zdenerwowania.

- Chciałabyś pójść na spacer? - spytał w końcu.

Przytaknęła z niewysłowioną ulgą.

- W takim razie pozwól, że się przebiorę. Zaraz będę gotowy.

Dołączył do niej chwilę później. Miał na sobie lekką bawełnianą koszulę i spodnie podobne do tych, jakie nosili jego robotnicy. Ten zupełnie nietypowy dla niego strój dodawał mu męskości i Elisabeth poczuła nagle, że obecność Morgana już tak bardzo jej nie krępuje. Być może po prostu osłabło panujące między nimi napięcie. Gdy ruszyła za nim na spacer pomyślała, że jest to niewątpliwie bardzo przyjemna odmiana.

Kamienne schody prowadziły prosto na plażę, gdzie morskie fale uderzały o brzeg. Dziewczyna otworzyła szeroko oczy na widok maleńkiej łódki na piasku.

- Łódeczka! - wykrzyknęła.

- Szalupa - uściślił Morgan.

Zmarszczyła nos i popatrzyła tęsknie na wyspę.

- Moglibyśmy tam popłynąć?

- Umiesz pływać? - spytał z wahaniem.

Z udanym oburzeniem chwyciła się ręką za serce.

- Chcesz powiedzieć, że nie zdołałbyś mnie ocalić?

Morgan poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Podejrzewał, że jego cudowna żona nawet nie ma pojęcia, jak ślicznie wygląda z rumieńcami na policzkach, z błyszczącymi, zielonymi oczyma i z włosami rozwianymi przez wiatr. Sama jej obecność wywoływała w nim pożądanie. Poczuł ból w łądźwiach i zaczął się modlić, by jedynie na tym się skończyło.

*Boże!* - pomyślał. - *A kto ocali mnie przed tobą?*

Nagły przypływ wiatru sprawił, że stanik sukni przylgnął do sprężystych piersi dziewczyny, a Morgan zagryzł tylko zęby, by powstrzymać płomień trawiący mu ciało.

- A więc jak? - ponowił pytanie. - Umiesz czy nie?

Zrobiła zabawną minę.

- Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć - zaczęła z przesadnym westchnieniem - płynam jak ryba.

Uśmiechnął się leniwie.

- Zatem nie mogę ci odmówić.

W chwilę później płynęli gładko po zatoce. Na wyspie spędzili dobre pół godziny, a Elisabeth przeżyła chwile radosnych emocji, gdy znalazła ścieżkę, przy której rosły krzaczki

dojrzewających jagód. Nie opodal - pod starym dębem - odkryła idealne miejsce na piknik.

Gdy ruszyli w stronę wybrzeża, słońce chyliło się już ku zachodowi. Tak jak wówczas, gdy odpływali, Morgan wziął dziewczynę w ramiona i postawił bezpiecznie w łódce. Sam zdjął marynarkę, a potem zawinał wysoko nogawki spodni i rękawy koszuli. Bruzdy wokół ust sprawiały wrażenie płytszych. Wydawał się młodszy, mniej surowy. Gdy swobodnie wiosłował do brzegu, napinały mu się mięśnie na przedramionach, a wiosła pruły fale gładko i pewnie.

Elisabeth przechyliła głowę.

- Muszę przyznać - powiedziała - że to nie wydaje mi się trudne.

Uniósł brwi.

- Chcesz spróbować?

- Jeśli mam być szczerą - wyznała z uroczym uśmiechem - to tak.

Zamienili się miejscami. Wstając, dziewczyna zachwiała się lekko, ale natychmiast silne męskie dłonie pochwyciły ją mocno, chroniąc przed upadkiem. Gdy usiadła, z trudem chwyciła powietrze, co przypisała silnym emocjom.

Morgan pokazał jej, jak trzymać wiosła.

- Cała tajemnica polega na tym, żeby traktować je tak, jakby stanowiły przedłużenie rąk. Zataczaj szerokie koła - tłumaczył. - Zanurz pióro i ciągnij. Staraj się zachować płynność ruchów.

Elisabeth przytaknęła ochoczo. Zagryzając wargę, włożyła delikatnie wiosło do wody.

Uśmiechnął się.

- Ono się nie złamie.

Wiosła okazały się cięższe niż sądziła i niewygodne w użyciu. Walczyła z nimi ze zmarszczonymi brwiami, starając się dobrze wypełnić instrukcje Morgana.

A on uważnie ją obserwował. Dostrzegłszy jej przestרח i zdenerwowanie, pokręcił tylko głową, kryjąc uśmiech.

Pióro jednego z wiosł uderzyło o taflę wody, a fontanna prysnęła dziewczynie prosto w twarz.

- Och! - jęknęła.

- Co się stało, moja błękitnokrwista damo? - zakpił. - Boisz się rozpuścić?

Spojrzała na niego z oburzeniem.

Najwyraźniej z niej kpił.

W dziesięć minut później prawe wiosło wymknęło się jej z ręki i wpadło do wody. Nie myśląc zupełnie, co robi, wychyliła się za burtę, by je pochwycić.

- Nie! - krzyknęła. - Och nie! - Jedynie przytomność umysłu Morgana ocaliła zarówno ją, jak i wiosło. Gdy przyciągnął Elisabeth do siebie, roześmiał się głośno i serdecznie.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Elisabeth znieruchomiała na chwilę, a potem wyciągnęła rękę i przesunęła delikatnie palcem po jego wargach.

- Śmiesz się - powiedziała wolno. - Nigdy przedtem nie widziałam, żebyś się śmiał. Nie widziałam nawet, żebyś się tak uśmiechał. - Dotknęła chropowatego policzka mężczyzny i powiodła palcami po bruzdach wokół jego ust.

Uśmiech zamarł mu na twarzy. Ich oczy spotkały się na jedną krótką chwilę. Przycisnął ją mocniej, a ona poczuła nagle, że się rozpuści, ale nie w wodzie, tylko w jego płomiennym spojrzeniu.

Nie dowiedziała się jednak nigdy, co mogło wówczas nastąpić, bo szalupa podskoczyła nagle na wysokiej fali i urok przysł.

Morgan popatrzył na morze.

- Zrobiło się trochę niespokojnie - powiedział ze zmarszczonymi brwiami, sięgając po wiosła. - Lepiej wracajmy.

Przyплыnęli do brzegu. Morgan cumował szalupę, a Elisabeth poszła do domu. Cały dzień było bardzo ciepło, więc wciąż miała wypieki ze zmęczenia. Już w sypialni nalała wody do miski w kwiatki, ściągnęła górę sukni z ramion i pozwoliła, by opadła jej aż do talii. Zmoczyła ręcznik, przetarła twarz, szyję i wgłębienie między piersiami.

Usłyszała nagle cichy szelest. Odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi Morgan. Wzrok mężczyzny prześliznął się po jej twarzy i szyi.

Ale wcale się tam nie zatrzymał.

Poczuła wyraźnie falowanie piersi i przyspieszone bicie serca. Jeszcze parę dni temu uznałaby jego obecność za naruszenie prywatności. Teraz jednak pozwoliła, by Morgan nasycił nią swój wzrok. Zupełnie nie miała ochoty protestować. Zastanawiała się jedynie nad tym, czy podoba mu się jej ciało.

Ale to on odwrócił się pierwszy.

Tego wieczoru zjedli prosty posiłek: świeży chleb, pokażną porcję sera i kurczaka, którego kucharz upiekł im na drogę.

Później usiedli na ganku, a nad ziemią zapadał powoli fioletoowy zmierzch. Na niebo - jedna za drugą - wychodziły gwiazdy. Ogarnęło ją błogie poczucie zadowolenia.

- Jak spokojnie... - powiedziała z westchnieniem. - Mogłabym tu zostać na zawsze.

- W lecie istotnie jest wspaniale - odparł Morgan ze słabym uśmiechem - Ale w zimie robi się zupełnie dziko. Wiatr zawodzi jak duch, często zrywają się sztormy. Bardzo lubię sztormy. Czuję się wtedy tak, jakbym znów był na statku.

- Pływałeś po morzu?

- Zaczynałem jako chłopiec pokładowy, kiedy skończyłem piętnaście lat.

- Nie wiedziałam, że żeglowałeś.

- Trudno by mi było budować statki, gdybym sam nie zdobył doświadczenia jako żeglarz - odparł sucho.

Elisabeth roześmiała się.

- Pewnie masz rację. - Umilkła i wystawiła twarz do pocałunku wieczornej bryzy.

- Nie jest ci zimno?

- Może troszkę.

Natychmiast wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

- Tęsknisz za tym?

- Masz na myśli żeglowanie?

- Tak - odparła bez tchu.

- Nie tak bardzo, jak kiedyś - przyznał. - Najpierw robiłem to dla pieniędzy. Zaciągnąłem się na statek do starego wilka morskiego, Jacka Mc Tavisha. - Zaśmiał się. - Wierz mi, pracowałem w pocie czoła na każdego centa. Ale zdołałem prawie wszystko zaoszczędzić i dzięki temu Nathaniel poszedł do dobrej szkoły. Wkrótce uświadomiłem sobie, że jestem wolnym człowiekiem. Większość załogi pragnęła wracać jak najszybciej do portu. A ja kochałem moment wypłynięcia na morze: statek nabierał szybkości, dziób pruć fale, żagle łopotały głośno na wietrze. Nic nie mogło się z tym równać. W powietrzu unosił się zapach morskiej bryzy, która smagała mi twarz i rozwiewała włosy.

Ujrzała ten obraz oczyma wyobraźni, ale czuła tylko oddech Morgana, ciepło jego skóry i znajomy zapach wody kolońskiej.

Na chwilę zaległa cisza.

- Pewnie nie jesteś tym zachwycona.

W jego głosie pojawiła się jakaś nowa, dziwna, nie znana jej dotąd nuta. Elisabeth zmarszczyła brwi i przekręciła głowę tak, by zobaczyć jego twarz.

- Czym? - spytała.

- Tym, że podczas gdy w tobie nie ma ani cienia pospolitości, człowiek, którego poślubiłaś, był kiedyś zwykłym żeglarzem.

Mięśnie ramion napięły mu się sztywno jak postronki. I choć nie zdradził swych uczuć, Elisabeth doszła do wniosku, że jej odpowiedź ma dla niego ogromne znaczenie.

Była zresztą ważna dla nich obojga.

- Wcale nie - odparła pewnie. - Kiedy wypłynąłeś na morze, byłeś jeszcze chłopcem, a jednak nie obawiałeś się samotnie stawić czoło przyszłości. Podziwiam cię za odwagę.

Patrzył na nią tak długo i przenikliwie, że pewność siebie gwałtownie ją opuściła. Nie starał się również jej pocałować, choć pragnęła by to uczynił. Jej myśli rozpięchły się.

Dlaczego właściwie miałyby ją całować? Przecież nie chciał się z nią zenić. Został do tego zmuszony, podobnie jak i ona. Dopiero teraz zaczęła poznawać swego męża i przekonała się, że należy on do ludzi, którzy nie zaniedbują swoich obowiązków. Nie był jej nic winien, a jednak postąpił właściwie i honorowo. Poświęcił w ten sposób własne szczęście.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, spróbowała się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

- Tak mi przykro - powiedziała drżącym głosem. Wszystko pogmatwałam. Skomplikowałam życie sobie, tobie i Nathanielowi.

- Elisabeth...

- Nie, pozwól mi dokończyć. Przykro mi. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Może jedynie to, że bardzo cię przepraszam. Gdyby nie ja, byłbyś teraz z nią - dokończyła i poczuła głębokie ukłucie w sercu.

- Z kim? - spytał Morgan, marszcząc czoło.

Odwrociła głowę.

- Z tą kobietą z opery. - Zająknęła się. - Rozumiem nawet, dlaczego. Ona... ona jest naprawdę bardzo piękna.

Uniósł delikatnie jej podbródek i obrócił wolno jej twarz do siebie.

- Ona nie jest moją kochanką.

Potrząsnęła głową.

- Proszę cię... wolę nie wiedzieć.

- Ale ja chcę, żebyś wiedziała - odparował. - Pozwoliłem ci uwierzyć w coś, co nie jest prawdą i muszę cię za to przeprosić.

Dlaczego tak się bała tego wyznania? Serce waliło jej jak młotem, czuła ból w piersi. Nie chciała cierpieć, ale w oczach Morgana pojawił się tak zniewalający wyraz, że przestała go powstrzymywać. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Przesunął delikatnie kciukiem po jej twarzy.

- Nie będę cię okłamywał. Rzeczywiście coś mnie z nią łączyło. Ale była to więź czysto fizyczna. Czerpaliśmy wzajemną przyjemność ze swych ciał. Nie dotknąłem jednak tej kobiety od chwili, gdy po raz pierwszy weszłaś do mego domu.

Świat zawirował i przewrócił się do góry nogami.

- Ale te wszystkie noce... Sądziłam, że jesteś z nią.

- Nie byłem - odparł twardo. - Gdy założyłem firmę, na początku często pracowałem całymi nocami, więc wstawiłem sobie kozetkę do gabinetu. Długo jej później nie używałem, dopiero niedawno stała się znów potrzebna.

Zaskoczona, pokręciła lekko głową.

- A więc tam sypiałeś. Ilekroć nie nocowałeś w domu... Przytaknął.

- Na początku chodziłem tam dlatego, że byłem zły, ponieważ mnie odrzuciłaś. A później nie mogłem oprzeć się pokusie... Byłaś tak blisko, a domagałaś się zamka w drzwiach. Pomyślałem, że masz rację. Nie ufałem sam sobie. Zrobiłem więc jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Postanowiłem trzymać się od ciebie z daleka.

Elisabeth odebrało mowę.

- Boże, gdybyś wiedziała, co czułem, gdy tak leżałem bezsennie, rozmyślając o tobie... - mówił coraz ciszej. - Pragnąłem cię do szaleństwa.

Pragnął jej. Naprawdę. To wydawało się jej niemożliwe. Wręcz niewiarygodne. Umysłem nie ogarniała jeszcze w pełni

tego, co jej powiedział, ale ciało wyraziło swą własną wolę. Jej ręka dotknęła nagle szorstkiego policzka mężczyzny, a palce przesunęły się po nim czule.

-, Naprawdę? - szepnęła.

Wstał, nie wypuszczając jej z objęć i położył przed sobą na podłodze.

Przytaknęła poważnie.

- Mógłbym cię o tym przekonać - odparł, patrząc jej głęboko w oczy - jeśli tylko wyrazisz zgodę.

## Rozdział szesnasty

Całe jej ciało objęło drżenie. Zerknęła na wycięcie w jego szlafroku, skąd wystawała kępka czarnych, kręconych włosów.

- Jak? - spytała bez zastanowienia.

Popatrzył na nią przenikliwie.

- Sądzę, że już wiesz, Elisabeth.

Wiedziała i mimowolnie odwróciła wzrok w niemym zażenowaniu. Pragnęła, by Morgan wziął ją w ramiona i mocno przytulił, ale nie po to, by ukoić jej żal, lecz w porywie namiętności. A jednak gdzieś w głębi serca nadal odczuwała lęk.

Położył jej rękę na karku, a ten gorący dotyk podziałał na nią dziwnie uspokajająco. Potem zwrócił ku sobie jej twarz. Całował ją wolno, czule i nieskończenie cierpliwie. Pieszczoty Morgana były jak lekarstwo, które ratuje życie. Otoczyła ramionami jego szyję, przywierając do niego bezwstydnie. Miała wrażenie, że roztopi się w żarze pocałunków.

Nie zauważyła nawet, że niesie ją do sypialni. Zapamiętała tylko gładkość materaca pod plecami. Morgan położył się przy niej i całował coraz bardziej namiętnie. Rozchyliła wargi w niemym zaproszeniu. Jęknął cicho, a ich oddechy zmieszały się.

- Pragnę cię - szepnął. - Chcę, żebyś była naga, chcę czuć twoje ciało tuż przy swoim.

W jego głosie wibrowało pożądanie. Zadrżała. I choć serce odskoczyło jej do gardła, nie zaprotestowała, gdy Morgan zdejmował z niej suknię. Została w samym gorsecie i bieliźnie.

Gdzieś w podświadomości czaił się strach, ale pokonała go bez trudu.

Kiedy jednak Morgan dotknął sznurówki gorsetu, zeszywniała.

Uniósł głowę.

- Co? - spytał łagodnie. - Co się stało?

- Chcę tego - zająknęła się. - Naprawdę. Ale...

Nie mogła dokończyć. Ta chwila zdawała się trwać w nieskończoność.

Pierś dziewczyny falowała, Morgan nie cofnął ręki. Przesunął delikatnie dłoń po zagłębieniu między piersiami, a ona pomyślała przez chwilę, że zamierza brutalnie pokonać jej opór.

- Boisz się? - dokończył.

Wyobraziła sobie, że się w nią zagłębia.

- Wcale nie chcę się bać. Lubię, jak mnie całujesz. Wydaje mi się wtedy, że bujam gdzieś wysoko w obłokach. Lubię, gdy mnie przytulasz. Ale nic nie poradzę na to, że pamiętam, jak...

- Wiem - przerwał z kamienną twarzą.

- Może to moja wina. Może coś jest ze mną nie w porządku. Ale ta krew i...

- Tylko za pierwszym razem. I nie masz powodów do żalowania. - Ujął jej drżącą dłoń i przysunął sobie do ust, a potem potarł o nią policzek.

- Ja też lubię cię przytulać. Wcale nie chcę, żebyś się bała, ale pragnę również dotykać cię, gdy jesteś całkiem naga. Nic nie powinno nas dzielić. Ani ubrania, ani wstyd. Ale przede wszystkim nie wolno ci się bać.

- Przecież na tym się nie skończy - wykrzyknęła.

- Nie, ale tym razem będzie inaczej, obiecuję - zniżył głos do szeptu. - Nie odczujesz żadnego bólu. Tylko przyjemność.

Uwięziona między strachem i pożądaniem, Elisabeth nie wiedziała, co robić. Cisza zdawała się trwać w nieskończoność.

- Czy byłoby ci łatwiej - odezwał się w końcu Morgan - gdybym to ja rozebrał się pierwszy?

Elisabeth szybko i głęboko odetchnęła.

- Tak. Nie. - Odczuwała szaloną gonitwę myśli. - Wybacz, ale naprawdę nie wiem.

Morgan patrzył na nią wyczekująco. Napięcie sięgnęło zenitu.

Gdy w końcu pomyślała, że dłużej tego nie znieś, wstał i podszedł do kominka.

Nie padło między nimi nawet jedno słowo. Nie było zresztą potrzebne.

Rozbierał się tak wolno, jakby miał na to całą wieczność, skąpany w słabym świetle narożnej lampy. Nie patrzył na nią - wyglądał przez okno.

A ona nie mogła odwrócić od niego wzroku. Był barczysty, wspaniale umięśniony, a jego skóra miała odcień orzecha. Zdjął spodnie, a Elisabeth ujrzała jego kragłe, sprężyste pośladki. Wolno, z rozmysłem odwrócił się do niej przodem.

W tej samej chwili obudziło się jego ciało...

Elisabeth oddychała szybko i nierówno. Jego męskość była sztywna, wyprostowana i nabrzmiała. To, co zamierzał zrobić, wydawało się jej niemożliwe. Czuła niemalże, jak znów się w nią wbija i kaleczy jej delikatne ciało.

Odwróciła gwałtownie głowę.

- Nie, nie odwracaj się.

Zabrakło jej słów i odwagi. Usłyszała szelest, a materac znów ugiął się pod jego ciężarem. Czuła się tak, jakby znów jej dotykał, choć nie wyciągnął nawet ręki.

Patrzyła na sufit, na ściany - wszędzie, byle tylko nie na niego.

- Czy naprawdę jestem taki brzydki, że nie możesz znieść mego widoku?

- Wcale nie. Jesteś nawet przystojny - odparła bez zastanowienia.

- Więc dlaczego nie chcesz na mnie patrzeć?

Wtedy, jeszcze niechętnie, zwróciła na niego oczy.

- Tak lepiej - powiedział cicho. - Mam dla ciebie pewną propozycję. Jeśli cokolwiek ci się nie spodoba, powiedz, a natychmiast przestanę.

Zwilżyła językiem wargi.

- Naprawdę?

- Przecież wiesz, że tak. - Zdawał sobie w pełni sprawę z tego, że jeśli nie zachowa całkowitej powagi, dziewczyna na pewno mu nie uwierzy. Jakże bardzo jej pragnął! Modlił się w duchu, by ta chwila okazała się odpowiednia, gdyż bał się, że straci nad sobą kontrolę.

- Chyba nie widywałaś zbyt często nagich mężczyzn, prawda? Powinnaś więc zaspokoić swoją ciekawość.

Otworzyła szeroko oczy,

- Wcale nie jestem ciekawa - wybuchnęła. - A tak naprawdę uważam, że widziałam o wiele więcej niż powinnam.

Zaśmiał się, ale patrzył na nią poważnie. Wolno, tak jakby chciał dać jej czas na zastanowienie, położył dłoń dziewczyny na swoim biodrze.

- Czy to jest naprawdę takie przerażające?

- Nie - odparła szybko.

- A to? - Wstrzymując oddech przesunął jej dłoń na tors. Nie cofnęła ręki - wyprostowała palce i dotknęła gęstwiny ciemnych włosów porastających pierś mężczyzny.

Uznał to za pewien postęp.

Delikatnie ściskając jej przegub, poprowadził dłoń Elisabeth tak, by dotknęła jego ust.

- A to? Czy to cię przeraża? - spytał, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie, ale przecież wiesz, że lubię, jak mnie całujesz.

Poczuł, jak zalewa go fala pożądania. Ta dziewczyna rozpałała w nim ogień.

- Chciałbym, żebyś to ty mnie pocałowała - poprosił poważnie.

- Teraz? - spytała ledwo słyszalnym szeptem, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. Z trudnością powstrzymał uśmiech.

- Tak - odparł, kładąc się na plecach.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu, wcale nie musiał długo czekać. Elisabeth pochyliła się nad nim i przycisnęła usta do jego warg. Leżał bardzo spokojnie, pozwalając, by robiła to, na co ma ochotę. I to ona sprawiła, że ich języki spotkały się. Poczuł nowy przypływ pożądania, jego członek podskoczył gwałtownie, ale Elisabeth na szczęście tego nie zauważyła.

Dla niej było to zupełnie nowe doświadczenie. Całowali się bez końca - wolno, głęboko, namiętnie; zatracili się w sobie i we własnych uczuciach. Tym razem nie protestowała, gdy zaczął zdejmować z niej gorset.

Nagle zrozumiała, że niczego innego nie pragnie. Chciała czuć dotyk jego nagiego ciała. Wkrótce Morgan wyzwolił ją z reszty ubrania.

Powiodł kciukiem po jej stwardniałych sutkach, a ona wygięła plecy w łuk, poddając się tej pieśszczocie. Doznała wrażenia, że umrze z niecierpliwości, gdy zaczął delikatnie całować jej piersi. W końcu otrzymała to, o czym marzyła. Morgan dotknął językiem ciemnej, napiętej brodawki, a gdy wessał ją wreszcie do ust, jęknęła i wbiła mu palce we włosy.

Była niemal nieprzytomna z rozkoszy, gdy Morgan podniósł nagle głowę.

- Dotknij mnie - powiedział ochryple.

Zrozumiała natychmiast, co ma na myśli. Chwycił jej dłoń i przesunął ją sobie po brzuchu.

- Tak, tak. Dotknij mnie.

Serce zabiło jej jak młotem, ale posłuchała. Morgan prowadził jej dłoń z przerażającym zdecydowaniem. Ta odkrywczą podróż skończyła się w chwili, gdy zamknął jej palce na pulsującym członku.

Był ogromny, nabrzmiaty i sztywny. Elisabeth dziwiła się sama sobie, że nie zerwała się z łóżka i nie uciekła. Teraz jednak uległa ciekawości, do której nie chciała się przyznać. Dotknęła go delikatnie, zdumiona, że jest tak twardy i gorący, a jednocześnie gładki, niemal jedwabisty na końcu.

- Widzisz? - Mówił dziwnym, spiętym głosem. - Nie ma się czego bać. Po prostu moje ciało już nie może pomieścić namiętności, jaką do ciebie czuję.

Zerknęła na niego. Miał przymknięte powieki. Delikatnie powiodła palcami po członku, obserwując uważnie reakcję Morgana.

- Czy... czy to jest przyjemne? - spytała szeptem.

Jego jęk starczył za całą odpowiedź. Morgan znów chwycił dłoń dziewczyny, ale tym razem po to tylko, by jej pokazać, co sprawia mu największą rozkosz.

Ogarnęło ją przemożne poczucie władzy. Zrozumiała, że Morgan reaguje równie silnie na pieśszczoty, jak ona i ta świadomość dodała jej odwagi. Ilekroć później o tym myślała, oblewała się rumieńcem.

- Przestań - powiedział nagle, śmiejąc się dziwnie. - Teraz twoja kolej.

Poszukał jej ust i śmiało wsunął dłoń w złotą gęstwinę pomiędzy udami. Elisabeth zadrżała, gdy poczuła, jak wkłada palec w sekretne zagłębienie jej ciała.

Ale to wcale nie był koniec. Morgan odnalazł kciukiem różany pączek - źródło kobiecej rozkoszy - i dotykał go tak, że doprowadził ją do szaleństwa. Wiła się, jęczała i nagle stwierdziła z przerażeniem, że jest mokra w środku.

Wbiła mu paznokcie w ramiona.

- Przestań - krzyknęła śmiertelnie zawstydzona. - Proszę! Nie! Zrozumiał. Pokręcił tylko głową.

- Wszystko w porządku, kochanie. To znaczy, że mnie pragniesz. Bo tak jest, prawda?

Niepewność w jego głosie sprawiła, że stopniało jej serce.

- Tak - wyjąkała drżącym głosem. - Pragnę cię. Pragnę.

Objęła go mocno za szyję i przywarła do niego z całych sił.

Nie potrzebował innego zaproszenia. Zamknął ją w gorącym uścisku, rozgniatając ustami jej wargi.

Poczuła jego męskość na udzie, ale nie miała czasu się przestraszyć.

Wszedł w nią, nie przerywając pocałunku. Elisabeth wstrzymała oddech w oczekiwaniu przeszywającego bólu, jakiego doświadczyła poprzednim razem.

Wreszcie zagłębił się w niej do końca. Nie poruszał się, chciał, by się z tym oswoiła. Dziewczynie trudno było uwierzyć, że jej ciało zdołało go pomieścić. Jednak stało się tak, jak mówił. Nie odczuwała żadnego bólu, tylko nacisk jego gorącego, sztywnego członka na jej delikatne wnętrze.

Wolno podniosła głowę. Popatrzył na nią rozplamionym wzrokiem.

- Wszystko dobrze? - zapytał przez zęby,

Przytaknęła i objęła go za szyję.

Poruszył się w niej wolno i zanurzył głębiej. Doznała nieprawdopodobnego, przedziwnego uczucia, gdy tak w nią wchodził i znów się wycofywał. Wstrzymała oddech.

Nigdy nie podejrzewała Morgana o to, że potrafi być czuły. A jednak ta czułość była w każdym jego pocałunku, dotknięciu rąk - rak, które dały jej przyjemność, o istnieniu której nawet nie wiedziała.

Każde kolejne pchnięcie sprawiało, że krew zaczęła płonąć w jej żyłach. Poczuła dziwny ból w dole brzucha. Zanurzyła palce w jego włosach i przejechała palcami po gładkiej skórze pleców.

Doskwierał jej głód. Ciało stanęło w ogniu. Wypchnęła biodra do góry w instynktownym poszukiwaniu czegoś, co tylko on potrafi jej dać.

- Morgan! - krzyknęła. - Morgan!

Pierwszy raz nazwała go po imieniu - oboje doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Zamarł, a potem coś jakby w nim pękło. Pocałował ją tak, jakby chciał wypalić swoje piętno na jej wargach. Spletli palce.

Wchodził w nią coraz mocniej, niemal szaleńczo, ale ona była tym zachwycona. Ich biodra poruszały się zgodnym rytmem, coraz szybciej, z desperacją zrodzoną z pożądania i namiętności, których już nie musieli ukrywać.

Nakrył dłońmi jej pośladki.

- Jesteś moja - szepnął gorąco. - Wiesz o tym, prawda?

Ta zaborczość sprawiła, że dziewczyna spadła w przepaść. Targnęły nią fale rozkoszy, jęczała w uniesieniu. A on wybuchnął gwałtownie jak wulkan, rosząc jej łono gorącą lawą.

Potem pogładził delikatnie jej splątane włosy. Leniwie podparł się na łokciu, schylił głowę i złożył na ustach dziewczyny długi pocałunek.

- Moja - powiedział głosem ociekającym z zadowolenia i dumy.

A ona nie miała nic przeciwko temu, ponieważ widziała, jak się przy tym uśmiechał.

Zasnął z tym uśmiechem na ustach, z głową wtuloną w jej piersi.

Elisabeth szlochała z radości.



## Rozdział siedemnasty

Dni upływały im spokojnie i pogodnie, noce płonęły pożądaniem. Ona oddawała mu chętnie swe ciało, on folgował swej namiętności. Dla obojga był to czas nauki i odkryć, azyl przed zgiełkiem, jaki panował w ich życiu przed podróżą.

Morgan nie miał nic przeciwko jej nieśmiałyemu poszukiwaniom. Dodawał jej odwagi łagodnymi słowami i czułym szeptem. Ilekroć Elisabeth pomyślała o wszystkim, co ze sobą robili, rumieniec wstydu występował jej na policzki. Zasniali trzymając się w objęciach, ze splecionymi zmysłowo nogami. Budzili się w tej samej pozycji.

I zwykle długo nie wstawali z łóżka.

Elisabeth miała wrażenie, że w jej sercu nareszcie zagościło słońce. Morgan zachowywał się o wiele swobodniej. Wydawał się być całkowicie spokojny, pogodzony zarówno z nią, jak i ze sobą. Szorstkość, jaką zawsze w nim wyczuwała, uleciała gdzieś bezpowrotnie. Okazał się człowiekiem, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

Człowiekiem, którego mogła pokochać.

Obudziła się w niej nadzieja. Modliła się, by te dni zapoczątkowały zupełnie nowe życie. Gdyby tak bowiem się stało, małżeństwo z Morganem nie okazałoby się wieczną walką, jak to sobie kiedyś wyobrażała. Mogło przecież znaczyć o tyleż więcej... Wznosiła płomienne prośby do Boga, by raczył jej wysłuchać.

Gdy pewnego popołudnia Morgan wybrał się na ryby, ona zdecydowała, że pójdzie do miasta. Przez kilka godzin przechadzała się po targu, przystając jedynie po to, by obejrzeć piękny szal lub naszyjnik z maleńkich muszelek.

Właśnie miała wrócić do domu, gdy na końcu alejki zauważyła niewielki stragan z kilkunastoma obrazami w różnych rozmiarach. Sprzedawał je młody mężczyzna w wypłowiałej koszuli i powypychanych spodniach, z kawałkiem węgla w dłoni, którym rysował coś w skupieniu.

Elisabeth zauważyła od razu, że od chwili, gdy zaczęła go obserwować, rysownik rzucił jej kilka przenikliwych spojrzeń, by natychmiast przenieść wzrok na papier.

Zaintrygowana, ruszyła w tamtą stronę, ale mężczyzna - skupiony na pracy - zauważył ją dopiero w chwili, gdy stanęła tuż obok niego.

- Czy można? - spytała wesoło, pochylając się nad szkicownikiem.

To była ona. Z rozpuszczonymi włosami, opadającymi swobodnie na plecy, przepasanymi wstążką na czole. Na jej twarzy malował się wyraz zadumy.

Młodzieniec uśmiechnął się słabo.

- Mam nadzieję, że się pani na mnie nie gniewa.

Popatrzyła na rozwieszzone za nim obrazy.

- Jest pan bardzo utalentowany.

- Dziękuję.

Uważnie oglądała płótna. Ostatni obraz - przedstawiający żaglowiec na morzu - szczególnie przykuł jej uwagę. Artysta umieścił na nim również podobiznę mężczyzny na rozstawionych nogach, z twarzą wystawioną do wiatru.

Jak to powiedział Morgan? *Najbardziej kochałem moment wypłynięcia na morze: statek pruł fale, żagle topotały głośno na wietrze. Nic nie mogło się z tym równać. W powietrzu unosił się zapach morskiej bryzy, która smagała mi twarz i rozwiewała włosy.*

Wstrzymała oddech z wrażenia. Malarz po mistrzowsku chwycił majestatyczną sylwetkę statku, dzikość morza i godną, dumną postać kapitana.

- Wspaniały - powiedziała, zbliżając się do obrazu. - Taki prawdziwy. Pewnie wielokrotnie był pan na morzu.

- Istotnie - zaśmiał się mężczyzna. - Ale szczerze mówiąc, wolę twardo stąpać po ziemi. To mój ojciec pływa. Jest rybakiem.

Elisabeth aż klasnęła w dłonie.

- Ile kosztuje ten obraz? - Przy sobie miała wprawdzie tylko parę groszy, ale nie naruszyła jeszcze swego funduszu na specjalne wydatki. Mogłaby wysłać pieniądze z Bostonu.

- Chciałaby pani go kupić?

- Och tak! bardzo! - westchnęła. Niestety, nie mam przy sobie zbyt wiele. Pochodzę z Bostonu. Przyjechałam tu wraz z mężem na wakacje. Ale jeśli mógłby pan poczekać parę dni, przysłałabym panu pieniądze przez stangreta.

Podrapał się po głowie.

- Cóż, nie powinienem był szkicować pani portretu, nie zapytawszy przedtem o zgodę. - Urwał. - Coś pani zaproponuję. Może dobijemy targu. Ja dam pani obraz, a w zamian pani będzie mi pozować, dopóki nie skończę rysować.

- Zgoda! - Elisabeth o mało nie pisnęła z uciechy. - Choć uważam, że ja zrobiłam lepszy interes.

Artysta uśmiechnął się szeroko, zadowolony z transakcji. Powiedział, że ma na imię Andrew, wymienili uścisk dłoni, a potem Elisabeth usiadła na wskazanym przez niego taborecie, odwrócona plecami do morza.

Pół godziny później przyciskała już do piersi obraz opakowany w szary papier.

Gdy wróciła, zobaczyła natychmiast, że Morgan wolnym krokiem wchodzi na schody prowadzące z plaży do domu. Serce zabiło jej żywiej na jego widok. Włosy rozwiewał mu wiatr, był bosy, bez koszuli, a nogawki spodni podwinał aż do kolan.

- Teraz, gdy już wiem, że żeglowałeś, zaczynasz przypominać mi pirata.

- Pirata? - Jego uśmiech przyprawił ją o skurcz serca. - Ranisz mnie. Jakże mógłbym okazać się takim łotrem?

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej mi to do Ciebie pasuje. Przecież za każdym razem, gdy zaczynałeś do mnie mówić, czułam, jak uginają się pode mną kolana.

Uśmiechnął się... ale czy aby na pewno?

- Ciebie natomiast trudno wziąć za kogo innego. Od pierwszego wejrzenia sprawiasz wrażenie osoby, jaką w istocie jesteś.

Elisabeth popatrzyła na niego przenikliwie. Mimo że starał się, by jego słowa brzmiały niedbale, w jego głosie pobrzmiwała wyraźnie nutka smutku, może żalu...

- Czyli? - spytała pogodnie.

- Czyli damą. Moją damą - dodał, obejmując ją w pasie.

Jego ochrypyły głos robił na niej piorunujące wrażenie. A wystarczyło, by na nią popatrzył i już czuła, że słabnie.

Spojrzał na zawiniątko, które tuliła do piersi.

- Co kupiłaś?

- Nie mogę ci powiedzieć - odparła szybko.

- Daj spokój. Chcę tylko zobaczyć, czy aprobuję twój wybór.

- Mam nadzieję, że tak. - Rozbłyły jej oczy. - Gdy to zobaczyłam, natychmiast pomyślałam o tobie. Wiedziałam od razu, że muszę dobić targu.

Uniósł brew.

- Intrygujesz mnie. - Popatrzył na nią ciepło. - Może po prostu od razu pójdziesz się przebrać?

Uśmiechnęła się dyskretnie.

- Ale ja kupiłam to dla Ciebie.

- Dla mnie? - Był wyraźnie zdumiony. - Dlaczego?

- A musi być jakiś powód? - spytała rozbawiona jego zdziwioną miną.

Po jego twarzy przemknął jakiś nieuchwytny cień, ale zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Dlaczego w takim razie nie chcesz mi powiedzieć, co to jest?

- Bo musisz zobaczyć sam. - Usadowiła się na dolnym stopniu schodów i przywołała go gestem dłoni. Usiadł i wziął prezent do ręki.

Wahał się przez chwilę - a jej się wydawało, że mijają wieki. Wątpiła nawet, czy Morgan w ogóle zamierza rozpakować podarunek. W końcu zaczął odwijać papier - wolno i niezgrabnie, jak się jej wówczas wydawało.

Gdy w końcu obraz ukazał się jego oczom, Morgan nawet się nie uśmiechnął. Patrzył tylko nań z kamienną twarzą... Ta chwila zdawała się trwać bez końca.

Targnął nią ostry ból. Zrozumiała, że obraz mu się nie podoba, a przecież była pewna, że sprawi mu tym podarunkiem przyje-

mność. Powstrzymała głupie, idiotyczne łzy, zdecydowana nie okazać swych uczuć.

- Tak mi przykro. Myślałam, że będziesz zadowolony. - Zdobyła się na uśmiech. - Oddam ten obraz. Albo lepiej ty sam to zrób i wybierz sobie coś, co będzie ci odpowiadało.

Wstała, myśląc tylko o tym, by uciec, zanim spali się ze wstydu. Ale Morgan natychmiast pochwycił ją w talii i posadził z powrotem na schodach.

- Nie! Elisabeth! Jestem zachwycony! Przysięgam!

Zignorowała ostre ukłucie w sercu.

- Nieprawda, wcale nie jesteś. Ale trudno, przecież...

- Nie! - przerwał. - Przysięgam ci na grób mojej matki, że mówię prawdę. - Pochylił głowę i zachichotał. - Boże, jak ja to wszystko niepotrzebnie komplikuję.

Mówił jakoś dziwnie. Przystał być sobą.

- Niczego nie komplikujesz. Powiedz po prostu, o co ci chodzi.

Patrzyła, jak przełyka ślinę. Miał szkliste oczy. Zawahała się. Nie, niemożliwe...

- Nie wiem, co powiedzieć. - Nie patrzył na nią. - Ja po prostu... Mnie nikt nigdy niczego nie dał...

Zrozumiała natychmiast, a serce ścisnęło się jej z żalu. Ona zaznała w dzieciństwie ciepła i miłości. A on? Jakie były jego wspomnienia? Oczyma wyobraźni zobaczyła biednego, małego chłopca, wychowującego się w okropnej, portowej tawernie. Widziała jednak również człowieka, jakim się stał - człowieka, który znalazł swe miejsce w życiu i dorobił się znacznego majątku.

Pogłaskała go po policzku.

- Ale teraz znalazł się ktoś taki. I cieszę się bardzo, że tym kimś jestem ja.

Spotkali się wzrokiem. Ta chwila - choć tak krótka i ulotna - była dla nich cenniejsza niż całe złoto świata.

Morgan odłożył obraz, by wziąć ją w ramiona. Ich głowy zetknęły się.

- Ja też się cieszę - odparł ochrypłym głosem. - Ale mam nadzieję, że nie posłałaś mnie z torbami.

Elisabeth zadarła dumnie nos.

- Jeśli chcesz wiedzieć, ten obraz nie kosztował mnie ani

grosza. Malarz oddał mi go w zamian za pozowanie do szkicu. A to zabrało mi zaledwie parę minut. - Zaśmiała się perliście.

- Zupełnie go nie rozumiem. Dlaczego chciał narysować akurat mnie?

Morgan natomiast rozumiał go doskonale. Uroda Elisabeth natychmiast rzuciła się w oczy. Było w niej jednak coś jeszcze - jakaś wewnętrzna słodycz i ciepło, które promieniało na zewnątrz.

Większość ludzi, jakich znał, interesowała się wyłącznie sobą. Elisabeth przypominała mu jedynie matkę - życzliwą i pomocną. A on sam? Przez ostatnie lata wszystko się w nim wypaliło.

Zapomniał, jak się śmiać.

Elisabeth nauczyła go tej sztuki od nowa.

Zapomniał, jak żyć.

Dzięki niej wróciła mu chęć do życia.

Poczuł dziwny ucisk w gardle. Nigdy jeszcze nie był tak szczęśliwy i beztroski, jak w tej chwili.

Wszystko to dzięki niej.

A co się stanie, jeśli ją straci? Strach ścisnął mu serce. Nie. Nie! To się nie może stać. Tak się nigdy nie stanie.

Wkrótce - oboje równie niechętnie - wyjechali do Bostonu.

Nie mieli pojęcia, co ich czeka.

Gdy weszli do domu, w holu długo rozbrzmiewały ich wesołe śmiechy. Morgan chwycił Elisabeth na rękę i obracał ją w kółko, dopóki nie zawirowało jej w głowie. Zbiegli się wszyscy służący i z otwartymi ze zdziwienia ustami patrzyli na wyczyny swego pana.

- Dosyć! - wykrztusiła Elisabeth. - Proszę cię, przestań, bo już nigdy nie stanę pewnie na ziemi.

Morgan zatrzymał się, rozbłyśły mu oczy.

- W takim razie będę musiał cię nosić, prawda? - Droczył się z nią ze śmiechem. Naraz ukląkł i podniósł ją wysoko na wyciągniętych rękach.

Służący rozeszli się w końcu, starając się ukryć rozbawienie.

Ale Morgan i Elisabeth nie byli sami.

- Wspaniałe przedstawienie - zabrzmiał niski, męski głos. - Doprawdy wspaniałe!

## Rozdział osiemnasty

Morgan stanął jak wryty na pierwszym stopniu schodów i odwrócił się natychmiast.

W drzwiach do biblioteki stał Nathaniel, unosząc kieliszek pełen bursztynowego płynu.

- Nie miałem dotąd okazji, by wznieść toast na cześć młodej pary - powiedział.

Morgan zeszytniał i opuścił Elisabeth na podłogę. Rysy jego twarzy natychmiast stwardniały.

- Może tym razem lepiej ci się poszczęści - odezwał się Nathaniel, uśmiechając się prowokująco. Przeniósł wzrok na Elisabeth. - A czegoż tobie mam życzyć? Może tego, żebyś była z nim szczęśliwsza niż Amelia?

Poczuła, że blednie, w głowie zawiroowało. Utkwiła wzrok w zaciśniętych ustach męża.

- Amelia? - powtórzyła słabym głosem. - Kto to jest?

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Nathaniel posłał bratu arogancki uśmiech.

- Raczej, kim była - sprostował Nat, patrząc na brata. - Powinieneś chyba sam to jej powiedzieć. I dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłeś.

Morgan patrzył na niego z wściekłością. Co za spryciarz! Ten śmierdzący łajdak wiedział przecież, że on będzie milczał jak grób.

Zalała go fala goryczy. Pragnął ponad wszystko w świecie wyznać Elisabeth całą prawdę. Ale wciąż, w najgłębszych zakamarkach podświadomości, słyszał błagalny głos matki.

*Twój brat jest jeszcze taki malariki. Będzie mu potrzebny ktoś taki, jak ty. Prowadź go, chroń go.*

Ogarnęła go wściekłość i żal. Przez całe życie robił większość rzeczy z myślą o bracie. *To dla Nata* - powtarzał sobie, gdy opuszczali go siły. *Dla Nata.*

W głowie lęły mu się najczarniejsze myśli. Może okazał się samolubny? Do diabła! Z pewnością tak. Jego matka troszczyła się o nich obu, ale w końcu zostawiła go samego. On jeden opiekował się bratem, bo ojciec nie dbał o swoich synów. A od chwili, gdy umarła Loretta, nikt nawet o nim, o Morganie, nie pomyślał. Nikogo nie interesowały jego uczucia, zdrowie, przyszłość.

Nikogo... oprócz Elisabeth.

Ale teraz miał wrażenie, że i ona - jak piasek - przelatuje

mu przez palce. To niesprawiedliwe - buntował się w duchu. - Niesprawiedliwe.

Zacisnął pięści i popatrzył na brata.

- Ty łajdaku - powiedział z pogardą. - Wynoś się stąd natychmiast!

Elisabeth nie mogła uwierzyć, że te proste słowa mogą brzmieć tak groźnie.

- Daj spokój - mruknął Nathaniel. - Nie ma powodu do irytacji.

Morgan zrobił krok do przodu.

- Wynoś się - syknął przez zacisnięte zęby - albo sam cię stąd wyrzucę.

- Morgan! Na miłość boską! - krzyknęła Elisabeth, stając między braćmi.

- Odpowiem ci na pytanie, jakie mi zadałaś, kiedy zostaniemy już sami. - Nie spuszczał wzroku z Nathaniela, który miał minę urażonej niewinności.

- Jeśli rzeczywiście tego chcesz, zgoda - odparł, poprawiając mankiety koszuli. - Przyjdę, gdy nabiorę pewności, że czeka mnie serdeczniejsze przyjęcie.

Morgan zacisnął zęby.

- Nie pokazuj się tutaj bez zaproszenia - powiedział zimno.

Nawet jeśli Nathaniel był zdenerwowany, nie dał tego po sobie poznać. Wychodząc, gwizdał jakąś wesołą melodyjkę.

Gdy zostali sami, w pokoju zapanowała grobowa cisza. Elisabeth patrzyła na Morgana z żalem i urazą, on wyglądał jak chmura gradowa.

Bez słowa wskazał jej drogę do biblioteki. Zesztywniała, gdy ujął ją pod łokieć i poprowadził do drzwi. Gdy tylko znaleźli się w środku, odsunęła rękę.

Morgan zacisnął usta w linijkę, ale się nie odezwał.

Patrzyła na niego z udanym spokojem, lecz w jej sercu szalała prawdziwa burza uczuć. Była wściekła na Nathaniela za to, że wyprowadził brata z równowagi. Ale jeszcze większe pretensje miała do męża.

W głowie czuła zamęt. Co to takiego powiedział Nathaniel? *Może tym razem lepiej ci się poszczęści?*

Doznała nagłego olśnienia i omal nie krzyknęła. Wołała jednak usłyszeć całą prawdę od Morgana.

Ukryła dłonie w kieszeniach spódnicy, by nie widział ich drżenia.

- Kim ona była? - spytała wyraźnie. - Kim była Amelia?

Po jego twarzy przemknął dziwny grymas - czyżby żalu? - ale nie odpowiedział.

Coś w niej pękło.

- Odezwij się, do diabła! Kim ona była? Twoją żoną?

Opuścił głowę.

- Tak.

Ból omal nie powalił jej na kolana. Morgan na pewno nie poślubił Amelii z przymusu. Z pewnością ją kochał...

W miejsce bólu natychmiast pojawił się gniew.

- Gdzie ona jest?

- Nie żyje - powiedział takim tonem, jakby go to wcale nie obeszło.

Boże - myślała - targana sprzecznymi uczuciami - cóż z niego za człowiek?

- Byłeś wdowcem, gdy za ciebie wychodziłam?

- Tak.

Znów ta obojętna mina.

Elisabeth zmartwiała. Poczowała się zdradzona i oszukana. W głębi serca ganiła się jednak za głupotę. Przecież ta nieszczęsna kobieta już nie żyła!

Morgan wykrzywił usta.

- Żałujesz, że nie wyszłaś za Nathaniela, prawda?

- Teraz żałuję, że w ogóle was poznałam! - krzyknęła.

Zacisnął szczęki.

- Nie widzisz, co on zrobił? Dopiął swego! Chciał, żebyśmy skoczyli sobie do gardeł.

Oczy Elisabeth ciskały błyskawice.

- Nie zwalaj winy na Nathaniela. Chcę tylko wiedzieć jedno. Czy zamierzałeś mi kiedykolwiek o tym powiedzieć?

- Nie wiem - odparł zmęczonym głosem. - Właściwie o tym nie myślałem. - Urwał i wyciągnął do niej rękę. - Elisabeth, proszę cię...

Odsunęła się gwałtownie.

- Nie! I nie próbuj mnie przekonywać, że milczałeś dla mojego dobra. Nie mów, że byłoby lepiej, gdybym nigdy nie dowiedziała się prawdy. Mówiłeś, że wielu ludzi miałoby po-

wody, by nazwać Nathaniela kłamcą i oszustem. A ty wcale nie jesteś lepszy.

Nie czekała na jego odpowiedź. Zakreśliła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Otworzyła je na oścież, po czym jeszcze raz spojrzała na Morgana.

- Kochałeś ją?

Powinna była przewidzieć, że będzie milczał jak zaklęty.

- Odpowiedz! - krzyknęła.

- Tak.

- A ona?

Wykrzywił wargi.

- Tak mi się wydawało. Ale Amelia kochała wyłącznie siebie.

Elisabeth doznała wrażenia, że pałący ból w piersiach za chwilę ją zabije. Łzy zamgliły jej oczy. Na ich widok Morgan wydał stłumiony okrzyk i rzucił się do dziewczyny.

Ale ona potrząsnęła dziko głową.

- Nie dotykaj mnie. Proszę cię - dodała złamanym głosem.

- Zostaw mnie samą.

Tłumiąc szloch, zebrała spódnicę i wypadła z biblioteki.

Tej nocy w domu panowała grobowa cisza.

Spokój i poczucie wzajemnej bliskości, jakich zaznali nad morzem, zostały poważnie zagrożone.

I choć gniew powoli jej mijał, Elisabeth czuła, że ma rozdarte serce. Nie była wprawdzie dumna ze swego wybuchu, lecz nadal uważała, że Morgan nie powinien był ukrywać przed nią swego pierwszego małżeństwa.

Cierpiała na samą myśl o związku swojego męża z inną kobietą. Kobieta, którą kochał. A jej nigdy nie wyznał miłości. W końcu jednak doszła do wniosku, że nie ma prawa o nic go winić. Tyle lat żył w nędzy i niedoli. I cóż z tego, że się ożenił? Przecież Amelia umarła. Trudno byłoby zazdrościć Morganowi szczęścia, nawet jeśli kiedykolwiek go zagnał.

Wciąż jednak dręczyły ją wątpliwości.

W jaki sposób umarła? Zachorowała? Uległa wypadkowi?

Zadała mu to pytanie już następnego ranka. Natychmiast odłożył serwetkę i wstał od stołu.

- Nie mam teraz czasu - odrzekł krótko. - Spieszę się na spotkanie.

Wyszedł, nie zaspokoiwszy ciekawości swej żony.

A ona zajrzała później do jego kalendarza i przekonała się, że nie był z nikim umówiony.

Ranek mijał powoli. Około południa Elisabeth miała już dość siedzenia w zamknięciu. W nadziei, że odzyska spokój, postanowiła udać się na przechadzkę. Wkrótce znalazła się pod domem Stephena. Szybko weszła na schody i zadzwoniła.

Otworzyła jej niska, przysadzista gospodyni o siwych włosach.

- Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

- Przyszłam do doktora Marksa - odparła dziewczyna z uśmiechem.

- Jest w gabinecie. Czy była pani umówiona?

- Niestety, nie.

Wszystko jedno - odparła energicznie tęga niewiasta. - Proszę wejść. - Chyba akurat teraz jest wolny. Jestem pewna, że panią przyjmie.

Gdy Elisabeth szła za nią do gabinetu Stephena, nie mogła pozbyć się wrażenia, że postępuje nielojalnie wobec Morgana. Ale on nie pozostawił jej przecież wyboru. Musiała się czegoś dowiedzieć o Amelii.

Na jej widok Stephen rozplątał się w uśmiechach.

- No, no - powiedział, zamykając za nią drzwi. - Chyba wiem, czemu zawdzięczam tę wizytę. Pewnie miewasz rano zawroty głowy?

- Nic podobnego - odparła i zmarszczyła brwi. - A dlaczego tak sądzisz?

- Cóż - odparł nieśmiało, - Sądziłem, że może powiększy się wam rodzina.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Kobiety przy nadziei zazwyczaj potrzebują pomocy lekarskiej. - Utkwił wzrok w jej płaskim brzuchu.

Wreszcie doznała olśnienia.

- Mówisz o dziecku?

- Tak to się zazwyczaj kończy. Jako mężatka wiesz zapewne, co poprzedza narodziny.

- Oczywiście, że tak! - wybuchnęła i poczerwieniała jak burak. Choć nie miała już wątpliwości, co należy zrobić, by

zostać matką, nigdy nie sądziła, że ona sama powinna się liczyć z taką perspektywą.

Stephen roześmiał się głośno.

- To świetnie, bo wolałbym ci niczego nie tłumaczyć!

Oparła ręce na biodrach.

- Gdyby ktokolwiek inny ośmielił się mówić przy mnie o takich rzeczach - powiedziała z udanym oburzeniem - dostałby po buzi.

Poklepał ją po ramieniu.

- Szkoda, że się pomyliłem - odparł pogodnie. - Ale nie martw się. Prędzej czy później i tak do tego dojdzie. Sądzę, że raczej prędzej niż później.

Elisabeth ponownie spłonęła rumieńcem.

- Stephen! Jesteś niemożliwy!

- Rzeczywiście. Już mi to mówiono. - Skrzyżował ręce na piersiach i przycupnął na brzegu biurka. - W takim razie, co cię tu sprowadza, skoro nie potrzebujesz porady lekarskiej?

Mimo usilnych starań nie zdołała ukryć zdenerwowania. Przystała się uśmiechać, po czym wbiła wzrok w fałdy sukni.

- Chodzi o Morgana, prawda? - Stephen westchnął głęboko.

- To on cię doprowadził do takiego stanu.

- Trudno tu mówić o stanie. - Chciała się uśmiechnąć, ale poniosła sromotną klęskę. - I nie chodzi o to, co Morgan zrobił, ale raczej o to, czego nie zrobił - plątała się Elisabeth.

- Czyli? - spytał łagodnie Stephen.

Czuła ucisk w gardle.

- Dowiedziałam się o Amelii - wykrztusiła.

Nie musiała mówić nic więcej. Stephen natychmiast spoważniał.

- Od Morgana?

Przytaknęła.

- Tak, ale za sprawą Nathaniela. On wymienił jej imię. A ja oczywiście byłam ciekawa, o kim mowa. Lecz Morgan powiedział mi tylko, że Amelia była jego żoną i że już nie żyje.

- Rozumiem - rzekł cicho Stephen.

- Więc... pomyślałam sobie, że skoro jesteś najbliższym przyjacielem Morgana, a w dodatku lekarzem... Czy ona była chora?

Stephen nawet nie starał się ukryć niezadowolenia.

- Wydaje mi się - powiedział, kręcąc głową - że nie powinnaś dowiadywać się tego ode mnie. Morgan mógłby mieć pretensje do nas obojga.

- Wiem. Naprawdę. I przykro mi, że postawiłam cię w takiej sytuacji. Ale wszystko mi jedno. On i tak o mnie nie dba - dokończyła cicho.

- Nie wierzę.

- Musisz mi uwierzyć. - W jej głosie słychać było ból płynący prosto z serca. - Wyjechaliśmy na tydzień do jego domu na północy. Tam było... zupełnie inaczej. Ale teraz... - Opuściła oczy.

- Zabrał cię do domu nad morzem? - Stephen popatrzył na nią z uwagą.

- Tak - wyjąkała szeptem.

- W takim razie chyba nic nie rozumiesz. Nie doceniasz jego uczuć. Nie wiesz, ile dla niego znaczysz. Ten dom, to jego schronienie przed światem. O ile wiem, nigdy nikogo tam nie zapraszał. Na przykład Amelia nigdy tam nie była. Boczyła się kiedyś na niego za to przez parę dni. Mnie również nigdy tam nie zawiózł.

- Zatem znałeś Amelię?

- Tak.

- W takim razie opowiedz mi o niej. Proszę.

Westchnął.

- Ona była bardzo ponętną kobietą. Inteligentną. Pełną życia. Kochała towarzystwo. Lubiła zwracać na siebie uwagę. Wydawało mi się, że nie ma takiej osoby na świecie, której nie potrafiłaby oczarować.

- A jak układało się ich małżeństwo? Szczęśliwie? - To pytanie z trudem przeszło jej przez gardło, ale tak bardzo chciała się wszystkiego dowiedzieć...

- Na początku tak. Ale później - zawahał się. - Morgan nie mówił mi nic na ten temat, ale chyba nie.

- Kiedy ona umarła?

- Jakies pięć lat temu.

- Co się stało? Zachorowała? Nie odpowiedziałeś mi - przypomniała.

Był wyraźnie rozdarty.

- Elisabeth...

- Stephen - nalegała. - To dla mnie takie ważne.
- Odetchnął głęboko.
- Dobrze - odparł w końcu. - Zginęła tragicznie.
  - W wypadku?
  - Została zamordowana - powiedział po długiej chwili.
  - Zamordowana? - powtórzyła. - Jak?
  - Uduszona. Znalaziono ją w sypialni.
- Elisabeth patrzyła na niego z przerażeniem.
- Boże - powiedziała drętwą. - Któż byłby zdolny do czegoś podobnego?
  - To nie wszystko.
- W głosie Stephena pojawiła się jakaś dziwna nuta. Wstrzymała oddech.
- Tak?
  - Morgan został aresztowany pod zarzutem morderstwa.

## Rozdział dziewiętnasty

*W Lorgan został aresztowany pod zarzutem morderstwa.*

Te słowa zawisły nad nią jak miecz Damoklesa. Gdyby stała, z pewnością by upadła. Stanął jej przed oczami pewien mglisty obraz. Przypomniała sobie nagle dzień swego ślubu, kiedy to pod kościołem zebrał się tłumek gapiów. A wtedy pewien mężczyzna uniósł pięść i krzyknął: *Proszę uważać, bo skończy pani tak samo, jak tamta.*

*Jak tamta.*

Wtedy nie zrozumiała, o co chodzi, ale teraz wszystko stało się jasne.

*Jak tamta...*

Czyli jak Amelia.

Poczuła dreszcze. Na jej twarzy pojawił się przestach. Bezwiednie wyciągnęła ręce.

- Boże! Przecież pytałam Morgana, czy darzył ja uczuciem i czy ona go kochała. Powiedział, że Amelia potrafiła kochać wyłącznie siebie. Ten temat wyraźnie go irytował - dokończyła zduszonym głosem.

Stephen chwycił ją za rękę i poderwał na równe nogi.

- Posłuchaj! Morgan jej nie zabił! Nie byłby do tego zdolny!
- Dlaczego jesteś tego pewien? - krzyknęła. - Skąd wiesz?
- Wierz mi. Mam powody, by tak sądzić. Zjawiłem się tam wkrótce po tym, jak znalazł ciało. Amelia była już martwa, a on próbował ją ocucić. Zachowywał się jak szaleniec. Towarzyszy-



łem mu w drodze do aresztu. Widziałem, że się boi, ale nie wyrzekł bodaj słowa w swojej obronie. Był w szoku. On przecież chciał rozstać się z Amelią. Tamtego wieczoru pytał mnie, jak jej o tym powiedzieć. Potem wrócił do domu, znalazł jej ciało, a sam trafił do więzienia! Ale Bóg mi świadkiem, wiem, że on nie zabił Amelii.

Elisabeth popatrzyła mu prosto w oczy. Stephen zdawał się być całkowicie przekonany o niewinności przyjaciela, a przecież znał go lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Napięcie powoli zaczęło ustępować. Jakby czytając w jej myślach, Stephen uściskał ręce dziewczyny.

- I co się stało dalej? - spytała szeptem.

- Wyznaczono datę procesu - skrzywił się Stephen. - Boże, co za koszmarna historia! Ale zanim doszło do rozprawy, prokurator wycofał oskarżenie. Doszedł do wniosku, że nie posiada żadnych dowodów przeciw Morganowi. - Urwał. - Krótko mówiąc, cała jego wina polegała na tym, że znalazł zwłoki.

Elisabeth aż się wzdrygnęła. Morgan musiał się czuć straszliwie upokorzony.

- Wielu odwróciło się do niego plecami - kontynuował Stephen - nawet ci, którzy znali go od lat. Na szczęście robotnicy pozostali wobec niego lojalni. Cudem boskim nie poniósł klęski w interesach. Jakoś przetrwał burzę. Zresztą, gdyby nie jego stocznia, w Bostonie wielu ludzi znalazłoby się bez pracy. Wreszcie również przedsiębiorcy zrozumieli, że nie mogą sobie pozwolić na konflikt z Morganem.

Elisabeth miała bardzo poważną minę. Przypomniała sobie, jak Morgan powiedział jej w dzień oświadczyń, że nie chce zostać bohaterem skandalu.

Nic dziwnego.

W domu wpadła prosto na Simmonsa, który czekał na nią pod drzwiami.

- Dzięki Bogu, że pani wróciła - powiedział, wskazując znacząco bibliotekę. - Pan wszędzie pani szuka. Rozpytuje wszystkich, co się z panią stało.

Elisabeth wręczyła mu parasolkę.

- Dziękuję. - Dumnie wyprostowana ruszyła do biblioteki.

Morgan kipiał ze złości. Na jej widok zerwał się na równe nogi i podszedł do niej z płonącymi oczyma.

- Gdzie byłaś, u diabła? - zapytał.

- Nie złość się - poprosiła spokojnie. - Poszłam po prostu na spacer.

- Na trzy godziny?! - Mięsień na policzku drgał mu niebezpiecznie.

Omam nie zachwiała się pod jego spojrzeniem.

- Byłam też u Stephena.

Zmarszczył brwi, a oczy zwięziły mu się w szparki, gdy siadał z powrotem za biurkiem.

- Po co? Jesteś chora?

Najgorsze wciąż było przed nią.

- Nie - przyznała. Zebrawszy wszystkie siły, wciągnęła głęboko powietrze. - Opowiedział mi o Amelii.

Morgan zacisnął szczęki. Najwyraźniej walczył ze sobą, by zachować spokój. Zaklął.

- Powinienem być to przewidzieć!

- Jeśli musisz się złościć, to raczej na mnie, niż na niego. - Elisabeth wystąpiła w obronie ich wspólnego przyjaciela.

Morgan uderzył pięścią w biurko. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Nie mieliście prawa spiskować za moimi plecami!

Elisabeth zbladła, ale nie stchórzyła. Zanim znów zaczęła mówić, odważnie stawiała mu czoła.

- Nie spiskowaliśmy. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego sam nie mogłeś mi powiedzieć, jak ona umarła. Nie chciałeś jednak poruszać tego tematu. Po prostu nie chciałeś!

- To nie ma nic do rzeczy. Nie powinnaś była z nim rozmawiać.

- Żałuję, że musiałam! - wybuchnęła.

- A co on ci właściwie powiedział? - spytał nagle Morgan.

- Wszystko - odparła, patrząc mu śmiało w oczy. - I powtórzył mi bez końca, że nie zabiłeś Amelii.

- Tylko nie mów, że mu uwierzyłaś - powiedział pogardliwie.

- Oczywiście, że tak - odparła z oburzeniem.

- A teraz? Nadal jesteś o tym przekonana? - Stanął przed nią z płonącymi oczyma. Popołudniowe słońce padało mu na twarz. Patrzył na nią tak, że nie miała odwagi się ruszyć.

Położył swe szczupłe, silne ręce na jej ramionach i przyciągnął do siebie. Był tak obezwładniająco męski i groźny, że ze

strachu zaschło jej w ustach. Pomyślała, że wystarczyłoby, gdyby położył te ręce na szyi, a potem tylko mocno ścisnął...

- No i cóż, moja droga? - Cichy, gorący szept Morgana pieścił jej ucho. - W dalszym ciągu wierzysz w moją niewinność?

Opuszkami kciuków musnął tak delikatnie linię jej karku, że zrobiło się jej słabo. Przypomniała sobie natychmiast tę noc w domku nad morzem, gdy Morgan sprawił, że stała się kobietą...

Noc, gdy naprawdę została jego żoną.

Te silne ręce były zbyt czułe, by dopuścić się aktu przemocy. Wierzyła w to tak głęboko, jak w nic innego na świecie.

Nie - pomyślała, czując piekący ból w piersiach.

Morgan nie zagrażał jej życiu, tylko jej sercu.

Ona go kochała. Naprawdę kochała.

Dotknęła delikatnie ciemnych włosów porastających mu kark. Objęła go za szyję, uniosła głowę i przywarła do jego ust.

- Tak - szepnęła. - Tak.

Omam nie rozgniół jej w uścisku. Rozchylił usta w gorącym, głębokim pocałunku. Dzika namiętność rozpałała w nich pożądanie.

Napięta męskość Morgana dotykała źródła jej rozkoszy. Ogarnęła ją lubieżna radość. Otarła się biodrami o jego podbrzusze w szalonym tańcu, który doprowadził ich oboje do szaleństwa. Zdierał z niej suknię, ona rozbierała go niezręcznie i niecierpliwie.

Wkrótce została naga. Morgan zrzucił z siebie koszulę, potem spodnie. Na widok jego obnażonej, twardej męskości, wbiła mu paznokcie w biodra.

Nagle znalazła się na dywanie. Całował jej płonące z pożądania piersi, pępek, a w końcu pochylił się nad złotym trójkątem między nogami.

Serce podskoczyło jej do gardła. Nie do wiary... On chyba nie zamierza...

Poczuła tylko gorącą wilgoć jego języka i zacisnęła ręce na dywanie. Płonęła całym ciałem, niewyobrazalna przyjemność sięgnęła zenitu.

Wygiąwszy plecy w łuk, wydała okrzyk rozkoszy. Morgan odwrócił się na plecy i posadził ją na sobie. Trzymając ją mocno w talii, pieścił jej uda, prowadząc nieomylnie do celu. Jej zmysły

szalały. Zagłębił się w niej całkowicie, wypełniając sobą do końca.

Nie potrafiłaby opisać swych doznań. Nie wyobrażała sobie, że kobieta może tak ujeżdżać mężczyznę! Ale okazała się zdolną uczennicą. Morgan pieścił jej sutki, dopóki nie stwardniały, a ona jęcząc głośno, instynktownie wznosiła się i opadała, nie odrywając wzroku od jego członka. Straciła władzę w nogach, a w środku odczuwała palącą wilgoć. Nagle doznała wrażenia, że rozpada się na tysiące kawałków. Krzyknęła głośno. Morgan wydał ochrypły jęk i wybuchnął, napełniając ją gorącą lawą swego nasienia.

Gdy chłodne wieczorne powietrze musnęło jej policzki zrozumiała, co właściwie zrobili. W dodatku w bibliotece. Ukryła twarz na jego ramieniu. Zachichotała na wspomnienie swych wyobrażeń.

Nigdy jednak tak naprawdę nie sądziła, że do czegoś podobnego może dojść.

Ziewnęła i potarła policzkiem o jego ramię. Gdy Morgan niósł ją na górę, było już bardzo późno. Elisabeth poruszyła się sennie czując pod plecami miękkość materaca. Otworzyła oczy. Morgan stał nagi nad łóżkiem. Wyciągnęła rękę.

- Wkrótce znów otwarły się przed nimi bramy raj.
- Morgan? - szepnęła dużo, dużo później.
- Mhm. - Leżał na plecach, przytulając ją mocno.
- Kto właściwie zabił Amelię?

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Zesztywniał, szybko odrzucił kołdrę i wstał z łóżka.

- Morgan! - Usiadła, zasłaniając piersi prześcieradłem. - Co ja takiego powiedziałam? Pomyślałam, że w końcu znaleziono mordercę i...

- Nie. Nie znaleziono.
- Chyba próbowałeś...
- Uważam ten temat za wyczerpany. Raz na zawsze.
- Co takiego?! Nie zamierzasz ze mną o tym rozmawiać?!
- Właśnie. - Sięgnął po spodnie. - Amelia nie żyje i nic nie przywróci jej życia.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Mówisz tak, jakbyś nie chciał wiedzieć.
- Bo nie chcę - odparł krótko.

- Boże! Przecież ona była twoją żoną!  
Wykrzywił usta.

- Moją żoną... Chcesz znać prawdę, Elisabeth? Dobrze. Opowiem ci o mojej ukochanej małżonce. Już w pierwszym roku naszego małżeństwa coraz to nowi kochankowie prawie nie wychodzili z jej łóżka. Kiedy umarła, chciałem zapomnieć o tym piekle, jakie przez nią przeżyłem. I byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przestała wypytywać Stephena lub kogokolwiek innego o moje małżeństwo z Amelią.

Miała ochotę rozpłakać się ze złości.

- Poszłam do Stephena powodowana troską.  
- Troską? O kogo? Bałaś się, że zamorduję cię we śnie?  
- Nie wiedziałam, że Amelia została zamordowana.  
Nie zwrócił na to uwagi.

- Powiedz, wyszłabyś za mnie, gdybyś wiedziała, że byłem oskarżony o to, że zabiłem własną żonę? - Wykrzywił usta. - Angielska dama żoną kryminalisty!

- Nie jesteś kryminalistą!  
- Co za różnica? Szacowni bostończycy nigdy o tym nie zapomnieli. - Jego głos ociekał pogardą. - Dlaczegoż by moja szlachetnie urodzona żona miała myśleć inaczej?  
- Szlachetnie urodzona? Kiedy tu przybyłam, nie miałam ani grosza przy duszy!

- Ale wcale nie musiało tak być. Wystarczyło, żebyś została w Anglii i wyszła za męża. Wówczas otrzymałabyś spadek. Nie zamierzam stać ci na drodze. Wróć do Anglii, jeśli chcesz. Mnie to nic nie obchodzi.

Elisabeth zacisnęła pięści.

- Nie musisz mi tego mówić! - wykrztusiła. - Była równie wzburzona, jak Morgan. - Nie rozmawiasz ze mną. Nic do mnie nie czujesz. Zrobiłeś ze mnie idiotkę. Wykorzystałeś mnie - ciągnęła z oburzeniem. - Tam, nad morzem, wydawało mi się, że coś nas łączy. Ale teraz widzę, że znaczą dla ciebie tyle samo, co twoja kochanka. Jak ty to powiedziałaś? Czerpaliśmy przyjemność z naszych ciał?

Przejechała pogardliwie dłonią po zmiętej pościeli.

- Na tym to miało polegać? Tak sobie wyobrażałeś nasz związek?

Milczał - i w ten sposób powiedział jej wszystko.

- W takim razie to nie jest małżeństwo - krzyknęła zdławionym głosem. - To raczej więzienie, w którym tkwimy oboje!

Sądziła, że już gorzej być nie może.

Następnego dnia przygotowywała jadłospis na nadchodzący tydzień, gdy Simmons zaanonsował jej przybycie Nathaniela.

Nie mogła nic na to poradzić, że w głowie huczało jej ostrzeżenie Morgana. *Nie pokazuj się tu bez zaproszenia.*

Zagryzła wargi i podjęła natychmiastową decyzję.

- Wprowadź go - powiedziała, odsuwając papiery.

W chwilę później Nathaniel wszedł do salonu. Ubrany był nieskazitelnie jak zawsze, ale miał sińce pod oczami i wyglądał zdecydowanie nie najlepiej.

- Witaj - rzekła z wymuszonym uśmiechem. - Usiądź, proszę.

Nathaniel rozejrzył się niespokojnie.

- Morgan jest w stoczni?

Przytaknęła, patrząc jak Nat zajmuje miejsce na krześle. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Miał coś do załatwienia w mieście - powiedziała cicho. -

Nie dodała tylko, że otrzymała te informacje od Simmons. Morgan nie raczył zdradzić jej swoich planów.

- Napijesz się kawy albo herbaty?

- Nie, dziękuję. Przyszedłem prosić cię o wybaczenie - powiedział z zażenowaną miną.

- Za to, co wydarzyło się przedwczoraj?

- Tak.

Elisabeth położyła ręce na kolanach.

- Ja się na ciebie nie gniewam. - Urwała znacząco. - Powinieneś raczej przeprosić Morgana.

- Morgana! - burknął. - A to dlaczego?

Patrzył na nią wojowniczo. Elisabeth uniosła dumnie podbródek.

- Ponieważ zachowałeś się niegrzecznie i grubiańsko - odparła spokojnie. - Chciałeś sprowokować awanturę. Zamierzałeś go przede mną upokorzyć.

- A nawet jeśli tak, to co? On mi cię zabrał. Po prostu ukradł!

- Nie. Wysłałam za niego za męża z własnej woli. Musisz to zrozumieć - mówiła twardo. - Sama dokonałam wyboru.

- Ty go nie kochasz!

Poczuła ukłucie w sercu i odwróciła wzrok.

*Wtedy rzeczywiście go nie kochałam* - pomyślała. - *Ale teraz jest inaczej.*

Nie mogła mu tego powiedzieć. Zdała sobie sprawę z tego, że nigdy nie kochała Nathaniela tak, jak kochała Morgana. Była jedynie pod wrażeniem wielkomięskiego blichtru, urody życia. Dała się zwieść urokowi nieznanego Amerykanina. Na jej twarzy pojawił się wyraz melancholii, który nie uszedł uwagi Nathaniela.

- Widzisz, miałem rację. On cię unieszczęśliwi. Już mu się to zresztą udało. Przecież widzę. Postąpi z tobą tak samo jak z Amelią. Przy nim nigdy nie zaznasz szczęścia.

- Dosyć! - Spojrzała na niego gniewnie. - Nie życzę sobie, byś tak o nim mówił. Jeśli nie przestaniesz, będę zmuszona cię wyprosić!

Zacisnął mocno usta, już się nie odezwał. Wstał z krzesła z rękami w kieszeniach i zaczął przemierzać salon. Gdy minął ją po raz trzeci, Elisabeth wyczuła, że bije od niego zapach alkoholu.

Zerwała się z miejsca.

- Nathanielu! - krzyknęła z oburzeniem. - Znowu piłeś!

Zatrzymał się raptownie. Teraz dopiero dostrzegła, że ma przekrwione oczy.

- Ostatnio prawie nie przestaję - odparł z zimnym uśmiechem.

- Chyba nie powinieneś się tym chwalić!

- Dlaczego? Nie mam nic lepszego do roboty.

- Więc pijesz dla zabicia czasu? - zdziwiła się.

W odpowiedzi wzruszył jedynie ramionami.

- Przecież mógłbyś się zająć tysiącem rzeczy.

- Na przykład? - spytał ponuro.

- Czymś konstruktywnym - odparła śmiało. - Czymś pozytywnym.

- Konstruktywnym? - prychnął. - Więc Morgan ci nie mówił? Ja się do niczego nie nadaję! Przecież on zawsze mi to powtarza z wyjątkowym upodobaniem!

Ogarnął ją żal. Dlaczego oni nie mogą się porozumieć? Dlaczego? Elisabeth nabrała przekonania, że między braćmi wydarzyło się coś, o czym ona nie ma pojęcia, coś bardzo ważnego.

- Więc udowodnij, że się myli. Nie po to, by mu dokuczyć, ale dla własnego dobra. Przecież na pewno istnieje coś, co potrafiłbyś robić. Musisz jakoś wypełnić swój czas i swoje myśli.

- Dziwię się, że nic nie wiesz. Morgan niepotrzebnie wydał tyle pieniędzy na moje wykształcenie. Straciłem wszystkie posady.

Elisabeth pokręciła głową.

- Tak czy inaczej, musisz pracować. - Złożyła ręce przed sobą i pograżyła się w rozmyślaniach. - Zaraz! - Krzyknęła. - Znalazłam idealne rozwiązanie. - Poproszę Morgana, żeby dał ci pracę w stocznii.

- Elisabeth...

Zbyła jego protesty machnięciem ręki.

- Przecież musisz coś robić. Jesteś dobry z matematyki?

- Kiedyś byłem - przyznał.

- Dobrze! Może mógłbyś prowadzić księgi. Wiem, że Morgan za tym nie przepada.

Uważała, że nie wolno jej ustąpić.

Wieczorem uśmiechnęła się cicho do siebie. Jeśli Morgan się przekona, że Nathaniel usiłuje dowieść swojej wartości, na pewno zmieni o nim zdanie. Być może będzie to pierwszy krok na drodze do zgody.

Czekała na męża do późna. Wreszcie usłyszała jego kroki na dole. Dobrze. Nie przyszedł na kolację, więc kazała przygotować dla niego zimny posiłek - sporą porcję szynki, fasolkę i chleb. Wzięła więc tacę do ręki i ruszyła na dół.

Weszła bezgłośnie do gabinetu. Narożnik pokoju tonał w żółtym świetle lampy. Morgan stał nie opodal okna i wpatrywał się w księżycowe niebo. Na jego twarzy malował się wyraz powagi. Widać było wyraźnie głębokie bruzdy wokół ust. Sprawiał wrażenie pokonanego. Był tak smutny i zmęczony, że natychmiast poczuła, jak zalewa ją fala współczucia.

Usłyszał szelest jej sukni i odwrócił się.

Wstrzymując oddech, wyciągnęła do niego tacę.

- Nie byłeś na kolacji - powiedziała bez tchu. - Pomyślałam, że jesteś głodny.

Stał nieruchomo przez dłuższą chwilę. Elisabeth doznała dziwnego wrażenia, że go przestraszyła. W końcu podszedł, by

odebrać od niej tacę. Ich palce zetknęły się na chwilę, a ona poczuła, że przechodzi ją dreszcz.

- Rzeczywiście. Umieram z głodu - przyznał.

Uśmiechnęła się. Doznała ogromnego uczucia ulgi. Sądziła, że Morgan potraktuje ją zimno i obojętnie. Usiadł za biurkiem, a ona zajęła miejsce naprzeciwko. Podczas gdy jadł, paplała coś na temat ładnej pogody, reumatyzmu Simmonsa oraz kolacji u Porterów, na którą wybierali się w przyszłym tygodniu.

Skończył jeść i wstał. Obszedłszy biurko, stanął dokładnie na wprost niej. Zanim zorientowała się, do czego zmierza, podniósł ją do góry.

- Dziękuję - szepnął. - To bardzo ładnie z twojej strony.

Uśmiechnęła się, czując niezrozumiały przypływ radości.

- Nie ma za co - odparła. - Chciałam dla ciebie zrobić coś wyjątkowego. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. - Morgan patrzył na jej piękną twarz, zielone oczy, uroczo zaróżowione policzki. Włosy opadły jej na plecy złotą kaskadą. Spod szlafroka wystawała krawędź koszuli nocnej. Koronka na krągłych piersiach dziewczyny poruszała się z każdym jej oddechem, co działało na niego bardziej podniecająco, niż gdyby stanęła przed nim naga.

Zaprzagnął położyć ją na podłodze, zerwać z niej ubranie i wdrzeć się głęboko w jej jedwabiste ciało.

Ścisnął ją mocno za ręce. Zanim jednak zdołał się odezwać, usłyszał jej głos.

- Cieszę się, że się na mnie nie gniewasz za wczorajszy wieczór.

Wczorajszy wieczór. Boże... ledwo mógł zebrać myśli. Po cóż by miał pamiętać o wczorajszym wieczorze? Serce waliło mu jak młotem, krew wrzała.

- Chciałabym cię prosić o przysługę.

Ta czarująca istota mogłaby go poprosić nawet o księżyc, słońce i gwiazdy, a on zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by spełnić jej życzenie.

- Chodzi o Nathaniela. On musi się czymś zająć. Jestem przekonana, że udałoby mu się do czegoś dojść, gdyby tylko się postarał. I pomyślałam sobie, że mógłby pracować z tobą.

Gdy wreszcie dotarł do niego sens jej słów, poczuł się tak, jakby zalała go zimna, morska fala.

- A więc on tutaj był? - spytał oziębło.

- Tak. Wiem, że kazałeś mu czekać na zaproszenie - wyjaśniła szybko - ale on przyszedł tu z przeprosinami. - Nie dodała, dla kogo były one przeznaczone.

Morgan zamarł.

- Chcesz, żebym go zatrudnił? Żebym dał mu posadę?

- Tak. Widzisz...

Ścisnął tak mocno jej nadgarstki, że omal nie krzyknęła z bólu. Odsunął ją od siebie gwałtownie.

- Nie.

Elisabeth zamrugała oczami.

- Morgan - zaczęła w nadziei, że wróci mu rozsądek. - Przecież on nie chce być twoim współnikiem...

- Nathaniel nie będzie pracował ani ze mną, ani dla mnie. Czy wyrażam się jasno?

- Ale...

- Nie ma o czym dyskutować - powiedział twardo. - Nie zatrudnię go. Wykluczone.

Zwróciła na niego oczy. Miał pochmurną, groźną minę. Burza wisiała w powietrzu. Wskazał ręką biurko, tacę i pusty talerz.

- Tyle starań z powodu biednego Nathaniela, prawda? Chciałaś mnie przekonać, zmiękczyć mi serce, żebym nie mógł ci odmówić?

Elisabeth osłupiała. Za kogo on ją uważał?

i - Oczywiście, że nie!

- Zdziwiasz mnie. Sądziłem, że jesteś prawdziwą damą. - Wypowiedział to ostatnie słowo jak przekleństwo. - Próbowalaś mnie uwieść, przyznaj się! Zrobiłabyś wszystko dla swego ukochanego! Czyżbyś nawet była gotowa się sprzedać?

Krew w niej zawrzała. Zanim zdążyła się zastanowić, jej ręka sama wystrzeliła w górę i wymierzyła Morganowi siarczysty policzek.

Zareagował natychmiast. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że poczuła nacisk twardych mięśni jego nóg na swoich udach. Trzymał ją w bezlitosnym uścisku, a jego dłonie otoczyły jak kajdany delikatne przeguby jej rąk. Gdy przeszył ją gniewnym, palącym spojrzeniem, poczuła, że blednie.

- Na twoim miejscu - powiedział przez zaciśnięte zęby - następnym razem dobrze bym się zastanowił, czy się na coś

takiego odważyć. Bo - przysięgam ci, moja droga - że już nigdy nie ujdzie ci to na sucho.

Elisabeth wyrwała mu rękę. Czuła duszący ucisk w piersiach.

- Niech cię diabli! - wybuchnęła. - Nathaniel jest twoim bratem. Jesteś mu coś winien!

- Już nie - odparł z kamienną twarzą. - Już nie.

- W takim razie nie masz serca - wyrzuciła z siebie całe swoje oburzenie. - Gdybym to ja miała rodzeństwo, nic nie mogłoby zerwać łączących nas więzi. Zrobiłabym wszystko, żeby pomóc swemu bratu czy siostrze. A ty najchętniej byś się go pozbył. Jak możesz nienawidzić własnego brata? Płynię w was wszakże ta sama krew! Jak możesz?

Czekała na odpowiedź w strasznym napięciu, a gdy zrozumiała, że jej nie otrzyma, wydała zduszony okrzyk i wybiegła z gabinetu.

Morgan pozostał na swoim miejscu. Choć jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, jakaś niewidzialna ręka ścisnęła go za serce.

*Nie nienawidzą Nathaniela* - szeptało jego serce. - *Przecież to mój brat. Mój brat.*

Poczuł się tak, jakby ostry miecz rozplątał mu pierś. W tych dwóch słowach zawierał się cały jego ból i wszystkie niezabliźnione rany.

Przygarbił się i w geście rezygnacji przesunął dłonią po twarzy.

Nie - pomyślał.

Nie żywił nienawiści do swego brata. On go kochał. Mimo całej tej ohydy, jaka splamiła ich przeszłość, kochał go nadal.

I to właśnie było najstraszniejsze.

## Rozdział dwudziesty

Był jeszcze inny człowiek w Bostonie, któremu Nathaniel zupełnie nie przypadł do gustu.

Tyle, że człowiek ów knuł wobec Nata podłe, wręcz mordercze zamiary.

Nazywał się Jonah Moreland. Przybył z Nowego Jorku do Bostonu przed kilkoma tygodniami. Podczas swego krótkiego pobytu w Ameryce doszedł do wniosku, że Jankesi to najbardziej nieokrzesana i zuchwała banda, jaką ziemia kiedykolwiek nosiła.

A ten, którego tropił, nie należał do ludzi szczególnie bystrych.

Jonah nie lubił jednak działać szybko i pochopnie. Za bardzo kochał swój zawód. Wolał powolne dochodzenie do celu, ferwor pościgu, wojnę intelektu i nerwów. To właśnie dawało mu zapał do pracy. Szczycił się przy tym swym sprytem i uczciwością.

Tak, Nathaniel O'Connor otrzyma szansę, by spłacić swe stare długi.

A jeśli Jonah okaże niebywałą wspaniałośćomyślność, stworzy mu nawet dwie takie okazje.

Ale nie więcej.

Pracodawcą Jonaha był tym razem wicehrabia Philip Hadley. Przedtem załatwiali wspólnie interesy. I trzeba przyznać, że tylko wyjątkowy śmiałek - lub głupiec - odważyłby się oszukać wicehrabiego.

Na tym polegał pierwszy błąd Nathaniela O'Connora, który w dodatku nie starał się zwrócić tego, co ukradł.

A już najbardziej pomylił się sądząc, że uniknie kary.

Jonah nieprzypadkowo wybrał sobie kwatery. Właśnie tutaj - w Crow's Nest - biesiadował często jego przeciwnik. Nawet teraz siedział w rogu, obejmując ramieniem prostytutkę, z którą spędzał wieczór i pił whisky jak wodę.

Przymrużywszy wyblakłe oczy, Moreland potarł bliznę na policzku. O'Connor sądził bez wątpienia, że wykazał się niezwykłym sprytem uciekając z Londynu przed kilkoma miesiącami. Jonah natomiast uważał tego drania za skończonego idiotę.

Jakże łatwo można było przewidzieć każdy jego krok.

Jonah zerknął na kieszonkowy zegarek. Zgodnie z wszelkimi przewidywaniami zbliżał się moment, w którym Nathaniel wyjdzie z gospody, a następnie ruszy do domu, gdzie będzie musiał odespać ten wieczór. Następnego dnia, późnym popołudniem, znów wyruszy do miasta, by - jak zwykle - wpaść w szpony hazardu i alkoholu. Towarzyszyć mu będzie elegancko ubrana ładaczka. Zdawać by się mogło, że zainteresowania O'Connora streszczały się do kart, dziwek i mocnych trunków.

O'Connor podniósł się chwiejnie z ławy, pożegnał swą przyjaciółkę i potoczył się do drzwi.

Moreland przełknął resztki wina, starannie otarł usta serwetką, po czym zatrzasnął kopertę zegarka. Podążył kilka kroków za O'Connorem, który wyszedł z gospody i ruszył w noc.

Nathaniel nie zauważył nawet, że ktoś go śledzi.

Moreland zdradził swoją obecność dopiero wówczas, gdy O'Connor stanął pod domem. Z szybkością, która stanowiła jego znak firmowy, chwycił młodzieńca za kark i pociągnął w ciemny zaułek między domami.

Do gardła przyłożył mu swe ulubione, ostre, lśniące narzędzie.

- Muszę przyznać, O'Connor, że pościg za tobą dostarczył mi wielu przyjemnych wrażeń - rzekł z uśmiechem.

- Kim jesteś? - spytał Nathaniel zduszonym głosem.

- Powiedzmy, że posłańcem wicehrabiego Hadleya. Wiedziałeś, że on zupełnie nie toleruje złodziei? Zważywszy okoliczności, nie sądzę, i wobec tego muszę cię ostrzec. Pan Hadley okazał się na tyle wspaniałomyślny, że pożyczył ci znaczną sumę. Ba! Nawet połowę swego majątku. Ale jak pewnie możesz sobie

wyobrazić, bardzo się zmartwił, kiedy wyjechałeś z Londynu nie zwróciwszy mu ani centa.

Odsunął nóż na tyle, by O'Connor mógł się odwrócić, lecz wymierzył natychmiast śmiertelne ostrze prosto w serce ofiary. Nathaniel przełknął ślinę i wbił wzrok w cienką, białą bliznę przecinającą policzek Morelanda od ucha do kącika ust.

- Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, dlaczego tu jestem. Wicehrabia nie lubi nie załatwionych spraw - dodał z niebezpiecznym uśmiechem.

- Czego chcesz? - wychrypiął Nathaniel

- Jedynie tego, co się należy wicehrabiemu. Niczego poza tym.

- Kiedy? Będę potrzebował czasu, żeby...

- Daję ci trzy dni - odparł zimno John. - Odbiorę pieniądze w gospodzie, z której właśnie wyszedłeś. Jasne?

O'Connor tylko skinął głową. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- To dobrze. - Moreland przejechał palcami po ostrzu sztyletu. - A teraz znikaj, dopóki nie zmienię zdania.

Nathaniel obrócił się na pięcie i pognał natychmiast do domu.

Jonah otrząpał marynarkę, po czym ruszył w swoją stronę z uśmiechem na ustach.

Elisabeth cierpiała.

Jej małżeństwo nie opierało się nigdy na solidnych podstawach, ale teraz nawet te kruche fundamenty ulegały rozpadowi. Ona i Morgan stali się sobie obcy. Mimo że chciała puścić w niepamięć ich kłótnię, zupełnie się to nie udawało. Przy kilku okazjach próbowała nawiązać z mężem rozmowę, ale on zachowywał chłodny dystans i rezerwę. Widać było, że nie ma ochoty się odzywać, co doprowadzało Elisabeth do szału. Nie mogła zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku, podczas gdy walił się jej świat.

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej, gdy opóźniła się jej miesięczna przypadłość.

Dobry Boże! Przecież nie mogła mieć dziecka! Nie teraz!

W głowie huczały jej wciąż słowa Stephena. *I tak do tego dojdzie prędzej czy później. Raczej prędzej niż później.*

Oscylowała między ciekawością i rozpaczą. Dziecko... dziecko Morgana. Jakie ono będzie? Chłopiec czy dziewczynka?

dziewczynka - zdecydowała marząco. Tak bardzo by kochała swoją maleńką córeczkę.

. A co z Morganem? Czy powinna mu powiedzieć? Nie, nawet Jeszcze nie zyskała pewności. I pora była zupełnie nieodpowiednia. I co się stanie, jeśli ten właściwy moment nigdy nie nadejdzie?

Zbliżał się dzień przyjęcia u Porterów, którego Elisabeth bardzo się obawiała. Jak się okazało - nie bez powodu.

W powozie panowała cisza, jak w grobie. Elisabeth włożyła naszyjnik z pereł w nadziei, że ten wybór, a przede wszystkim jej wygląd, zyskają uznanie Morgana.

Łudziła się nadaremnie.

Wkrótce po powitaniu z gospodarzami zostali rozdzieleni. Morgan siedział daleko na końcu stołu, Elisabeth wskazano honorowe Bejsce obok gospodyni. Podczas posiłku O'Connor nie zaszczycił małżonki choćby jednym słowem czy spojrzeniem.

Po kolacji, w salonie, rozbrzmiała muzyka. Elisabeth uśmiechała się i gawędziła dopóki nie poczuła, że ma kompletny zamęt w głowie. Powiodła wzrokiem po pokoju - od dłuższego czasu nie widziała swojego męża.

Najpierw jednak dostrzegła tę piękną kobietę, ubraną - jak wówczas - w czerwoną suknię.

To była ona. Kobieta z opery. Kochanka Morgana.

Wówczas ktoś zbliżył się do niej. Elisabeth udało się dojrzeć, kim jest rozmówca nieznamomej.

Był to Morgan. Świat zawirował jej przed oczami. Nie siedziała, jakim cudem nie straciła równowagi.

Gdy znów popatrzyła w tamtym kierunku, oni rozmawiali nadal. Kobieta uniosła głowę, jej pełne wargi znalazły się niebezpiecznie blisko ust Morgana. Położyła mu rękę na ramieniu.

Poczuła tak ogromną rozpacz, że omal nie krzyknęła.

Czyżby znów popchnęła swego męża w ramiona kochanki?

*Przestań* - nakazywał jej jakiś wewnętrzny głos. Morgan spędzał ostatnio wszystkie noce w domu. W sąsiedniej sypialni.

*A jak będzie dziś?*

- Mizernie wyglądasz. Źle się czujesz?

Elisabeth o mało nie wyskoczyła ze skóry. Ale to był tylko Stephen.

— Nie - odparła, nienawidząc się w duchu za drżenie w głosie.

Nie mogła tu zostać. Nie mogła na nich patrzeć. Bała się, że za chwilę wybuchnie rozpaczliwym, niepowstrzymanym płaczem.

- Chociaż rzeczywiście boli mnie głowa. Nie jestem w szczególnie towarzyskim nastroju, więc chyba lepiej już pójść. - Spróbowała się uśmiechnąć, ale na darmo. - Może kazałbyś podstawić mi powóz?

- Oczywiście - odparł i zaczął wypatrywać kogoś w tłumie.

- Powiem Morganowi, że chcesz wyjść.

- Nie - zaprotestowała szybko. - Po co mamy psuć mu wieczór? Willis zabierze mnie do domu, a potem wróci i zaczeka na Morgana.

Stephen zmarszczył brwi.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

- Tak... oczywiście.

- Może jednak będę ci towarzyszył...

- Nie, Stephenie. To naprawdę nie jest konieczne. Po prostu muszę się położyć. Wszystko będzie dobrze. Proszę cię tylko, byś sprowadził mi powóz. Powiedz Morganowi, że to jedynie lekka niedyspozycja.

Pół godziny później była już w sypialni na górze. Kiedy Annie zdjęła z niej suknię, odprawiła ją natychmiast. Ponad wszystko pragnęła być sama. Przebierała się w koszulę nocną i szlafrok tak wolno, jakby każdy ruch sprawiał jej ból.

Usiadła przed toaletką i rozwinęła kok. Czy on w ogóle zamierza wrócić do domu? Ból w piersiach dokuczał jej nieznośnie. Kochanka Morgana - nawet nie znała jej imienia - była taka piękna. Przypominała kolorowy, pachnący kwiat w pełnym rozkwicie. Nic dziwnego, że Morgan uważał ją za kobietę fascynującą, podniecającą, czarującą i oszałamiającą. A jego żona była po prostu uprzykrzoną złością.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej szmaragdowe oczy odwzajemniły spojrzenie. Włosy opadły jej na ramiona, cerę miała popielatą. Marszcząc czoło, wzięła do ręki szczotkę i przejechała nią niedbale po splątanych włosach. Wtedy dopiero zauważyła, że zapomniiała zdjąć perły. Jej palce poruszały się niezręcznie, ale jakimś cudem odpięła naszyjnik i położyła go na toalecie. Postanowiła, że odłoży perły do szkatułki dopiero nazajutrz - na razie była zbyt zmęczona.

Wtedy usłyszała jakiś odgłos przy drzwiach. Pukanie? Prze-



krzywiąc na bok głowę poczęła nasłuchiwać. To nie był Morgan. On by nie pukał. Ale odgłos powtórzył się - ktoś stał na progu i dobijał się do sypialni,

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Nathaniel.

Elisabeth wydała cichy okrzyk i otuliła się szlafrokiem.

- Nathaniel! - wykrzyknęła. - Co ty tu robisz? Nie wolno ci tu być!

- Musiałem się z tobą zobaczyć - powiedział nerwowo i natarczywie. - Kiedy zobaczyłem, że Morgan nie wrócił z tobą do domu, wiedziałem, że muszę z tego skorzystać i wsunąłem się przez kuchnię.

Potrząsnęła głową.

- Jeśli chodzi ci o posadę, to bardzo mi przykro. Rozmawiałam z Morganem, ale on odmówił.

Machnął ręką.

- Nie w tym rzecz.

Przeszedł ją lekki dreszcz niepokoju. Nathaniel miał przerywany kapelusz, wydawał się bardzo spieszyć.

- W takim razie z czym przychodzisz? Co się stało?

Zdjął kapelusz, zmiął go i zaczął przemierzać pokój.

- Potrzeba mi pieniędzy. Dużo pieniędzy. Nie mogę się zwrócić do Morgana, bo wiem, że mi odmówi. Muszę prosić ciebie.

Elisabeth zamieniła się w słup soli.

- Pieniądze? - powtórzyła. - Na co ci one, na Boga?

- Nie mam teraz czasu niczego tłumaczyć. Jutro ci wszystko powiem. Przysięgam; Musisz mi pomóc. Potrzeba mi tyle, ile tylko zdołam zdobyć.

Jej niepokój przerodził się w strach.

- Masz kłopoty, prawda?

Zaśmiała się krótko i ochryple.

- Tak, można to tak określić.

- Jakiego rodzaju?

Przeczesał palcami włosy.

- Nie marnujmy czasu. Wyjaśnię ci wszystko przy okazji następnego spotkania. Na razie daj mi tyle, ile możesz.

Wyczuwała nieomylnie, że ogarnęła go całkowita desperacja. Potrząsnęła bezradnie głową. 194

- Chyba nie potrafię ci pomóc. Mam konto w banku - nie wiem, ile tam jest - nigdy nie korzystałam z tych pieniędzy. Ale i tak trzeba by było zaczekać do poniedziałku.

- Chryste - jęknął. - Jeśli nie zdobędę gotówki, to...

- Zaczekaj - krzyknęła. - W gabinecie Morgana są pieniądze na dom. Nie wiem, czy dużo, ale...

- Ratuje mnie każda suma. Dosłownie każda.

Prawie pofrunęła na dół, do gabinetu męża. Spod porcelanowego wazonu wyjęła klucz. Natychmiast wyciągnęła szufladę i otworzyła małe, metalowe pudełko umieszczone na samym jej dnie, pod stertą papierów. Wyjęła zeń garść banknotów, zatrzasnęła wieczko i zamknęła biurko. Gdy chowała klucz z powrotem pod wazon, drżały jej ręce.

Wróciła do pokoju i zastała Nathaniela pod oknem. Bez słowa wręczyła mu pieniądze.

Wybuchnął śmiechem.

- Niech cię pan Bóg błogosławi - rozpromienił się. - Naprawdę jesteś aniołem. - Wziął od niej banknoty i wepchnął je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zwrócił ku niej twarz, po której przebiegł mu grymas... może żalu?

Elisabeth zerknęła na drzwi.

- Nathanielu - poprosiła - lepiej się pośpiesz. Morgan może w każdej chwili wrócić do domu.

Zalśniły mu oczy.

- Proszę o pocałunek - powiedział z tym samym wdziękiem, który tak ją oczarował w Londynie. - Pocałuj mnie ten jeden jedyny raz i już mnie nie ma.

- Nie! Nie wypada!

Zaśmiała się głośno, z całego serca.

- A czyja kiedykolwiek liczyłem się z zasadami? Daj spokój. Proszę tylko o jednego całusa. Nie wyjdę, dopóki się nie zgodzisz.

Elisabeth nie zdażyła zaprotestować, gdy Nathaniel wziął ją w ramiona i zamknął jej usta pocałunkiem.

To było bardzo dziwne, ale nie czuła nic - żadnego podniecenia ciepła, drżenia, tego wszystkiego, czego doświadczała przy Morganie. Zrozumiała, że czar prysnął. Pozwoliła, by pocałunek trwał nieco dłużej niż powinien, ale gdzieś w głębi duszy chciała się upewnić, czy na pewno fascynacja Nathanielem minęła.

I teraz już wiedziała.

Oderwała się od niego i zrobiła krok w tył.

- Nathanielu - ponagliła - musisz się pospieszyć.

Skinął głową i uniósł dłoń w pożegnalnym geście. Elisabeth patrzyła, jak znika w cieniu. Gdy już się upewniła, że wyszedł, wydała westchnienie ulgi. Gdyby Morgan wiedział, że jego brat tu był, dostałby szału.

A Morgan wiedział.

I rzeczywiście dostał szału, gdyż za koronkową firanką rysowały się wyraźnie dwie sylwetki - kobiety i mężczyzny - splecione w długim, namiętym uścisku.

Nie odrywał oczu od okna sypialni żony. W chwilę później za rogiem zaszeleściły krzaki, odezwały się kroki...

Nathaniel.

Morgan zacisnął pięści, ale nie pobiegł za bratem. Nie śmiał. Rozerwałby go na strzępy.

Gdy znalazł się w domu, ruszył od razu do biblioteki, podszedł do barku i sięgnął po smukłą karafkę, by nalać sobie pełen kieliszek koniaku. Ale nie pił. Zacisnął tylko szczęki. Patrzył na bursztynowy płyn tak jakby był to dar od samego diabła.

Już raz jego arystokratyczna małżonka doprowadziła go do podobnego stanu. Gardził później sobą za to, że upadł tak nisko. Przypomniawszy sobie ponuro, że jeśli się podda, nie będzie się niczym różnił od swego ojca i od Nathaniela.

Ale pokusa, by pogrążyć się w niepamięci, okazała się zbyt silna.

Uniósł kieliszek, a koniak spłynął mu do żołądka, pozostawiając ognisty ślad w przełyku.

Gdy opróżnił karafkę, myśli miał już wprawdzie przyćmione, a ruchy niezdarne, lecz gniew rozgorzał w nim jeszcze bardziej palącym płomieniem.

Poszedł na górę, do sypialni. Przez chwilę patrzył bezmyślnie na drzwi prowadzące do pokoju Elisabeth.

Zalała go fala goryczy. Przypomniawszy sobie, jak ona wyglądała tego ranka - naga, wtulona w jego ciało. Delikatny kark, gładkie, szczupłe ramiona. Była taka bezbronna. Uosobienie kobiecości. Ale nie. To nieprawda. Elisabeth wcale nie była bezbronna. Nie brakowało jej hartu ducha ani siły woli. Przypominała mu Amelię.

Rzucił surdut na łóżko i przeklął sam siebie za bezdenną głupotę. Już dwa razy został oszukany. Dwa razy. Najpierw zdradziła go Amelia, teraz - Elisabeth.

Czerwona mgła wściekłości odebrała mu zdolność widzenia. Wyobraził sobie znowu żonę w objęciach Nathaniela.

Naprzeciwko niego wisiał obraz, który mu dała. Zerwał go ze ściany i zrzucił na podłogę z taką siłą, że rama pękła na kawałki. Tak, jak serce Morgana.

Elisabeth zamarła. Jednym kolaniem klęczała już na łóżku, drugą nogą wciąż stała na miękkim dywanie. Mogła była przysiąc, że słyszała, jak coś spada na podłogę. Zwróciła głowę w stronę sypialni Morgana. Hałas doszedł ją stamtąd.

Nastąpiła cisza.

Przemknęła na palcach do wewnętrznych drzwi i nastawiła ucha.

Nadal nic.

Wstrzymując oddech, chwyciła za klamkę. Przekręciła ją wolno zbierając w sobie siły, o jakie by się nigdy nie podejrzewała. Zajrzała do środka. Na podłodze leżał obraz, który ofiarowała swemu mężowi. Rama była połamana na kawałki.

Takie rzeczy nie dzieją się przez przypadek.

W jej piersiach pulsował ból. Poczuli się tak, jakby otrzymała cios w samo serce.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich Morgan. Elisabeth spojrzała na niego z przerażeniem.

Przyglądał się jej badawczo przekrwionymi, błyszczącymi oczyma. Stali bardzo blisko siebie. Poczuli bijący od niego silnie zapach alkoholu.

Był pijany. Człowiek, który nigdy nawet nie próbował mocnych trunków w jej towarzystwie, spił się jak bela.

Przestraszyła się.

Z okrzykiem na ustach chwyciła klamkę, by zamknąć mu drzwi przed nosem. Lecz on był szybszy. Uwięził ją w ramionach i przyciągnął do piersi. Usiłowała wyswobodzić się z jego uścisku, ale na nic się to nie zdało. Morgan zrobił trzy kroki w tył i znaleźli się znów w jego sypialni.

Zbyt oniemiała, by się poruszyć, a nawet odetchnąć, Elisabeth popatrzyła mu prosto w twarz.

Miał straszny wyraz oczu. Nieomal uwierzyła, że to jednak on zabił Amelię.

- Morgan! - krzyknęła. - Co się stało? Dlaczego tak się zachowujesz?

Puścił ją, a potem okrzyknął. Wstrzymała oddech. Gdy namacał jej obojczyk, aż się wzdrygnęła. A jednak dotknął ją bardzo delikatnie, co dziwnie kontrastowało z jego jadowitym spojrzeniem.

Stali bardzo blisko siebie, ale dzieliła ich przepaść.

- Puść mnie - wyszeptała, z trudem wydobywając z siebie głos. - Jesteś pijany.

- To prawda. Rzeczywiście jestem. - Spróbował się uśmiechnąć. - Ale... czy nie chciałabyś mi przypadkiem czegoś powiedzieć?

Zbladła. On wiedział. Dobry Boże! Wiedział!

- Och nie... - szepnęła odrętwiałymi wargami. - Nie mów mi, że widziałeś...

Przestał się uśmiechać.

- Widziałem. Widziałem swoją - jakże cnotliwą - żonę w objęciach innego mężczyzny. A ten mężczyzna to mój brat.

Zaschło jej w ustach. Chciała oderwać od niego oczy, lecz nie mogła. Patrzył na nią przesywającym wzrokiem, tak, jakby chciał jej zajrzeć na samo dno duszy.

- Jednak jestem bardzo ciekawy. Gdybym go tu nie zobaczył, powiedziałabyś mi prawdę?

Skręcała się z przerażenia. Przełknęła ślinę. Nie była w stanie mówić.

- Zakazałem mu wyraźnie przychodzić do nas bez zaproszenia. Czyżbyś w takim razie zaprosiła go do swojej sypialni?

Wreszcie odzyskała mowę.

- Nie. - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Wcale nie jest tak, jak myślisz.

- W takim razie, jak mam to rozumieć? Sugerujesz, że już nie rozpoznaję pary kochanków w miłosnym uścisku?

- Przysięgam, że się mylisz. - Patrzyła na niego błagalnie. - To prawda. On tu był. Ale wcale się go nie spodziewałam. I oczywiście, nie zapraszałam go. On ma kłopoty. Potrzebował gotówki, więc dałam mu pieniądze przeznaczone na domowe wydatki.

- I co jeszcze mu dałaś? Co jeszcze?

Te słowa były jak uderzenie w twarz. Elisabeth zbladła, ale nie pozwoliła się zbić z tropu. Wszakże Morgan nie mógł polemizować z prawdą.

- Nie zamierzam kłamać. On mnie pocałował. Powiedział, że nie wyjdzie, jeśli będę się opierać. Ale dzięki temu przekonałam się, że już nic do niego nie czuję. Rozumiesz? Nic. Myślałam tylko o tobie!

Zacisnął mocno zęby. W oczach pojawił mu się nagle dziwny błysk.

- W takim razie udowodnij mi to, moja droga. Chodź tu i pokaż, że mówisz prawdę.

Kości zostały rzucone. Elisabeth zrozumiała, że nie ma wyboru. Wiedziała, że jeśli nie podejmie wyzwania, Morgan nigdy jej nie uwierzy.

Podeszła do niego wolno, na miękkich nogach, w obawie, że upadnie. Zwilżyła spierzchnięte wargi.

- Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz - szepnęła.

Nie odrywał od niej wzroku. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Pocałuj mnie. Nathaniel to mój brat, a bracia powinni się ze sobą wszystkim dzielić. Nawet żonami.

Elisabeth skurczyła się w środku. Czy on zawsze musi ją tak szokować? Na zmianę decyzji było jednak stanowczo za późno. Gdyby teraz się wycofała, Morgan nigdy by jej tego nie wybaczył.

Wybaczył... A to paradne! Morgan O'Connor należał do najbardziej zawziętych ludzi na świecie. Wciąż żywił pretensje do Nathaniela o coś, co miało miejsce już bardzo dawno temu. Elisabeth była o tym teraz przekonana bardziej niż kiedykolwiek.

- Czekam, Elisabeth.

Z drżeniem serca położyła mu ręce na ramionach. Wspięła się na palce i dotknęła ustami jego warg.

Zacisnął usta w linijkę i stał jak skamieniały. Wyczuwała napięcie jego mięśni - miał sztywne, drętwe ciało. Wzmógłszy wysiłki, pogłębiła pocałunek. W nieświadomej pieśszczocie położyła mu rękę na szyi i przesunęła językiem po jego wargach. Rozchylił lekko usta. Ich oddechy zmieszały się.

Gdy oderwała wargi od jego ust, wirowało jej w głowie.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Spotkali się, wzrokiem. Oczy Morgana lśniły niebezpiecznie - już nie z wściekłości, ale z pożądania. Straciła resztki odwagi.

- Rozbierz mnie - powiedział ochryplym głosem.

Serce stanęło jej w gardle. Ogarnęła ją pokusa, by odwrócić się na pięcie i uciec, choć myśl, że inicjatywa należy do niej, wydała się jej równie podniecająca.

Odpięła mu sprawnie guziki koszuli, choć trzęsa się ze strachu. Gdy zsunęła mu ją z ramion i rzuciła na podłogę, nawet się nie odezwał.

Przyszła kolej na spodnie. Elisabeth ukłękła przed Morganem. To zadanie okazało się trudniejsze, gdyż nawet przez rozporek cały czas wyczuwała napór wzwiedzonego członka na swoje palce. W końcu jednak osiągnęła cel - jedno pociągnięcie i spodnie Morgana opadły mu aż do kostek.

Chciał ją podnieść, ale pokręciła głową i klęczała nadal. Zwróciła tylko na niego nieśmiałe, pytające spojrzenie, a następnie obiegła palcami jego kościste biodra.

Zamarł z rękami na jej ramionach. Zdawać by się mogło, że cały świat na chwilę wstrzymał oddech.

Dotknęła delikatnie ustami wzwiedzonego członka, a jej język odkrył jego kształt. Morgan wbił palce we włosy dziewczyny.

- Boże - wyszeptał ledwie dosłyszalnie. - Boże!

Świadomość, że sprawiła mu przyjemność obudziła w niej jeszcze większe pożądanie. Zacisnęła mu ręce na biodrach, a on odrzucił głowę i wydał jęk rozkoszy.

Gdy już nie mógł dłużej wytrzymać, poderwał ją na nogi, rzucił na łóżko i zagłębił się w aksamitnej jaskini jej ciała. Przywarła do niego mocno z głośnym okrzykiem. Był to ognisty, burzliwy akt namiętności, pełen gorących szeptów i okrzyków ekstazy.

Jeden z wielu tej nocy.

Nie śnił.

Gdy otworzył oczy, Elisabeth leżała tuż przy nim - rozkosznie zwinięta w kłębek, cudownie ciepła i zupełnie naga. Choć czuł przenikliwy ból w skroniach i uporczywą suchość w ustach, uważał, że nigdy w życiu nie spędził tak niesamowitej nocy.

I tak pełnej bólu.

Wspomnienia zalały mu umysł wzburzoną falą.

*Nie będę kłamała. On mnie pocałował. Powiedział, że nie wyjdzie, jeśli będę się opierać. Ale dzięki temu przekonałam się, że już nic do niego nie czuję. Nic, rozumiesz? Myślałam tylko o tobie!*

Zacisnął zęby. Nie mógł tak łatwo zapomnieć tego, co widział na własne oczy. Mimo wszystko chciał wierzyć Elisabeth. Pragnął wierzyć w nią.

Ale nie śmiał.

Zupełnie tak, jak kiedyś. Amelia i Nathaniel.

Teraz Elisabeth i Nathaniel.

Żadna z nich - ani ona, ani Amelia - nie potrafiła się oprzeć Urokowi tego hultaja.

Z ręką pod głową wpatrywał się w buszujące po suficie promienie słońca. Straszne myśli przejmowały go cierpieniem. Zagryzł wargi, gdy przypomniał sobie jej wypchnięte do góry biodra. Jej słodkie usteczka mogły kłamać, ale ciało mówiło prawdę. Elisabeth odnalazła rozkosz w jego ramionach.

A w ramionach Nathaniela?

W co ten nicpoń się znowu wpakował? Elisabeth obawiała się, że to poważna sprawa. Całkiem możliwe. Nathaniel miał wyjątkowy talent do popadania w tarapaty. Albo łgał jak z nut. Może szukał tylko sposobu, by wzbudzić jej współczucie.

Elisabeth ocknęła się dopiero wtedy, gdy Morgan skończył się kapać i ubierać. W jasnoszarych spodniach wydał się jej tak przystojny, że oniemiała z wrażenia. Gdy skończył zapinać małą skórzaną szaszetkę, podniósł na nią wzrok.

Widząc pytające spojrzenie dziewczyny, przysiadł na brzegu łóżka, lecz jej nie dotknął.

- Wyjeżdżam w interesach do Nowego Jorku - wyjaśnił. - Nie będzie mnie kilka dni.

Elisabeth usiadła wolno na łóżku, przeczesując palcami splecione włosy. Morgan nie zachowywał się chłodno - raczej poważnie i z rezerwą.

- W dalszym ciągu się na mnie gniewasz? - spytała impulsywnie, zasłaniając kołdrą nagie piersi. Wydawało się jej, że całe wieki czeka na odpowiedź.

Spojrzał na nią chmurnie.

- Nie wiem. Wolę zachować ostrożność. - Nie spuszczał z niej wzroku. - Zastanawiam się czasem, komu ty tak naprawdę jesteś wierna. Mnie czy Nathanielowi?

Wstrzymała oddech. Morgan nie chciał jej zranić. Był tylko brutalnie szczery.

Położyła mu delikatnie rękę na dłoni spoczywającej na kołdrze.

- Rozumiem twoje wątpliwości. Ale jest tak, jak powiedziałam Natowi. Poślubiłam ciebie. Ciebie. I tobie będę wierna.

*Moje serce również* - pomyślała.

Popatrzył na nią tak, jakby chciał przeniknąć w głąb jej duszy. Elisabeth nie ugięła się pod tym spojrzeniem. W jej szeroko otwartych oczach malowało się zdecydowanie.

Nie odpowiedział. Uniósł dłoń dziewczyny. Ich palce splotły się. Kontrast był zadziwiający. Małeńka, alabastrowa rączka Elisabeth utonęła w dużej, smągłej dłoni Morgana.

Westchnął. Na usta wystąpił mu lekki uśmiech.

- Muszę iść - szepnęła. Musnął ustami jej dłoń i wstał.

Wyczuła, że nie chce się z nią rozstawać. Serce zabiło jej mocniej i podskoczyło z radości.

- Morgan! - zawołała, gdy już dochodził do drzwi. Odwrócił się.

Elisabeth wysunęła się z łóżka, okrywając nagość prześcieradłem. Podbiegła do niego z pałającymi policzkami i - przymknąwszy oczy - podała mu usta do pocałunku.

Przytulił ją mocno wolnym ramieniem. Ledwo dotknął ustami jej warg, a już pocałunek wymknął się im spod kontroli. Elisabeth wygięła ciało w łuk, a Morgan nie starał się nawet ukryć rosnącego pożądania.

Podniósłszy głowę, utkwiał wzrok w jej wilgotnych, kuszących ustach.

- Lepiej już pójdę - mruknął.

- Tak - szepnęła. - Idź - dodała z uśmiechem.

Zatrzepotałszy powiekami, otworzyła oczy, w których malował się prowokujący wyraz, po czym objęła go za szyję.

Prześcieradło osunęło się na podłogę.

Wydał głośny jęk. Porwał dziewczynę w ramiona i zaniósł do łóżka. Pożegnał ją ostatecznie dużo, dużo później.

.Nucąc, ruszyła z powrotem do swego pokoju. Annie stała na środku sypialni z rękami opartymi na biodrach, wpatrując się w łóżko swej chlebodawczyni ze zmieszonym wyrazem twarzy. W tym łóżku najwyraźniej nikt nie spał ubiegłej nocy.

Gdy Elisabeth odchrząknęła, Annie odwróciła się na pięcie. Rozszerzonymi oczyma popatrzyła na swą panią, po czym przeniosła wzrok na wewnętrzne drzwi i znów zerknęła na Elisabeth. Miała tak zdumioną minę, że Elisabeth parsknęła perlistym śmiechem.

- Witaj, Annie.

Pokojówka ocknęła się natychmiast.

- Dzień dobry pani. Co za cudowny poranek!

Reszta przedpołudnia minęła jej leniwie. Elisabeth rozkoszowała się kąpielą, wspominając wydarzenia ostatnich paru godzin.

Jej mąż nie był skory do komplementów. Szeptał jej jednak do ucha słowa pełne namietności i pożądania.

Nie mówił natomiast o swoich uczuciach.

Przystanąła przy biurku i położyła bezwiednie rękę na sercu, gdyż z niego właśnie czerpała nadzieję.

Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy budzi w Morganie wyłącznie żądzę. Gdy leżała w jego ramionach w słodkim bezruchu po szalonej burzy namiętności, niepotrzebne jej były żadne słowa. Nigdy nie doznała równie silnego poczucia bliskości i jedności. Czyżby odważyła się łudzić, że Morgan ją kocha?

Bała się zarówno w to wierzyć, jak i wątpić.

Z westchnieniem ocknęła się z zamyślenia. Popatrzywszy bezmyślnie na blat toaletki, spostrzegła, że szkatułka na biżuterię jest otwarta. Pudełeczko, w którym przechowywała perły, również. Wtedy przypomniała sobie, że zapomniała je tam schować.

Naszyjnik nie leżał na blacie. Zmarszczywszy brwi, wpatrywała się w skupieniu w miejsce, gdzie spodziewała się go zobaczyć. Mogłaby przysiąc, że położyła perły na toalecie, ale najwyraźniej się myliła.

Nigdzie ich jednak nie było.

Ogarnął ją niepokój. Zawołała Annie, po czym razem przeszukały wszystkie szuflady i zakamarki pokoju. Na darmo.

Gdy pokojówka odeszła do swoich zajęć, Elisabeth spróbowała odtworzyć w pamięci wydarzenia ubiegłego wieczoru. Wróciwszy od Porterów, natychmiast zrobiła toaletę. Szczotkując włosy zauważyła, że nie odpięła naszyjnika. Wtedy właśnie go zdjęła. Tuż przed przyjściem Nathaniela.

*Nathaniel.*

- Nie - szepnęła cicho. - Tylko nie to.

W głowie zaległo się jej straszliwe podejrzenie. Nathaniel przyszedł wszakże do niej po pieniądze... Nie chciała w to wierzyć, ale nie miała innego wyboru. Nat został w pokoju sam, gdy ona poszła do gabinetu Morgana.

*Nathanielu - myślała. - Jak mogłeś?*

Dziesięć minut później siedziała sztywno w powozie, zaciskając usta w linijkę. Wciąż miała nadzieję, że się myli i że Nathaniel nie ukradł jej pereł - nie dlatego, by nie wyrządzić jej krzywdy i nie dlatego, że naszyjnik był podarunkiem od Morgana, lecz ze względu na samego siebie.

Wysiadła z powozu, gdy tylko Willis zatrzymał go przed zaniedbanym budynkiem z czerwonej cegły. Stangret nie zdążył nawet jej pomóc. Skupiona na własnych myślach rzuciła zaled-

wie przelotne spojrzenie na szczupłego, wysokiego mężczyznę, wychodzącego właśnie zza domu. Nieznajomy miał na głowie brązowy melonik.

Skinęła na Willisa, by usiadł.

- Zaczekaj tutaj - poleciła. - Zaraz wracam.

Dumnie wyprostowana ruszyła do wejścia. Z każdym krokiem ogarniało ją coraz większe oburzenie. Uderzyła głośno kołatką o drewniane drzwi.

Nathaniel ich jednak nie otworzył.

W innych okolicznościach z pewnością dałaby za wygraną, zakładając, że go nie ma. Teraz jednak zaczęła dobijać się do domu. Jeśli Nathaniel odsypiał wczorajszą biesiadę, mógł jej nie słyszeć; była zdecydowana obudzić go. Takich spraw nie wolno pozostawiać własnemu biegowi.

W dalszym ciągu nikt nie odpowiadał. Elisabeth nie rezygnowała.

- Potrzebuje pani pomocy, milady?

- Dziękuję, Willis.

Odwrociła się do drzwi. W akcie rozpaczycy chwyciła za klamkę, która zupełnie niespodziewanie ustąpiła pod naciskiem jej dłoni...

A jednak. Ten łajdak był w domu. Elisabeth pchnęła drzwi i weszła do środka.

- Nathanielu! - krzyknęła. - Nathanielu! Wiem, że tu jesteś, więc równie dobrze możesz wyjść.

Powitała ją martwa cisza.

Jednak gdzieś z tyłu domu dochodził szmer. Zbyt przerażona, by się bać, Elisabeth ruszyła do salonu.

Stanęła w drzwiach przekrzywiając głowę z dezaprobatą. W pomieszczeniu panował mrok, bo zasłony były zaciągnięte. Przyzwyczajając przez chwilę oczy do ciemności, by stwierdzić, że Nathaniela nie ma w salonie. Ten leniwy łajdak leży pewnie w łóżku - pomyślała jadownicie. Gdy zdecydowała się poszukać go właśnie w sypialni, usłyszała jakiś cichy dźwięk, coś podobnego do jęku.

Wtedy dopiero ujrzała ciało rozciągnięte przed kominkiem. Nat O'Connor leżał twarzą do dołu, z głową odrzuconą na bok. Na podłodze widniała ogromna, czerwona plama.

Jęknęła z przerażenia. Boże! To była krew!

Natychmiast uklękła przy Nathanielu. Udało się jej przewrócić go na bok. Wtedy jęknął.

- Och, dzięki Bogu, że żyjesz - załkała sucho.

Przód koszuli ociekał krwią.

Zerwała się z podłogi, uniosła fałdy sukni i pomknęła do drzwi. Wybiegła jak szalona na ulicę. Przerażony stangret wytrzeszczył oczy na jej widok.

- Willis! - krzyknęła. - Chodź tu szybko!

## Rozdział dwudziesty drugi

Rany od noża - powiedział ponuro Stephen. - Niezbyt piękny widok.

Poczuła ucisk w żołądku. Stephen miał rację. To nie był piękny widok. Nathaniel otrzymał dwa pchnięcia: w lewe ramię i pod żebra.

Rozmawiali w gabinecie Stephena. Ranny leżał wyciągnięty na długim, wysokim stole. Willis jechał tutaj na złamanie karku, a Elisabeth wpadła do środka w takiej panice, że nie zdziwiłaby się wcale, gdyby gospodyni doktora uznała ją za wariatkę.

Stephen wrzucił resztki koszuli Nathaniela do kosza, w którym leżała już zwinięta w kulkę halka Elisabeth. Użyła jej, by pohamować groźny krwotok z ramienia. Stephen chwycił ją w szczypce i wyrzucił do śmieci. Z rany buchnęła szkarłatna, świeża krew. Klnąc pod nosem Stephen wytarł ją watą.

- Obie rany są głębokie - mruknął. - A szczególnie ta jedna. Muszę je zeszyć, bo on nigdy nie przestanie krwawić.

Elisabeth wpatrywała się w Nathaniela. Wyglądał strasznie. Był niemal tak blady, jak prześcieradło, na którym leżał. Nie ruszał się i ledwo oddychał.

- On w dalszym ciągu jest nieprzytomny. - Z trudem panowała nad ogarniającą ją histerią.

Stephen pochylił się nad pacjentem.

- To jeszcze nie powód do zmartwienia. Poza tym łatwiej mi

będzie zeszyć rany. - Wyprostował się. - Pomożesz mi? Jeśli nie, zawołam panią Hale.

Pani Hale pracowała u Stephena jako gospodyni i pielęgniarka, Elisabeth przełknęła dzielnie ślinę.

- Zostanę.

Umywszy ręce, podeszła do stołu, przygotowując się psychicznie na to, co miało nastąpić. Nawet nie mrugnęła powieką, biorąc do ręki tackę z narzędziami i z bandażami. Patrzyła spokojnie na zabiegi Stephena, który długo i mozolnie zakładał szwy.

Gdy w końcu rany zostały zamknięte, a poszarpane brzegi zeszyte, poczuła przypływ dumy. Wówczas Stephen zajął się bandażowaniem. I dopiero wtedy, gdy rozharatane ciało Nathaniela zniknęło pod zwojami gazy, dotarło do niej, co się właściwie stało. Żołądek dawał nieubłagane o sobie znać.

- No, gotowe. Dobra robota, Elisabeth. - Stephen odwrócił się od stołu, by stwierdzić, że jego asystentka kiepsko wygląda.

- Dobrze się czujesz?

Uśmiechnęła się słabo. Ledwo stała na nogach.

- Trochę dziwnie - szepnęła i zachwiała się. Stephen ze śmiechem odebrał od niej tacę, po czym natychmiast podsunął krzesło.

- Siadaj - nakazał. - Staraj się głęboko oddychać. Tak, właśnie w ten sposób.

Po kilku minutach słabość minęła. Elisabeth uniosła głowę.

- Lepiej? - spytał.

Przytaknęła.

- To dobrze. - Stephen ujął jej przegub, by sprawdzić puls.

- Wracają ci rumieńce.

- Stephen, naprawdę nic mi nie dolega - zaprotestowała.

- To ja jestem lekarzem - zganił ją dobrodusznie.

- Ale ja czuję się głupio, gdy tak się mną opiekujesz, podczas gdy biedny Nathaniel... - Urwała. Oczy zasnuła jej nagle ciemna chmura niepokoju. - Czy on wyzdrowieje?

Stephen uściśnął pokrzepiająco ramię dziewczyny.

- Chyba tak, ale najlepiej by było zabrać go do szpitala.

Elisabeth zagryzła wargę.

- Czy to konieczne? Nie mogę znieść myśli, że będzie leżał tam sam.

- Przez parę dni nie wolno mu nic robić. Musi tylko wypoczywać w spokoju.

- A można go stąd przenieść? - spytała, odzyskując zdolność myślenia.

- Tak. Oczywiście, bardzo ostrożnie.

- W takim razie Nat pojedzie ze mną. Mam całą armię służących do pomocy.

- Ja osobiście nie będę protestował. Mogę go doglądać zarówno u ciebie, jak i w szpitalu - powiedział z dziwnym wyrazem twarzy. Elisabeth odniosła wrażenie, że chciałby dodać coś jeszcze.

- Co takiego? O co chodzi? - spytała.

Zawahał się.

- Zastanawiałem się tylko, co by na to powiedział Morgan.

- Morgan pojechał na kilka dni do Nowego Yorku i nie możemy czekać na jego decyzje. Poza tym chyba nie bardzo mu wypada odmówić choremu bratu prawa do rekonwalescencji w dobrych warunkach. Przecież mamy dość miejsca. Nie widzę innego wyjścia. Nathaniel powinien pojechać ze mną.

Wydawała się nieugięta, ale tak naprawdę po prostu szarżowała. Bała się zastanawiać nad ewentualną reakcją Morgana. I tak jedno było pewne.

Wkrótce się dowie, co jej mąż o tym sądzi.

Wracaj *szybko*.

Od chwili, gdy wyjechał z Bostonu, Morgan o niczym innym nie marzył. Nie mógł zaprzeczyć, że Elisabeth bardzo go zaskoczyła tak czułym pożegnaniem. Od czasu do czasu wyobrażał sobie, że znów trzymają w ramionach. Pragnął aż do bólu rozpaść w niej pożądanie równie wielkie jak to, które stało się jego udziałem. Do końca jednak nie wierzył, że to się może udać.

Przez kilka dni Elisabeth zaprzętała mu wszystkie myśli. Zasnął i budził się ze wspomnieniem jej gorących pocałunków. Nie mógł doczekać się chwili, gdy znowu weźmie ją w objęcia.

Utożsamiała wszystko, czego może pragnąć mężczyzna. Czego on mógł pragnąć.

A ta namiętność, która rozpałała mu krew, stała się czymś więcej niż tylko zwykłym pożądaniem.

Myślał jednak o czymś jeszcze.



Nie mógł całkowicie zignorować wątpliwości, które czasem dawały o sobie znać. Trapiło go to, że Nathaniel ją pocałował. A ona mu na to pozwoliła.

*Nathaniel to drań i łobuz* - przypominał mu jakiś wewnętrzny głos.

*Ale ona pozwoliła się pocałować* - argumentował następny.

*/ nie musiała się do tego przyznawać* - bronił pierwszy - *Mogła zwalić całą winę na niego.*

Amelia zawsze utrzymywała, że jest niewinna.

Ale Elisabeth to nie Amelia - stwierdził w końcu. Należało w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Elisabeth miała silny charakter, była przy tym bezpośrednia i otwarta. To właśnie różniło ją od pierwszej żony Morgana.

Elisabeth pasowała do niego idealnie, czego nigdy nie dało się powiedzieć o Amelii. Wraz z tą konstatacją przyszło ciche zadowolenie, jakiego nie zaznał od lat. Po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że ma szansę być szczęśliwy.

Tylko ostatni głupiec odrzuciłby taki dar losu.

Dlatego właśnie wchodził do domu sprężystym krokiem i z lekkim sercem. Czuł się jak żeglarz, który po wielu miesiącach oczekiwania znów wypływa w rejs.

Postawił torbę na wypastowanej podłodze.

- Elisabeth? Simmons? - zawołał. - Wróciłem!

Odpowiedziało mu jedynie echo.

Skrzywił się. Nie takiego powitania oczekiwał.

W tej samej chwili stary kamerdyner wyszedł z biblioteki i podszedł żwawym krokiem do swego pana.

- Sir! Nie wiedziałem, że pan wrócił - powiedział, biorąc od niego torbę. - Czy mam pana rozpakować?

Morgan przytaknął obojętnie.

- Czy moja żona jest w domu?

- Tak. Opiekuje się panem Nathanielem.

Z jedną nogą na schodach Morgan odwrócił się gwałtownie.

- Słucham? - spytał, patrząc na niego z niedowierzaniem.

Simmons wskazał na sufit, nieświadom stanu ducha swego chlebodawcy.

- Tam, na górze, w pokoju gościnnym. Było tu trochę zamieszania, gdy pański brat został ranny, ale na szczęście panicz Nathaniel czuje się teraz znacznie lepiej.

Nathaniel ranny? Morgan zacisnął szczęki. Jeśli ten łobuz znów próbuje swoich sztuczek, niech Pan Bóg ma go w swojej opiece!

Pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Elisabeth była rzeczywiście w pokoju gościnnym.

Objął całą tę scenę jednym rzutem oka.

Jego żona siedziała na skraju łóżka, częściowo przysłaniając swym ciałem na wpół rozebranego Nathaniela. Jej smukłe palce dotykały delikatnie czoła chorego.

- Co on tu, u diabła, robi?

Elisabeth zerwała się na równe nogi i natychmiast wybiegła mu naprzeciw. Zacisnąwszy gniewnie usta, usiłowała wypchnąć go na korytarz.

Ale Morgan ani drgnął.

- Więc? - zapytał.

- Ciszej! Wreszcie zasnął. Nie chcę, żebyś go obudził - mówiła gorącym szeptem.

Morgan popatrzył na Nathaniela. Dopiero wtedy zauważył bandaże na jego piersi.

- Co się stało? - spytał z naciskiem.

- Został ranny w ramię i w bok. Nie wiemy, kto i dlaczego go zaatakował. Powiadomiliśmy policję, ale oni twierdzą, że jeśli Nathaniel nie widział napastnika, nie mają szansy go znaleźć.

- Kiedy to się stało?

- W dzień po twoim wyjeździe.

- Gdzie? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem na pewno. Ale znalazłam go w domu.

- Ty go znalazłaś?

Odwróciła wstydliwie wzrok. Wygadała się - pomyślał z wściekłością.

- Tak - przyznała.

- A co tam robiłaś? - spytał z kamiennym spokojem.

Splotła palce, pochyliła głowę i nic nie odpowiedziała.

- Wyrzuty sumienia? Rozumiem, że masz powody do zażenowania.

Natychmiast wyprostowała dumnie plecy. Jej oczy ciskały błyskawice.

- Wcale się nie wstydę! - wypaliła. - Nie zrobiłam nic złego. Zdaje się, że cię to nie interesuje, ale najprawdopodobniej ocaliłam mu życie.

- Bardzo chwalebne. Zdradzając męża, ratujesz kochanka.  
- Na miłość boską! Nathaniel nie jest moim kochankiem.

A ja ciebie nie zdradziłam.

- W takim razie co robiłaś w jego domu?

- Nie mogę ci powiedzieć. W każdym razie nie teraz. Jeśli zdobędziesz się na odrobinę cierpliwości, to...

- Zdobyłem się na więcej niż odrobinę. I nie oszukuj mnie.

To nie jest tak, że nie możesz mi powiedzieć. Ty po prostu nie chcesz.

- Zgoda - oświadczyła chłodno. - Nie chcę, bo twoje zarzuty są wręcz absurdalne. A teraz wybac, muszę wracać do Nathaniela - oświadczyła i odwróciła się do niego plecami.

- A gdybym ja tam leżał - krzyknął za nią - to co byś robiła? Kopałabyś mi grób?

W gabinecie chwycił butelkę koniaku. Wiedział, że nie powinien pić, ale nie potrafił sobie odmówić tego jednego kieliszka. A potem następnego. Gotował się w środku. Był wściekły, że Elisabeth umieściła Nathaniela pod jego dachem. Ale oczywiście pragnęła mieć ukochanego przy sobie!

W głębi serca był przerażony własną reakcją. Przecież zdawał sobie sprawę, że Elisabeth nie miała wyboru. A jednak nie potrafił pokonać ślepej, irracjonalnej wściekłości, która zalewała go jak rozszalałe morze.

Od początku wiedział, że ta dziewczyna o niego nie dba. Poślubiła go, bo nie miała po prostu innego wyjścia. Mimo wszystko czuł się głęboko urażony. Dlaczego musi zawsze odkładać na bok swe uczucia? Dlaczego Nathaniel musi być ważniejszy?

Ogromny, przenikliwy ból ścisnął mu serce. Jego matka zawsze myślała przede wszystkim o Nathanielu. Zawsze...

A teraz Elisabeth zachowywała się bardzo podobnie.

Pograżył się w zadumie. Chryste, przecież on ją kochał. I właśnie zaczynał myśleć, że ona czuje to samo.

Wykrzywił usta. Miłość - pomyślał pogardliwie. Raczej pchnięcie nożem. Tyle bowiem znaczy miłość kobiety.

Nie pozwoli się znów tak zniewolić.

Stracił poczucie czasu. Ręka, w której trzymał kieliszek zawisła bezwładnie na oparciu krzesła. Był tylko częściowo świadom domowej krzątaniny. Nagle doleciały do niego ciche odgłosy rozmów.

Nie odwrócił się, gdy skrzypnęły drzwi.

- Nie życzę sobie, by ktokolwiek mi przeszkadzał, Simmons. Myślałem, że wyrażam się jasno.

- Być może dla Simmons - odparł sucho czyjś męski głos.  
- Ale nie dla mnie.

To był Stephen. Morgan odwrócił się do przyjaciela, który patrzył na niego z dezaprobatą. Nie musiał się nawet specjalnie wysilać, by odczytać myśli doktora.

- Muszę przyznać, że tym razem przeszedłeś samego siebie. Morgan zacisnął usta.

- Nie wtrącaj się.

- Właśnie, że będę się wtrącał. Kiedy przyszedłem zbadać Nathaniela, Elisabeth płakała. Nie trzeba mieć szczególnych zdolności do dedukcji, żeby wiedzieć dlaczego.

O'Connor patrzył na niego w milczeniu.

- Jeśli nie chcesz rozmawiać o Elisabeth, w porządku. Pogadajmy o tobie. Wróciłeś z Nowego Jorku dziś po południu, prawda?

- Tak.

- I jak zareagowałeś na to, co się wydarzyło?

Morgan łypnął na niego ponuro.

- To ty jesteś intelektualistą. Sam się domyśl.

Stephen patrzył na niego przez chwilę.

- Byłeś zły. No, jasne. Mój Boże! Człowieku! Przecież to twój brat! Powinieneś się cieszyć, że ona znalazła go w porę.

Morgan zerwał się z krzesła i począł przemierzać pokój jak dzikie zwierzę schwytane w klatkę.

- Właśnie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ona go znalazła! Ledwo zamknęły się za mną drzwi, pobiegła na spotkanie z moim bratem! Pytałeś ją chociaż, dlaczego?

- A przyszło ci do głowy, że miała jakiś całkiem niewinny powód, by się z nim zobaczyć?

Morgan stanął w miejscu i spojrzał na przyjaciela.

- Niewinny? - zapytał. - Chyba już zapomniawszy, że ona przyjechała do Bostonu, żeby poślubić Nathaniela, a nie mnie.

## Rozdział dwudziesty trzeci

- Ale w końcu stało się inaczej. Elisabeth ma po prostu miękkie serce i...

- Czuję miętę do mojego braciszka? Boże, czy ty naprawdę nie rozumiesz, co ja przeżywam? Wszystko wróciło jak bumerang.

- Nie sędzę. Myślę, że Elisabeth widzi Nathaniela takim, jakim on w istocie jest. Ani go nie potępia, ani nie osądza.

Morgan nie sprzeciwiał się, choć z jego miny wynikało wyraźnie, że miałby ochotę zaprotestować.

- On wyzdrowieje, prawda? - spytał nagle.

Jego szorstki ton nie maskował troski.

- To dziwne - odparł Stephen - ale odnoszę wrażenie, że ten, kto zadał mu te dwa pchnięcia nożem, wcale nie chciał go zabić. Może pomyślisz, że zwariowałem, ale wydaje mi się, że to było tylko ostrzeżenie.

- Wcale tak nie pomyślę. Znając Nathaniela sędzę, że wszystko jest możliwe - mówił Morgan. - Długi hazardowe. Oszustwo przy kartach. Uwiedzenie czyjejs żony.

Oczy pociemniały mu gwałtownie.

- Jest głupia, jeśli wierzy, że on się kiedykolwiek zmieni.

Stephen uśmiechnął się słabo i poklepał przyjaciela po ramieniu.

Tak, w tym domu mieszkał głupiec. Ale nie była nim Elisabeth.

Rekonwalescencja Nathaniela przebiegała bez komplikacji. Elisabeth doznała ogromnej ulgi. Smuciły ją jednak bardzo stosunki panujące między braćmi. W skrytości ducha marzyła o tym, że choroba Nata jakoś ich do siebie zbliży. Morgan jednak był tak nieprzejednany, jak nigdy. Z tego co wiedziała ani razu nie poszedł nawet sprawdzić, jak miewa się jego brat.

Dopiero Stephen powiedział jej, że Morgan codziennie pyta o Nathaniela, co dało jej wiele do myślenia.

Kiedyś była pewna, że Morgan nienawidzi swego brata, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości. Bo skoro by o niego nie dbał, po cóż by miał się nim interesować?

Ze słów Stephena wynikało, że się o niego troszczył. Więż rodzinna - choć mocno nadszarpnięta - istniała nadal. Wreszcie zaczynała w to wierzyć. Dlaczego jednak Morgan tak skrzętnie ukrywał swoje uczucia? Co ich tak rozdzieliło? Dlaczego byli zawsze gotowi skoczyć sobie do gardeł?

Nathaniel był słaby, ale nie zły. Dlaczego więc Morgan nie potrafił go zaakceptować, zdobyć się wobec niego na nieco więcej tolerancji?

Minęło kilka długich dni, zanim chory poczuł się na tyle dobrze, by mówić. A Elisabeth chciała zadać wiele pytań swemu szwagrowi.

I była zdecydowana zażądać wyjaśnień.

Gdy pewnego popołudnia weszła do pokoju, Nathaniel kończył właśnie lunch. Oparty o poduszki siedział na łóżku, a na jej widok podniósł głowę.

- Oho - rzekł, patrząc na nią kpiąco, kiedy przysunęła sobie krzesło - to mi wygląda poważnie.

Elisabeth nie odwzajemniła uśmiechu.

- Tak, w istocie myślę, że dwie rany cięte to poważna sprawa. Powiedziałabym nawet, że należałoby o tym porozmawiać.

Westchnął.

- Nie widziałem napastnika. Powiedziałem to wczoraj policjantom. - Wzruszył ramionami. - Zaatakował mnie z tyłu.

- Wiem. Ale o wiele bardziej interesuje mnie to wszystko, z czego się im nie zwierzyłeś.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się.

- Nie jestem głupia. Przyszedłeś prosić mnie o pieniądze. Mówiłeś, że masz kłopoty. A następnego dnia ktoś pchnął cię nożem. To nie przypadek, więc nie próbuj mi nawet tego wmówić.

Wszystko wskazywało na to, że tak właśnie zamierzał postąpić. Na jego twarzy pojawił się wyraz urażonej niewinności, a aktorem był świetnym. Nagle przygarbił się i spuścił głowę.

- Sądzę, że należą ci się wyjaśnienia - szepnął.

- Chcę znać prawdę - odparła, patrząc na niego ostro.

Przeczesał palcami włosy.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedział.

Zaciśnięte usta dziewczyny mówiły wyraźnie, że nie zamierza ustąpić.

- Pamiętasz, że wyjechałem nagle z Londynu?

- No oczywiście. Mówiłeś, że musisz załatwić ważne interesy. Teraz wiem, że kłamałeś.

- Tak - przyznał. - Przez pierwsze tygodnie dopisywało mi nieprawdopodobne szczęście w kasynie. Nie przegrywałem. Wszystko, czego się tknąłem, zamieniało się w złoto, a ja chciałem coraz to więcej i więcej...

Nie odrywała wzroku od jego twarzy.

- Mów dalej.

Wziął głęboki oddech.

- Dowiedziałem się, że wicehrabia Philip Hadley byłby

skłonny pożyczyć mi pieniądze. Poprosiłem go zatem o dwadzieścia tysięcy funtów, w przekonaniu, że pomogą zbić mi fortunę.

- Jesteś chciwy - powiedziała łagodnie. Nie zaprzeczył.

- Los odwrócił się jednak ode mnie. Wszystko przegrałem. Wszystko, co do centa.

- Wszystko? - powtórzyła z przerażeniem.

- Jeden rzut kością i pieniądze przepadły. Przepadły! Więc pożyczyłem więcej.

- Od Hadleya?

- Tak. Słyszałem wprawdzie, że on potrafi być... powiedzmy... nieprzyjemny, ale nie miałem innego wyjścia.

- Ale znowu przegrałeś, prawda?

Przytaknął.

- Hadley zażądał gotówki. A ja byłem bez grosza. Pewnej nocy nasłał na mnie zbirów. Poturbowali mnie i zagrozili, że jeśli w ciągu tygodnia nie zwrócę pożyczki, to gorzko tego pożałuję. Wpadłem w rozpacz - ciągnął ponuro. - Nie wiedziałem, jak go spłacić.

Elisabeth wiedziała, co się stało dalej.

- I wtedy wyjechałeś?

- Żadne inne rozwiązanie nie przyszło mi do głowy. Nie chciałem go wystawić do wiatru, lecz musiałem ratować skórę. Nie sądziłem, że będzie mnie szukał za oceanem, musiałem jednak zyskać całkowitą pewność. Oni wiedzieli, że pochodzę z Bostonu...

- Więc pojechałeś do Nowego Jorku.

- Tak. Wreszcie uznałem, że nic mi już nie grozi i wróciłem do domu. Ale tamtej nocy ktoś mnie śledził.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka.

- Jeden z ludzi Hadleya?

Nathaniel zbladł jak ściana.

- Przystawił mi nóż do gardła, po czym oświadczył, że muszę zwrócić gotówkę w ciągu trzech dni. Miałem ją dostarczyć do gospody Crow's Nest.

Elisabeth oddychała ciężko.

- Wtedy przyszedłeś tutaj. Mówiłeś, że urządza cię jakakolwiek suma.

- Tak. Obiecałem mu, że postaram się jak najszybciej zdobyć resztę, ale i tak nie był zadowolony. Tego samego wieczoru czekał na mnie pod domem. Powiedział, że chce mi dać przedsmak tego, co mnie czeka, jeśli nie zwrócę długu w całości.

- Boże! - wyjąkała. - A potem cię zranił. - Urwała i zaczęła wyłamywać sobie palce. - Zaczekaj! Kiedy przyjechałam do ciebie rano, widziałam mężczyznę. Był wysoki, chudy, w brązowym meloniku na głowie.

- To on.

Czuła, że ma zamęt w głowie.

- Czy właśnie dlatego - spytała cicho - wzięłeś moje perły? Przytaknął i odwrócił wzrok.

- Miałem nadzieję, że się nie zorientujesz - przyznał.

- I co? Pomyślę, że je zgubiłam? Albo przełożyłam w inne miejsce?

Jego milczenie było wystarczająco wymowne.

- Przykro mi - powiedział - ale teraz ma je Hadley. - Zamilkł. - Czy Morgan wie, że je wzięłam? - zapytał nagle.

- Nie, ale powinieneś mu powiedzieć o Hadleyu.

- Nie chcę. Muszę to sam załatwić.

- Oszalałeś? Potrzebujesz jego pomocy. Jeśli z nim nie porozmawiasz, sama to zrobię.

- Nie. I nie życzę sobie policji.

- To absurd! Mówimy o twoim życiu.

- Właśnie - wtrącił ostro. - Chodzi o moje życie. I ja je muszę sobie ułożyć. Nie chcę, by Morgan zaglądał mi przez ramię.

Elisabeth popatrzyła na niego niepewnie.

- Nie rozumiesz, prawda? - spytał łagodnie.

- Chyba rozumiem. Albo przynajmniej tak mi się wydaje. - Potrząsnęła lekko głową. - Ale boję się o ciebie.

- Niepotrzebnie. Przez jakiś czas sam decydowałem o sobie - powiedział z ironicznym uśmiechem - i zrobiłem masę błędów. Ale gdzieś w tle zawsze był Morgan. Widocznie sam do tego doprowadziłem. - Mówił teraz bardziej do siebie niż do niej. - Miałaś rację twierdząc, że nie powinienem być się od niego uzależniać. Ale ja zawsze prosiłem go o pieniądze, kiedy mi były potrzebne. Wyciągał mnie z kłopotów. Tak było... najłatwiej. Nigdy nie lubiłem pracować. Zostawiłem to Morga-

nowi. On jest wyjątkowo przedsiębiorczy. A ja beztroski i lekomyślny. - Zerknął znacząco na swe zabandażowane ramię.

Poszukał jej wzroku.

- Proszę cię, nic mu nie mów. Muszę poradzić sobie sam. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, i tak mi się nie uda. Zawaliłem już tyle spraw.

- Nieprawda - zganiła go łagodnie. - Wcale nie jesteś nieudacznikiem.

Pokręcił głową.

- Ależ jestem - odparł z charakterystycznym, diabelskim uśmiechem. - Straszny ze mnie nicpoń. Łajdak. Rozpustnik.

- Wcale nie.

- Owszem, tak.

- W takim razie możesz się zmienić. Pomogę ci.

- Jestem doprawdy wzruszony - zakpił. - Żadna szanująca się kobieta nie zwróci na mnie uwagi. W Bostonie matki ukrywały przede mną swoje córki. - Westchnął przesadnie. - Chyba lepiej się stało, że nie wzięliśmy ślubu. I tak by ci się nie udało zrobić ze mnie człowieka. Doznałabyś srogiego zawodu. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że złamałbym ci serce.

Uśmiechnęła się, ale poczuła ukłucie w piersi. Przed oczyma mignęła jej ponura twarz Morgana. Gdy przyjechała do Bostonu, przeżywała głęboko zdradę Nathaniela. Nie mogłaby temu zaprzeczyć. Ale to było nic w porównaniu z cierpieniem, jakie zadał jej Morgan, który potrafił ją doprowadzić do skrajnej rozpaczki jednym tylko słowem lub spojrzeniem.

Zawisł nad nią jakiś cień. Nagle poczuła się samotna i popadła w melancholijny nastrój. Kiedyś sądziła, że jeśli się zakocha, będzie to błogi stan wiecznej szczęśliwości i radości. Zgodnie z jej oczekiwaniami miłość istotnie okazała się najpotężniejszym władcą serca i ciała.

Elisabeth nie przypuszczała jednakże, że to uczucie przyniesie jej tak niewyobrażalne męki.

*Głupia* - szeptał jakiś wewnętrzny głos.

*To nie miłość zadaje ci ból. Cierpisz, ponieważ kochasz bez wzajemności.*

- A więc - odezwał się Nathaniel, przywracając ją do rzeczywistości - czy możesz mi obiecać, że nie powiesz nic Morganowi? - Patrzył na nią błagalnie.

Wolno, niechętnie skinęła głową.

- Przyrzekam - wykrztusiła. - Mówiąc to modliła się w duchu, by dotrzymać obietnicy.

- Dobrze. A teraz, gdy już otworzyłem przed tobą duszę, chciałbym ci zadać jedno pytanie.

- Tak?

Na chwilę zapadła cisza. Patrzył na nią przenikliwie.

- Czy jesteś szczęśliwa?

Drgnęła. Nie spodziewała się takiego pytania.

Nie była na nie przygotowana.

Przestała się uśmiechać.

- Pytaj mnie o co chcesz, ale nie o to. Proszę.

Na jego twarzy pojawił się wyraz silnego wzburzenia.

- Niech go diabli wezmą! - wykrzyknął. - Cierpisz przez Morgana, prawda?

- Nie. Nie. Nie jest tak, jak myślisz. Po prostu... - Urwała. Nie była w stanie mówić. Pochyliła głowę, by ukryć łzy, jakie zaczęły się jej cisnąć do oczu.

Ale on się domyślił.

- Boże - szepnął. - Tylko mi nie mów, że go kochasz.

Samotna, gorąca łza spłynęła jej po policzku.

- Tak, ty go kochasz!

Zaczerpnęła głęboko powietrze.

- Przykro mi. Nie chciałam cię zranić.

Chwycił ją za rękę.

- Niech ci nie będzie przykro - powiedział z naciskiem. - Byłaś najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu, tylko że byłem za głupi, by to zrozumieć. Toteż tylko ja mam powody do rozpacz.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się smutno.

- Nathanielu...

- Przykro mi, że przerywam tę uroczą scenę - odezwał się Morgan, stając w drzwiach - ale chciałbym porozmawiać z moim bratem sam na sam.

Elisabeth zrobiła coś, czego absolutnie nie powinna była robić. Wyrwała lekliwie dłonie z uścisku Nathaniela i zerwała się na równe nogi. Co za przekłety pech! Dlaczego zawsze tak się dzieje?

Oniemiała ze zdumienia, gdy Morgan udał, że niczego nie zauważył.

- Pozwolisz, że porozmawiam z Natem?  
Był lodowato grzeczny.

- Oczywiście. - Zmieszana, zebrała fałdy sukni i skierowała się do drzwi. Nie ośmieliła się spojrzeć mu w twarz, w obawie przed tym, co mogłaby na niej zobaczyć.

Nathaniel oparł się o poduszki. Gdy krzyżował ręce na pierśsiach, skrzywił się lekko, ale zaraz zatuszował to uśmiechem.

- Przyszedłeś zapytać mnie o zdrowie, braciszku?

- Przynoszę ci dobre nowiny - odparł Morgan. - Stephen odwiedzi cię wprawdzie dopiero rano, ale uważa, że twój stan poprawił się na tyle, byś mógł od jutra rozpocząć normalne życie.

Nathaniel wybuchnął śmiechem.

- Chcesz się upewnić, że stąd zniknę!

- Ależ skąd. Możesz zostać, dopóki całkowicie nie wyzdrowiejesz.

- Daj spokój. - Nathaniel ironizował już całkiem otwarcie.

- Wiem, że nie należę do mile widzianych gości. Gdyby nie Elisabeth, w ogóle by mnie tu nie było.

Morgan uniknął repliki.

- Jeszcze jedno. - Popatrzył na brata lodowato. - Zdajesz się nie pamiętać, że Elisabeth jest moją żoną. Chciałbym, żebyś mnie zapewnił, że to się już nie powtórzy.

Nathaniel wysunął wojowniczo podbródek.

- O niczym nie zapominam.

- Nie? - spytał Morgan, unosząc brew. - Więc dlaczego ją wtedy pocałowałeś?

Nastąpiła długa cisza.

- Ona już mi to wybaczyła - powiedział w końcu Nathaniel.

- Poza tym byłem pijany.

- Zbyt często uciekasz się do tej wymówki.

- Nie masz prawa mi mówić, jak mam żyć - rzucił opryskliwie.

- Nie, ale gdybyś mnie słuchał, nie miałbyś teraz takich kłopotów.

Morgan zachowywał stoicki spokój, co jeszcze bardziej wyprowadzało Nathaniela z równowagi.

- Nie zmieniłeś się ani na jotę. Jesteś tak samo zasadniczy mało elastyczny jak dawniej. Jeśli nie postępuję tak, jak sobie

życzysz, zawsze uważasz, że popełniam błąd. Chciałbym wiedzieć, czy traktujesz podobnie swoją żonę.

Nie pozwolił mu odpowiedzieć.

- Czy w ogóle obchodzi cię to, że ją unieszczęśliwiasz?

Morgan znieruchomiał.

- Ona tak powiedziała?

- Elisabeth nie musi nic mówić. - Oczy Nathaniela ciskały błyskawice. - Wystarczy mi na nią popatrzeć.

Morgan wziął głęboki oddech i zeszywniał z wściekłości. Całą siłą woli powstrzymywał wybuch.

- Ostrzegam, że nie pozwolę ci zniszczyć mojego małżeństwa!

- Pewnie że nie - odparł Nathaniel pogardliwie. - Sam doskonale dasz sobie z tym radę.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Gdy następnego dnia rano Elisabeth wychodziła pośpiesznie z pokoju, było już bardzo późno. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Niezależnie od tego, jak długo spała, budziła się wyczerpana. Poprzedniego popołudnia ucięła sobie wprawdzie drzemkę, ale to nic nie zmieniło.

Poprzez wysokie witrażowe okna nad schodami wpadały zabłąkane promienie słońca. Ten piękny widok zapierał dech w piersiach. Cały hol tonął w czerwieni, różu i złocie - Elisabeth poczuła się nagle tak, jakby została wrzucona w środek tęczy.

Będąc w połowie drogi na dół wypatrzyła, że Morgan rozmawia z Simmonsem. Na widok swej chlebodawczyni stary lokaj odwrócił głowę, a jego pomarszczoną twarz rozjaśnił powitalny uśmiech. Potem zamienił jeszcze parę słów z Morganem i odszedł.

Morgan czekał na nią w holu.

- Dzień dobry - powiedziała, uśmiechając się niepewnie na powitanie.

Ale on nie odwzajemnił uśmiechu. Zaledwie kiwnął głową.

Elisabeth poświęcała ostatnio wiele czasu Nathanielowi, ale jej starania nie poszły na marne. Pacjent odzyskał siły i następnego dnia wybierał się do domu.

Dziewczyna miała nadzieję, że to położy kres napięciu, jakie ostatnio niepodzielnie panowało w jej domu. Stephen zwrócił

jej delikatnie uwagę na fakt, iż - być może - Morgan czuje się opuszczony, ponieważ rekonwalescencja Nathaniela pochłaniała całą uwagę Elisabeth.

Ona sama nigdy o tym nie pomyślała, lecz po rozmowie ze Stephenem doszła do wniosku, że to całkiem możliwe.

Tęskniła za atmosferą intymności, jaka towarzyszyła im w domku nad morzem. Wiedziała, że najprawdopodobniej nigdy nie dojdą do porozumienia w sprawie Nathaniela. By jednak nie zaostrzać sytuacji, postanowiła nie poruszać więcej tego tematu i zaczynać każdy dzień od nowa - bez złości i urazy.

Dlatego też zdobyła się na uroczy uśmiech i wzięła Morgana pod rękę.

- Zjesz ze mną śniadanie?

- Nie mogę. Od godziny powinienem być w stoczni.

Choć patrzył na nią tak, jakby jej dotyk był dla niego obraźliwy, nie cofnęła ręki.

- Ach tak - szepnęła. - Może w takim razie kolację?

- Prawdę mówiąc, zaprosiłem już na wieczór Wilsona Reeda, Justina Powella i Jamesa Bruebakera. Musimy dopiąć na ostami guzik naszą umowę. Pewnie będziesz się nudzić, ale możesz nam towarzyszyć przy posiłku.

Elisabeth zagryzła wargi: bankier, prawnik i James Bruebakker. Ostatnim razem, gdy trzech panowie gościli w ich domu, Morgan zrobił jej scenę zazdrości, a ona zachowała się jak ostatnia jędza. On powątpiewał w jej moralność, ona wypomniała mu kochankę.

Chodziło jednak o interesy. Przypomniała sobie ponadto, że nie towarzyszyła Morganowi przy posiłku od wypadku Nathaniela, który - z powodu rany w ramieniu - miał kłopoty z samodzielnym jedzeniem i wymagał pomocy. W uszach zadźwięczała jej znów uwaga Stephena.

*Być może czuł się zaniedbany.*

Gdyby więc odmówiła, mógłby sobie pomyśleć, że naprawdę woli Nathaniela.

Absolutnie nie chciała do tego dopuścić.

Popatrzyła mu w oczy.

- Na pewno tego chcesz?

- Wszystko mi jedno - odparł, wzruszając ramionami.

Trudno to było uznać za uprzejme zaproszenie.

- W takim razie zjem z wami - szepnęła, pominawszy urazę. Oczekiwała tego wieczoru z rosnącą nadzieją. Wspólna kolacja mogła przełamać lody. Po wyjściu gości zostaliby na chwilę sami. Wróciłoby dawne poczucie bliskości. Poprosiłaby Morgana, żeby odprowadził ją do pokoju, a gdyby wszystko przebiegło zgodnie z jej planem, wciągnęłaby go do środka i noc zrobiłaby swoje.

Pomyślała ze smutkiem, że bardzo tego pragnie. Nie chodziło jej wyłącznie o rozkosz cielesną, jakiej dzięki niemu zaznawała. Brak jej było tej cichej intymności po akcie. Chciała, by znów ją do siebie przytulił, marzyła, że znów budzi się w jego ramionach.

A Morgan nawet jej nie dotknął od czasu tej potwornej kłótni o Nathaniela. Czyżby naprawdę wyrzucił ją z serca i myśli? *Nie. Nie!* Nie wolno jej było poddawać się rozpacz. Wszystko się zmieni - postanowiła. Tego wieczoru wszystko się zmieni.

Ubrała się bardzo starannie. Włożyła ciemnoróżową suknię z głębokim dekoltem, a Annie upięła jej włosy wysoko, tak, by odsłaniały kark.

Właśnie perfumowała sobie szyję, gdy Morgan zapukał do wewnętrznych drzwi sypialni.

- Wejdz - zawołała w nadziei, że nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie.

Morgan wyglądał, jak zwykle, wspaniale. Bił od niego zapach mydła i brylantyny.

Elisabeth wstała od toaletki. Gdy otaksował ją wzrokiem, poczuła przyspieszone bicie serca.

- Jesteś piękna jak zawsze.

Zarumieniła się z radości.

- Ale czegoś mi tu brakuje. - Zmarszczył brwi. - Naszyjnik z pereł znakomicie by pasował do tej sukni.

Uśmiech zamarł jej na ustach.

- Zaczekam.

Elisabeth położyła sobie bezwiednie rękę na szyi. Brakowało jej słów, bo cóż właściwie mogła powiedzieć?

*Przykro mi, Morganie, ale Nathaniel ukradł perły, które ofiarowałeś mi w prezencie ślubnym.*

Skurczyła się ze strachu. Morgan nigdy by czegoś podobnego nie zrozumiał. Nie wybaczylby bratu takiego postępku.



Krew uderzyła jej do głowy. Nie zdawała sobie z tego sprawy, ale na twarzy miała dokładnie wypisane wszystkie uczucia.

Wskazał głową szkatułkę na biżuterię.

- Pomogę ci je włożyć.

Choć mówił spokojnie, w jego głosie dzwięczała wyraźnie jakaś nieprzyjemna nuta.

Patrzyła na niego oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

- Elisabeth! - Jej imię zadzwęczało nagle w ciszy, jak grzmot w środku nocy. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- To niemożliwe... - wyjąkała.

- Dlaczego? - Popatrzył na nią ostro. - Nie ma ich w szkatułce?

- Nie - szepnęła. - Nie mogła znieść wyrazu jego twarzy. On wie - myślała. - Jakoś się dowiedział.

Zacisnął usta w linijkę.

- Nosiałś je w zeszłym tygodniu. Gdzie są teraz?

- Nie wiem. - To przynajmniej nie było dalekie od prawdy.

- Chcesz mi powiedzieć, że je zgubiłaś?

- Tak. Tak! - Chwyliła się tego wykretu jak ostatniej deski ratunku. Teraz musiała tylko przekonać Morgana, że mówi prawdę..

- Kłamiesz - stwierdził bez ogródek. - A ja wyczuwam kłamstwo na milę. Pan Bóg nie szczędził mi doświadczeń w tej materii.

Elisabeth o mało się nie rozpłakała.

- Dobrze! - Krzyknęła. - Pamiętasz tę noc, kiedy Nathaniel przyszedł do mnie po pieniądze? Nie wiedziałam, co robić, więc dałam mu naszyjnik.

Wokół ust pojawiły mu się dwie głębokie bruzdy.

- Twierdziłaś, że wzięłaś wtedy pieniądze przeznaczone na dom.

- To prawda.

- A więc Nathaniel dostał od ciebie i pieniądze, i perły?

Nie spuszczał z niej wzroku. Skinęła głową.

- Powinnaś była zwrócić się do mnie. Skoro mój brat potrzebował pieniędzy, twoim obowiązkiem było mi o tym powiedzieć.

- Przecież bez przerwy skaczeć sobie do oczu! Próbowałam uniknąć kolejnej awantury, a nie wywoływać ją!

Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie.

- Zawsze uciekasz się do takich wykretów - powiedział z nieszczerym uśmiechem. - Ale przynajmniej wiem, czego mogę się po tobie spodziewać. - Zerknął na stojący na toalecie zegarek.

- Lepiej się pospieszmy - powiedział chłodno. - Goście czekają.

Zrozumiała, że ten wieczór jest skazany na klęskę.

Nie wiedziała, jak przetrwała tę kolację. Z trudem zmuszała się do uśmiechu; miała wrażenie, że jej twarz rozpadnie się na tysiące kawałków. Spytała o samopoczucie żony Justina, która była przeziębiona, a potem rozmawiała chwilę z Wilsonem Reedem.

Przez cały czas Morgan traktował ją jak powietrze.

Miała ochotę się rozpłakać. Jej mąż siedział przy drugim końcu stołu i całą uwagę skupił na pogawędce z Jamesem Bruebakerem. Nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu na niego nie spojrzeć, choć sprawiało jej to dotkliwy ból. Od wypadku Nathaniela Morgan ani razu się do niej nie uśmiechnął. Prawie na nią nie patrzył. W ogóle jej nie dotykał.

- Wypijemy koniak w bibliotece. Jestem pewien, że chętnie sobie odpoczniesz. ,

Wreszcie na nią spojrzął. Uniósł brwi w oczekiwaniu na jej odpowiedź. Elisabeth z trudem zapanowała nad łzami. Zauważył jej obecność przy stole tylko po to, by ją przepędzić.

Upuściła serwetkę na talerz.

- Oczywiście. W takim razie zostawię was, panowie - powiedziała nieswoim głosem. - Nie do końca zdawała sobie sprawę z ostrego spojrzenia Morgana.

Gorące łzy uwięzły jej pod powiekami, serce krwawiło. Jakimś cudem zdusiła w sobie szloch i wstała z myślą, że musi uciec z jadalni, zanim postawi zarówno siebie, jak i Morgana w niezręcznej sytuacji.

Ale coś było nie tak. Serce waliło jak młotem. Wokół unosiła się szara mgła. Stała jak wryta, bo ziemia zaczęła usuwać się jej spod nóg. Dźwięki i barwy zmieniały się jak w kalejdoskopie. **Jak** z oddali usłyszała, że ktoś wykrzykuje jej imię. Chyba Morgan - przemknęło jej przez myśl i poczuła nowy przypływ złości. Czy już nic, co ona robi, nie wzbudza jego aprobaty?

Potem widziała tylko nad sobą stroskane twarze... Mrugnęła powiekami, chcąc wyteńczyć wzrok i spróbowała się poruszyć, ale ręce miała jakby przywiązane do tułowia. Nie... to Morgan tulił ją do piersi. Czuła się tak bezpiecznie w jego ramionach. Uniosła dłoń, by wyczuć wyrzeźbione piękno jego twarzy.

Patrzył na nią jednak tak surowo, że to przeważało szale. Dłoń opadła jej bezwładnie na piersi. Wydała z siebie stłumiony szloch i odwróciła głowę. Czyjeś silne ręce podniosły ją z podłogi.

- Poślijcie po Stephena! - krzyknął jakiś głos.

Ponownie straciła przytomność, a gdy się ocknęła, leżała już w swojej sypialni, czując pod plecami miękkość materaca. W rogu paliła się lampa. Morgan siedział przy niej na łóżku, trzymając ją za rękę.

Wpatrywał się intensywnie w jej twarz.

- Jak się czujesz?

Położyła sobie ręką na czole i myślała przez chwilę.

- Dobrze - odparła w końcu, próbując się podnieść.

- Nie. - Położył jej twardo dłoń na ramieniu. - Nigdzie nie pójdziesz, dopóki Stephen cię nie zbada. On już jest w drodze.

- Naprawdę nic mi nie jest - zaprotestowała. - Przez chwilę trochę dziwnie się czułam. To wszystko. Nie ma powodu robić takiego zamieszania.

- Niech zadecyduje o tym lekarz.

- Powinieneś wrócić do gości.

- Simmons właśnie ich odprowadza.

Oparła się o poduszki, czując, jak zalewa ją fala ciepła. Cieszyła się, że Morgan wolał zostać z nią. Na widok Stephena, który pojawił się w sypialni o wiele za szybko, doznała srogiego uczucia zawodu.

Doktor wszedł do pokoju z czarną torbą w ręku, stanął przy łóżku i zmarszczył brwi.

- Wyraźnie wchodzi ci to w nawyk.

- W nawyk? - Morgan spojrzał pytająco na swoją małżonkę.

- W zeszłym tygodniu skarżyła się na zawroty głowy - wyjaśnił Stephen. - Ale chyba masz rację. Trzeba się temu bliżej przyjrzeć.

Pomógł jej usiąść i sam przycupnął na brzegu łóżka. Osłuchał

jej serce i obmacał czaszkę w poszukiwaniu ukrytego guza. Morgan stał nie opodal, przyglądając im się uważnie.

Stephen odchrząknął lekko.

- Chciałbym kontynuować - powiedział, patrząc na przyjaciela - ale sądzę, że Elisabeth czułaby się mniej skrepowana, gdybyś zostawił nas samych.

- Zaczekam na korytarzu. - Krzywiąc się, ruszył do drzwi.

Gdy wyszedł, Stephen dokończył badanie i zadał dziewczynie kilka pytań. Po tej rozmowie była czerwona jak burak. Poprawiła suknię, po czym - przy pomocy Stephena - natychmiast wstała z łóżka.

- Jest tak, jak powiedziałaś, prawda? Mam po prostu zawroty głowy?

- Tak, ale nic się nie dzieje bez przyczyny, moja droga.

Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

- Nie ma powodu do niepokoju - zaśmiał się Stephen. - Nie powaliła cię żadna śmiertelna choroba.

- Co mi w takim razie dolega?

- Będziesz miała dziecko - powiedział łagodnie. - Za jakieś... powiedzmy... siedem miesięcy.

*Dziecko. A jednak. Dziecko* - myślała z dziwną mieszaniną zaciekawienia i trwogi.

Stephen uśmiechnął się i zamknął torbę.

- Sądzę, że powinnaś sama przekazać tę nowinę Morganowi.

Morgan. Serce zabiło jej szaleńczo. Wbiła paznokcie w dłonie, ale nie czuła bólu. Jak on zareaguje? Zdziwi się? Na pewno! Czy jednak będzie zadowolony? Nigdy nie rozmawiali o dzieciach. Bała się przewidywać cokolwiek. Oczywiście, że będzie się cieszył! Każdy mężczyzna pragnie dziecka! Syna, który będzie nosił jego nazwisko. Córkę, która wypełni jego życie radością.

Gdy Morgan wszedł do środka, był wyraźnie zirytowany. Usiadł na brzegu łóżka i ujął jej dłoń.

- Jak się czujesz? Stephen nie chciał ze mną rozmawiać - powiedział gniewnie. - Podobno lepiej będzie, jeśli dowiem się wszystkiego od ciebie.

Ścisnęła go mocno za rękę. Zwilżywszy wargi, podniosła na niego wzrok. W jej sercu i szmaragdowych oczach błyszczała nadzieja.

- Ja... - szepnęła... my... - Urwała. - Będziemy mieli dziecko, Morganie.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Z czułego, troskliwego męża przedzierzgnął się w oschłego, obcego mężczyznę.

Popatrzył - z niechęcią, oskarżycielsko - na jej płaski brzuch i puścił jej dłoń, jakby była trędowata.

A w niej coś się wypaliło i umarło.

Wstał bez słowa i wszedł przez wewnętrzne drzwi do swego pokoju. Otworzył szafę, wyjął z niej torbę, po czym rzucił ją na łóżko.

Elisabeth poszła za nim, odrętwiała z bólu. Bezbronna i drżąca przenosiła spojrzenie z Morgana na torbę, bojąc się pytać o cokolwiek.

- Dokąd jedziesz? - wyjąkała w końcu.

- Nad morze - odparł krótko.

Przypomniała sobie natychmiast słowa Stephena. *Ten dom to jego schronienie przed światem*. Poczuli się tak, jakby otrzymała cios w samo serce, gdyż zrozumiała, że Morgan chce się teraz schronić tam przed nią.

Oczy piekły ją dotkliwie. Uczyniła nadludzki wysiłek, by stawić mu czoła, lecz nic z tego nie wyszło.

- O co ci chodzi? Będziemy mieli dziecko! Sądziłam, że się ucieszysz. Ja jestem taka szczęśliwa!

Jego milczenie było jak policzek.

- Mogę jechać z tobą - wyszeptwała drżącymi ustami.

- Nie! - Zabrzmiało to jak trzaśnięcie bata.

- Czy ty mnie o coś winisz? - jąkała. - Nie wiem, co się dzieje!

Wrzucił koszulę do torby.

- Może nie chcesz wiedzieć.

- Ależ chcę. Proszę, powiedz.

Odwrócił się do niej, więc nie mogła już uciec przed jego palącym spojrzeniem. Trzy długie kroki i już był przy niej.

- Nie, Elisabeth. Ty mi powiedz. Który z nas jest ojcem? Ja czy Nathaniel?

- Jak możesz nawet o to pytać! - wykrzyknęła. - To oburzające...

- Czyżby? - wtrącił ostro. - Pamiętasz dzień jego powrotu? Poszłaś do niego, ale się do tego nie przyznałaś. Twierdziłaś, że

byłaś na zakupach, a tak naprawdę byliście razem. Sami! Pytam cię więc po raz ostatni. Kto jest ojcem? Nathaniel czy ja? - Potrząsnął ją za ramię. - Czy ty w ogóle to wiesz?

Cierpiała niewyobrażalne wręcz katusze. Nie rozumiała, jak on mógł coś podobnego pomyśleć.

Łzy napłynęły jej do oczu, poczuła ucisk w gardle. Potrząsała tylko głową. Morgan mruknął coś niecierpliwie, chwycił torbę i wyszedł.

Upadła na podłogę z rozdartym sercem.

Z jej piersi wydobył się zduszony szloch, a potem stało się to, czego tak bardzo się obawiała. Nie mogła już przestać płakać.

Znalazł ją Nathaniel - siedziała zwinięta w kłębek przy ścianie, całkowicie pokonana, a na jej zalanej łzami twarzy malował się wyraz bezgranicznej udręki.

Ukląkł przy niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Dobry Boże! - Słysząc cię w całym domu. Czy ktoś umarł? Uniosła głowę, ale łzy całkowicie ją oślepiły.

- Nie - wykrztusiła z trudem.

- To co się stało? Dlaczego tak strasznie płaczesz? I gdzie, do diabła, jest Morgan?

- Wyjechał do... do domku nad morzem.

- Dlaczego?

- Bo... bo... spodziewam się dziecka.

Nathaniel aż usiadł ze zdziwienia.

- I... i... wiesz co? Zapytał mnie, czy to ty... jesteś ojcem! - Zakrztusiła się łzami. - Przecież wyszłam za niego, nie za ciebie. Nie mogłabym go zdradzić. Nigdy! Ale on mi nie ufa, a ja... ja nie rozumiem, dlaczego. Co ja takiego zrobiłam?

Nathaniel zaczerpnął powietrza.

- Ty nic - odparł, opierając się o ścianę. - Chodzi o mnie.

- Przecież jesteś jego bratem. Komu mógłby powierzyć żonę, jeśli nie tobie?

Zamarł na chwilę.

- Nie - odparł. - On nigdy by tego nie zrobił. I ma ku temu powody - dodał z westchnieniem.

Nie mógł już dłużej sam dźwigać tego ciężaru.

- Chyba nadszedł czas, żebyś poznała prawdę - powiedział cicho.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła mu oczy. Towarzysząca mu

zwykle wesołość i beztraska znikły, a w ich miejsce pojawiła się śmiertelna powaga. Najwyraźniej miał jej do powiedzenia coś bardzo istotnego.

- Prawdę? - powtórzyła.
- W chwili śmierci Amelia oczekiwała dziecka. - Urwał na chwilę. - Mojego dziecka.

## Rozdział dwudziesty piąty

Nathaniel był kochankiem Amelii.

Jak mogła się tego nie domyśleć? Tyle przecież na to wskazywało.

Tej nocy, gdy Morgan wyjawiał jej, że był żonaty... jak on to powiedział?

*Opowiem ci teraz o mojej najdroższej małżonce. Już w pierwszym roku naszego małżeństwa coraz to nowi kochankowie prawie nie wychodzili z jej łóżka.*

Ale to nie była jedyna poszlaka. Wpadł w taką furję, kiedy pozwoliła się pocałować Nathanielowi. Wydawało się jej, że bredzi.

Teraz jego słowa nabrały sensu.

*Pocałuj mnie, Elisabeth. Nathaniel to mój brat. A bracia powinni się wszystkim dzielić. Żonami również.*

- Wiedziałem, że przede mną byli inni - ciągnął Nathaniel.  
- Zdawałem sobie sprawę z tego, że Amelia zaczęła zdradzać Morgana zaraz po ślubie. To zresztą nie było dla nikogo tajemnicą. Ona miała tylu kochanków, że Morgan w końcu przestał się tym interesować. Amelia kochała flirty. Chciała budzić podziw, skupiać na sobie uwagę. Zresztą zawsze uważałem, że jest piękna. Wielu podzielało moje zdanie. - Oczy nagle mu pociemniały. - Ale pewnego lata wszystko się zmieniło. To jednak nie ja zacząłem ten romans, przysięgam. Widzisz, kiedy ona zagięła parol na mężczyznę, zachowywała się tak... nie

wiem, jak to powiedzieć... że nie można było się jej oprzeć. Nie zamierzam się usprawiedliwiać. Oboje byliśmy dorośli i w pełni odpowiedzialni za swoje czyny.

Zamilkł na chwilę.

- Na początku Morgan niczego się nie domyślał. W głębi duszy nie mogłem uwierzyć, że tak nisko upadłem. Zostałem kochankiem żony własnego brata. Myślałem tylko o niej. Tylko jej pragnąłem. Ona była jak... jak narkotyk. Musiałem ją mieć, albo... umrzeć.

Elisabeth słuchała w zdumieniu. Mówił i mówił. Doznała dziwnego wrażenia, że to taka swoista spowiedź, katharsis, chęć uwolnienia się od ciężaru winy.

- Do dziś nie rozumiem, jak mogłem do tego dopuścić - powiedział. - Nie powinienem był. Przecież Morgan zawsze się mną opiekował. Tylko, że ja, jakaś część mnie, zawsze mu... - zawahał się.

- Zazdrościła - dokończyła cicho Elisabeth. Zresztą nietrudno się było tego domyśleć.

Przytaknął i i spojrzał na swoje ręce.

- Opiekował się mną troskliwiej niż mój własny ojciec - przyznał cicho. - Jeszcze jako mały chłopiec chciałem być do niego podobny. Był ode mnie większy, silniejszy. Mój ojciec miał straszny charakter. Często obrywaliśmy od niego po głowie. Ale Morgan nie bał się mu przeciwstawiać.

Po jego twarzy przebiegł cień.

- Już chyba wtedy wiedziałem, że nigdy mu nie dorównam. Często wykradałem ojcu pieniądze. Grosik tu, grosik tam... Ale on potrafił liczyć i gdy przypierał nas do muru, Morgan zawsze brał winę na siebie. Zawsze. Mimo że ojciec go bił. A on nigdy nie płakał, choć ojciec walił go laską po plecach. Nigdy nie płakał. Nawet wtedy, gdy mama umarła, choć wiem, że kochał ją ogromnie.

*Walił go laską po plecach...* Elisabeth stłumiła okrzyk. Jak można być tak okrutnym! Potrafiła sobie jednak doskonale wyobrazić Morgana, gdy jako dziecko stoi dumnie wyprostowany i znosi dzielnie bolesne razy.

- Kiedy wypłynął na morze, przysyłał do domu wszystkie pieniądze. To on płacił za moje ubranie i jedzenie. Posłał mnie do najlepszych szkół. Wiedziałaś o tym? Boże! - szepnął ochry-

ple. - Chyba nigdy nie zastanawiałem się nad tym, ile on dla mnie zrobił. Z czasem jednak doszedłem do wniosku, że nie zdołam mu dorównać. Nie potrafiłem zrobić niczego tak dobrze, jak on. Nie byłem ani tak mądry, ani tak odpowiedzialny. Nie doszedłem do majątku. On zawsze był bohaterem, wybawicielem. Pamiętam dzień jego ślubu z Amelią. Zazdrościłem mu tak pięknej żony. Wiedziałem, że ja nie mogę liczyć na taki dar losu.

- Czułeś do niego urazę - szepnęła Elisabeth. W jej głosie nie było jednak pretensji - jedynie smutek.

- Tak - przyznał Nathaniel. - Dziwne, prawda? Ale jemu wszystko się udawało. Wszystko z wyjątkiem małżeństwa z Amelią. A ja się cieszyłem, naprawdę cieszyłem, że wreszcie poniósł klęskę. Kiedy się w niej zakochałem, zapomniałem, że Morgan jest moim bratem. Nie liczyłem się z niczym. Ani z tym, co on myśli, ani z tym, że cierpi. Nie obawiałem się nawet jego nienawiści. Wtedy Amelia odbyła, że jest w ciąży. Szalałem ze szczęścia. Sądziłem, że opuści Morgana, weźmie z nim rozwód i pobierzemy się. Błagałem ją o to.

- Nie rozumiem - wtrąciła Elisabeth. - Czy to znaczy, że oni nadal mieszkali razem?

Przytaknął.

- Jak w takim razie mogłeś być pewien, że to ty jesteś ojcem, a nie Morgan?

- Dziecko było moje - powtórzył z przekonaniem. - Morgan od dłuższego czasu w ogóle jej nie dotykał. Powiedział mi o tym, kiedy nie wiedział jeszcze o naszym romansie. Amelia również skarżyła się na kompletny brak zainteresowania z jego strony.. A ona należała do kobiet, które chcą być podziwane i adorowane. Morgan nie okazywał jej żadnych uczuć i chyba za to go znienawidziła.

Elisabeth zagryzła wargi. Być może Amelia nawiązywała tak liczne romanse, by wziąć w ten sposób odwet na Morganie?

- I co było dalej? - spytała, zachowując swe przemyślenia dla siebie.

- Morgan dowiedział się o nas. Amelia opowiadała mi, że nie mogła się doczekać tej rozmowy. Śmiała mu się prosto w twarz, kiedy mówiła, że oczekuje mojego dziecka. Wyobrażasz to sobie? Śmiała się! Wtedy zrozumiałem, jaka jest okrutna. - Zaciśnął dłonie tak mocno, że pobiełały mu kostki. - Wysłała

za Morgana dla pieniędzy i rzeczy, które mogła za nie kupić. Tylko jeden Pan Bóg wie, dlaczego on ją poślubił, jednak motywy Amelii były oczywiste.

Serce ścisnęło się jej boleśnie. Jakże on musiał cierpieć!

Nathaniel przełknął ślinę i wciągnął głęboko powietrze.

- Wtedy właśnie ją poprosiłem, by rozwiodła się z Morganem i wyszła za mnie. Ale ona powiedziała... że nawiązała ze mną romans tylko po to, by go upokorzyć. Dodała, że już się jej znudziłem i że ma nowego kochanka.

- A co z dzieckiem? Chciała, żeby Morgan uznał je za własne?

Po twarzy przebiegł mu dziwny skurcz.

- Nie - odparł dziwnym głosem. - Dziecko nie pasowało do jej planów. Zamierzała się go pozbyć... mówiła, że są sposoby. Znała pewną kobietę, która pomagała jej już wcześniej.

Elisabeth zbladła, ale położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu.

- I co się stało dalej?

Natychmiast pożałowała tego pytania. Ale jednak zdecydowała się je zadać.

Mięśnie napięły mu się tak, jakby były ze stali.

- Cały czas powtarzała, że mnie nie chce. - Głos uwiązł mu w gardle. - Mówiła, że ma innego kochanka... lepszego kochanka. Śmiała się. A ja pomyślałem, że tym razem nie śmieje się z Morgana. Ona śmiała się ze mnie. Bez końca.

Patrzył przed siebie nie mrugnawszy nawet powieką. Gdy uniósł dłoń, Elisabeth poczuła, że przechodzi ją zimny dreszcz.

- Zacząłem nią potrząsać. Chwyciłem ją za gardło, chciałem, żeby wreszcie przestała się śmiać. Po prostu musiałem ją uciszyć. I nagle rzeczywiście zamilkła.

Elisabeth wcisnęła sobie pięść do ust, by powstrzymać się od okrzyku.

Nathaniel zabił Amelię.

- Zabiłem ją - mówił nieswoim głosem. - Zabiłem kobietę, którą kochałem. Naprawdę nie chciałem! Przysięgam, że nie chciałem! - Oddychał ciężko, spazmatycznie. - Pamiętam, jak płacząc, trzymałem ją w ramionach. I nagle wszedł Morgan...

Elisabeth przymknęła oczy. Wszystko stało się nagle zupełnie jasne. Zrozumiała, dlaczego Morgan zachował się tak gruboskór-

nie, gdy go zapytała, czy kiedykolwiek schwytano mordercę Amelii. A Stephen powiedział, że jedyną winą Morgana było znalezienie ciała.

Ale on znalazł nie tylko ciało żony.

Znalazł również swojego brata.

Elisabeth z trudem zmusiła się do mówienia.

- Nikt o tym nie wie, prawda? Tylko ty i Morgan?

Przytaknął. Oczy podejrzanie mu zwilgotniały.

- To jeszcze nie wszystko. Policja aresztowała Morgana pod zarzutem morderstwa.

- Wiem - odparła szybko. - Stephen powiedział mi, że później oddalono oskarżenie z braku dowodów.

- Nie rozumiesz. Zachowałem się jak ostatni tchórz. - Każde jego słowo ociekało wstydem. - Ja ją zabiłem, a Morgan za to cierpiał. Siedział za mnie w areszcie. A ja pozwoliłbym na to, by poszedł do więzienia. Gdyby go skazano, nie przyznałbym się do winy. - Głos mu się załamał. - Nawet wtedy, gdyby go mieli powiesić...

Elisabeth poczuła ucisk w gardle. Objęła Nathaniela ramieniem i przytuliła jak matka pocieszająca skrzywdzone dziecko.

Nie potępiła Nathaniela, bo potwierdził tylko jej domysły.

Morgan decydował o wszystkim. To on był silny jak skała, o którą zawsze można się oprzeć.

Ale każdy czasem się załamuje.

I ma do tego pełne prawo.

Na północ od Bostonu nad horyzontem zaległy ciemności. Księżyc znikł za chmurami, wzburzony ocean szumiał monotonnie. W domu panowały tak samo głębokie ciemności, jak na zewnątrz.

Morgan osunął się bezwładnie na krzesło. Nie był pijany, dawno już odkrył, że nie znajduje ukojenia w alkoholu. Odczuwał tylko ogromne zmęczenie, choć od paru godzin w ogóle się nie poruszał.

Przyjechał do swej nadmorskiej posiadłości poprzedniego dnia wieczorem i nawet nie zauważył, jak upłynęła pierwsza doba. Zamęt w sercu i umyśle uniemożliwił mu wytchnienie.

Od dnia, kiedy stracił matkę, nie okazywał uczuć, bo obawiał się, że jeśli je zdradzi, może narazić się na ból i cierpienie.

I tak też się stało. Raz otworzył swe serce - przed Amelią. Kiedy jednak dowiedział się o jej pierwszym romansie, postanowił, że już nigdy więcej tego błędu nie popełni.

I tak właśnie było, zanim w jego życiu nie pojawiła się Elisabeth.

Powinien teraz szaleć ze szczęścia. Wszakże od dawna porzucił marzenia o dzieciach! Amelia nie chciała sobie psuć figury, zaś Elisabeth poślubiła go wyłącznie dlatego, by uniknąć skandalu.

Nawet nie śmiał marzyć, że pewnego dnia zechce obdarzyć go potomstwem.

No i oczywiście był jeszcze Nathaniel... jak zwykle.

Opadły go podejrzenia. Nie potrafił się wyzbyć pożerającej go zazdrości. Czuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Wszystko było dokładnie tak, jak kiedyś... Nathaniel i Amelia. A teraz Nathaniel i Elisabeth. W dodatku te wieści o spodziewanych narodzinach dziecka.

*Będziemy mieli dziecko.*

Przed oczyma zatańczył mu obraz Amelii. Skurczył się na wspomnienie tego, co wydarzyło się później.

*Jak się z pewnością domyślasz, Nathaniel jest ojcem.*

Boże! Jej kpiny wciąż dźwięczały mu w uszach.

*Będziemy mieli dziecko.*

Znów zacisnął zęby. Tym razem usłyszał wyraźnie głos Elisabeth, ujrzał jej szmaragdowe oczy, w których tliła się obietnica.

A w oczach Amelii czaiła się tylko nieskrywana złość i uraza.

*Miałam nadzieję, że będziesz się cieszył...*

W przeciwieństwie do Amelii, Elisabeth wcale się nie śmiała. Płakała, a na jej twarzy malowała się rozpacz.

To żałosne łkanie wciąż pobrzmiwało w każdym zakamarku jego duszy.

Pogarda do samego siebie wypełniła mu serce goryczą. Boże, jakim strasznym okazał się głupcem. Jak mógł w ogóle porównywać te kobiety?

Ale koniec z tym - postanowił. Raz na zawsze koniec.

Wstał z trudnością, gdyż zastygłe w bezruchu mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Podeszedł do okna i zobaczył, że chmury rozproszyły się, a z nieba mruga do niego samotna mała gwiazdka.

Uśmiechnął się. Postanowił, że wyjedzie z samego rana. Nadszedł czas, by wrócić do domu. Do Elisabeth.

Jonah wiedział oczywiście, co się działo od chwili, gdy rozmawiał z Nathanielem po raz ostatni. Wyśledził potem, że O'Connor wrócił wreszcie do domu. Obserwował każdy jego ruch, zauważył, jak bardzo się pilnuje.

Toteż świetnie się bawił, siedząc pewnego popołudnia u niego w salonie z kieliszkiem wina w ręku.

Nathanielowi natomiast nie było do śmiechu. Na widok Jonaha bardzo się zdenerwował, choć postanowił tego nie okazać.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Myślę, że już wszystko ustaliliśmy - odparł Moreland, patrząc na ramię Nathaniela w miejscu, gdzie bandaż wypychał surdut. - Cieszę się, że tak szybko wyzdrowiałeś.

Nathaniel zacisnął pięści.

- Ty łotrze! Chciałeś mnie zabić!

- Wybacz, ale mam inne zdanie. Gdybym rzeczywiście chciał cię wykończyć, to już byś nie żył. Nie, drogi młodzieńcze. Ja cię tylko ostrzegłem, co też nie byłoby konieczne, gdybyś znów nie próbował prysnąć. - Bo przecież to właśnie zamierzałeś uczynić, prawda? I do tego była ci potrzebna ta forsa, którą trzymałeś pod pachą?

Nathaniel zacisnął szczęki i nawet się nie odezwał. Co by to zmieniło, gdyby Jonah poznał prawdę.

- Na twoim miejscu - ciągnął Anglik - zapamiętałbym sobie dobrze, że koniec z ostrzeżeniami. Choć oczywiście bardzo chcę wierzyć, że mylnie odczytałem twoje intencje.

- Jeśli umrę, nigdy nie zobaczysz tych pieniędzy - stwierdził spokojnie Nathaniel.

- No tak, ale co z twoim bratem? Morganowi całkiem nieźle się powodzi. Przecież może ulec wypadkowi, nieprawdaż?

Nathaniel bezbłędnie odszyfrował zamiary Morelanda. Śmiało spojrzął mu prosto w oczy.

- Jego majątek odziedziczy żona, nie ja.

Moreland zakręcił kieliszkiem.

- Szkoda - odparł lekko. - W takim razie oboje mogą ulec wypadkowi. Co za tragedia, prawda? Młoda para, tuż po ślubie...

- Uniósł głowę i spojrzął na Nathaniela z błyskiem w oku. - Ale wtedy nikt poza tobą nie mógłby sobie rościć prawa do spadku. A tobie nie brakowałoby gotówki i natychmiast oddałbyś dług wicehrabiemu.

- Dostaniesz pieniądze. - Nathaniel spojrzął na niego kamiennym wzrokiem. - Ale muszę je najpierw pożyczyć od Morgana. Daj mi czas do jutra.

- Świetnie. - Moreland odstawił wino i wstał.

- Spotkamy się tutaj?

Jonah uśmiechnął się tylko i uchylił kapelusza.

- Raczej nie. Ale nie martw się. Zawiadomię cię o miejscu i godzinie - odparł, wychodząc.

Nathaniel poczuł skurcz w żołądku. Boże! Co za ohydny wąż z tego Morelanda. Ten diabeł wciągnął do całej sprawy Elisabeth i Morgana!

Zagroził, że zabije ich oboje. A rany, jakie mu zadał, świadczyły, aż nadto dobitnie o tym, że dotrzymuje słowa. Jednakże Nathaniel nie mógł prosić Morgana o pieniądze - nie tym razem.

Mimo wszystko zostało mu trochę godności.

I może nadszedł czas, by przynajmniej raz w życiu postąpić szlachetnie. Tak, jak należało.

## Rozdział dwudziesty szósty

Elisabeth czuła zamęt w sercu i umyśle. W obliczu tego, co wycierpieli Morgan i Nathaniel, jej własne problemy wydawały się zupełnie nieistotne.

Niemniej jednak trudno jej było się z nimi uporać.

W dzień załamywała ręce z żalu, w nocy ogarniała ją tęsknota. Kiedy wróci Morgan? Gdyby tylko wiedziała! I jak mogła go przekonać, że dziecko, które nosi w łonie, to krew z jego krwi? Czy zamierzał od niej odejść tak, jak opuścił Amelię?

Tego popołudnia Annie namówiła ją na drzemkę. Elisabeth właśnie miała wyciągnąć się na kozetce, gdy usłyszała kroki w holu. Uniosła głowę i nadstawiła uszu. Dobiegł ją jakiś męski głos. Morgan! - pomyślała radośnie. Serce biło jej mocno, gdy zbiegała na dół.

Ale to był Nathaniel.

Simmons wziął od niego kapelusz.

Nat patrzył na nią w napięciu.

- Witaj, Elisabeth.

Z uśmiechem poprowadziła go do salonu. Była trochę zdziwiona, ale zadowolona, że przyszedł. O nim również wiele myślała. Prosiła go nawet, by został do czasu załatwienia sprawy z wicehrabią, jednak stanowczo odmówił.

Wyglądziła fałdy sukni.

- Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. - Przysunął sobie fotel. - Nie zostanę długo.



Patrzyła na niego z aprobatą. Miał o wiele lepszą cerę i choć poruszał się jeszcze niecałkiem sprawnie, powoli odzyskiwał formę.

- Lepiej wyglądasz - zauważyła.

- I nieźle się czuję. Czy Morgan wrócił już do domu?

Blask w jej oczach zgasł tak szybko, jak się pojawił. Nathaniel zaś wyzwał brata od największych głupców na świecie.

- Ale on odzyska rozum, zobaczysz.

- Na pewno? - spytała, patrząc na niego żałośnie.

- To zupełnie inna sytuacja niż wtedy z Amelią - zapewnił ją Nathaniel. - Jemu naprawdę na tobie zależy.

- Chciałabym w to wierzyć - odparła ze smutkiem. - Ale zdaje się, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać. - Zobaczyła, że Nathaniel zbiera się do odejścia. - Już idziesz?

Przytaknęła.

- Mam coś dla ciebie. - Sięgnął do kieszeni surduta. - Proszę.

Daj mi rękę.

Zaciekawiona posłuchała. Coś chłodnego i gładkiego dotknęło jej dłoni.

Perły.

- Przecież mówiłeś, że dałeś je temu okropnemu człowiekowi... - zaczęła.

- Skłamałem - odparł z taką miną, że Elisabeth parsknęła śmiechem. - Mam ci je zapiać?

- Proszę. - Posłusznie nadstawiła szyję, a potem dotknęła naszyjnika koniuszkami palców. - Dziękuję - powiedziała cicho.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że je odzyskałam. - To prezent ślubny od Morgana - dodała ledwo słyszalnym szeptem.

- W takim razie bardzo się cieszę.

- Wiesz, nie jesteś takim draniem, za jakiego się uważasz.

Roześmiał się głośno.

- Jestem. Ale chyba ruszyło mnie sumienie. Chciałbym jednak być pewien, że już mnie nie nienawidzisz.

- Oczywiście, że nie! Zawsze będziesz drogi memu sercu. Zawsze!

Dostrzegła w jego oczach poczucie winy.

- I wybaczysz mi?

- Tak, oczywiście!

Poszła z nim do holu. Rysy jego twarzy złagodniały trochę, lecz nadal patrzył na nią poważnie.

- Chciałbym, żebyś przekazała Morganowi wiadomość ode mnie.

- Oczywiście.

- Powiedz mu, że jeśli cię skrzywdzi, będę go straszył po nocach. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Żegnaj, Elisabeth.

Elisabeth patrzyła, jak wychodzi na ulicę i znika za rogiem. Gdy szła po schodach na górę, ogarnął ją niepokój. Nie mogła wyzbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku. Nathaniel zachowywał się inaczej niż zwykle. Oczywiście, trudno było oczekiwać, by taka spowiedź wprawiła go w jowialny nastrój, żegnał ją jednak wyjątkowo ponuro, wręcz posepnie.

Wróciła na dół i zaczęła przemierzać salon. Gdy mijała fotel, a którym siedział Nathaniel, coś przykuło jej uwagę. Pochyliła się i podniosła z dywanu zwinięty w kulkę papier. Dokładnie w tym miejscu stał Nathaniel, kiedy wyjął perły. Widocznie wtedy ten świstek wypadł mu z kieszeni.

Rozwinęła kulkę. Strach chwycił ją za gardło, choć właściwie nie wiedziała dlaczego. Kartka była tak wymięta, że Elisabeth musiała przymrużyć oczy, by odczytać jej treść.

*Godzina szósta. Ferry Lane 200.*

Adres. Czyżby Nathaniel wybierał się tam na spotkanie?

Mężczyzna w brązowym meloniku.

Zadrżała jej ręka, pot wystąpił na czoło. Ta myśl pojawiła się zupełnie nagle. Nathaniel umówił się z mężczyzną w brązowym meloniku, tym samym mężczyzną, który poranił go nożem.

Z holu dobiegły ją czyjeś głosy. Podniosła głowę w chwili, gdy do pokoju wchodził Morgan.

Natychmiast wybiegła mu na spotkanie.

- Dzięki Bogu, że wróciłeś! - Rzuciła mu się na szyję. Gdyby nie narastający strach, płakałaby z radości. - Musimy się spieszyć! Nathaniel poszedł na spotkanie z człowiekiem, który chciał go zabić - bełkotała histerycznie.

Tulił ją przez chwilę do serca, a potem odsunął, by spojrzeć jej w oczy.

- Elisabeth! Uspokój się. Gdzie jest Nathaniel?

Nigdy tak się nie zachowywała. Domyślił się od razu, że musiało wydarzyć się coś strasznego.

- Ktoś go szantażuje... dlatego został ranny - mówiła bezdadnie. - Wrócił i oddał mi perły. Znalazłam to na podłodze. Tu jest adres. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale on chyba poszedł na spotkanie z tym człowiekiem. Z tym mordercą.

Poczuł przyspieszone bicie serca. Chwycił świstek i przebiegł wzrokiem jego treść.

- To niedaleko portu! - Zerknął na zegar stojący na kominku i zaklął głośno. - Niech to diabli! Już jest szósta! Módl się. Wróć jak najszybciej. - Wypadł jak szalony z pokoju, wołając Willisa.

Elisabeth natychmiast ruszyła za nim. Nie zamierzała tu zostawać, nie w sytuacji, kiedy on mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie. Gdy Morgan pojął, co się święci, udzielił jej ostrej reprymendy.

Popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

- Nie zostawisz mnie. Nie tym razem.

Bez słowa wyciągnął do niej rękę; po chwili była w powozie.

Jechali do portu na złamanie karku. Dwa razy powóz zarzucił tak ostro, że oboje wylądowali na podłodze. Mimo to Elisabeth zdążyła opowiedzieć Morganowi całą historię. Wyjaśniła mu, dlaczego zdecydowała się dać Natowi pieniądze tej nocy, gdy Morgan zobaczył ich w uścisku. Nie pominęła żadnych szczegółów.

Oprócz tego, że Nathaniel ukradł jej perły. Być może zachowała się niemądrze, lecz pragnęła, by Morgan uwierzył, iż sama ofiarowała naszyjnik Nathanielowi chcąc mu pomóc w kłopotach.

Wreszcie dojechali na miejsce. Morgan szybko zeskoczył na ziemię, Elisabeth pospieszyła za nim. Obrócił się na pięcie i położył jej ręce na ramionach.

- Nie! Zostań tutaj!

Nie słuchała. Wypytywała czegoś ponad jego ramieniem.

- Tam! - krzyknęła, wyciągając rękę. Są tam! Ten człowiek w meloniku! To on! Weszli w zaułek!

Morgan rzucił się za nimi, a Elisabeth - niepomna na jego ostrzeżenia - zebrała fałdy sukni i pomknęła za nim tak szybko, jak mogła. Nagle zabrakło jej powietrza, potknęła się i upadła,

raniąc sobie boleśnie kolana. Chciała wstać, ale chwyciła ją kolka, więc zagryzając wargi, by powstrzymać się od płaczu, uniosła tylko głowę.

Między dwoma budynkami rozgrywała się przerażająca scena. Nathaniel uderzył Anglika w twarz. Obaj krzyczeli głośno. Morgan dobiegał właśnie do mężczyzny w brązowym meloniku, gdy ten wyszarpnął coś z kieszeni.

Słaby promień zachodzącego słońca padł na lśniący metal. Anglik długo trzymał nóż w uniesionej dłoni, a potem wszystko zawirowało jej przed oczami.

- Nie! - krzyknął Morgan i rzucił się naprzód.

Sztylet przeciął powietrze z szybkością błyskawicy.

Elisabeth krzyknęła rozpaczliwie.

Nathaniel upadł.

Jednakże do końca było jeszcze daleko.

Anglik rzucił się na Morgana. Potoczyli się razem po chodniku, a nóż wraz z nimi. Elisabeth patrzyła w panice, jak obaj usiłują go dosięgnąć. Ale tylko jednemu z nich się udało.

Był to mężczyzna w meloniku.

Morgan leżał na plecach, Anglik klęczał nad nim ze złowieszczym uśmiechem na ustach. Sztylet załśnił śmiertelnym blaskiem.

Nagle rozległ się huk. Gryzący słup dymu wystrzelił w powietrze. Mężczyzna w meloniku upadł na bruk twarzą do dołu.

Nathaniel leżał na boku. Pistolet wypadł mu z ręki. Elisabeth stłumiła okrzyk. On żył! Nathaniel żył! Z trudem wstała z ziemi i podbiegła bliżej.

Morgan klęczał nad bratem. Gdy zobaczyła wyraz jego twarzy, nowy spazm strachu ścisnął jej serce.

- Dobry Boże! - dyszał Morgan. - Lekarza! Natychmiast lekarza!

**w domu panowała gęsta, przejmująca cisza. Na szczęście Willis miał na tyle przytomności umysłu, że gdy zobaczył, co się święci, od razu pojechał po Stephena. Nathaniel był nieprzytomny, gdy układali go w powozie; na przodzie jego koszuli i surduta widniała ogromna plama krwi.**

Elisabeth ogarnęło przerażenie.

Zabrali go do domu i ułożyli w tej samej sypialni, w której

tak niedawno doszedł do zdrowia. Stephen zamknął się tam z chorym, a Morgan i Elisabeth czekali w napięciu na zewnątrz. Minuty wlokły się jak godziny.

Gdy wreszcie otworzyły się drzwi, raptownie unieśli głowy. Stephen wyszedł na korytarz.

- Co z nim? - Morgan zdecydował się przemówić pierwszy.

Stephen potrząsnął głową z ponurą miną

- Zrobiłem wszystko, co mogłem - powiedział cicho. - Położył Morganowi rękę na ramieniu. - Pyta o ciebie. - Przeniósł wzrok na Elisabeth. - O ciebie również.

Morgan wpadł do środka. Elisabeth za nim. Na widok Nathaniela z trudem powstrzymała okrzyk. Leżał na plecach blade jak płótno. Miał zamknięte oczy. Przez ułamek sekundy zaświtała jej w głowie straszna myśl, że on nie żyje.

Ale Nathaniel popatrzył na nią w chwili, gdy wchodziła do pokoju. I choć jego oczy były pełne bólu, zaśniły na jej widok takim blaskiem, że natychmiast podeszła bliżej.

Zbierając wszystkie siły powstrzymała łzy.

- Witaj, Nathanielu - szepnęła.

- Sama widzisz - powiedział słabo. - Miałem rację. - Mówiłem ci, że jestem draniem.

Nigdy nim nie byłeś - odparła z uśmiechem, choć serce pękało jej z żalu.

Przeniósł wzrok na Morgana. Elisabeth pochyliła się nad nim, pocałowała go w policzek i odeszła.

- Spróbuj odpocząć - powiedział cicho Morgan.

Nathaniel poruszył lekko głową na poduszce.

- A ty nigdy nie przestaniesz, prawda? - mruknął - Po tylu latach nadal mnie pouczasz. - Zadrzał, jakby zrobiło mu się zimno.

Morgan naciągnął mu kołdrę pod szyję i ujął jego dłoni.

- A ty jak zwykle się buntujesz - powiedział, choć słowa z trudem przechodziły mu przez gardło.

- Dałem ci dobrą szkołę, prawda?

- Pewnie - odparł Morgan nieswoim głosem. - I świetnie się bawiłeś.

- Zawsze chciałem być taki jak ty - Nathaniel ledwo mówił.

- Tak mi przykro. - Tyle ci zawdzięczałem.

- Nie - odparł stanowczo Morgan. - Uratowałeś mi życie.

To wymagało odwagi. Teraz ja zawdzięczam ci tyle, że nigdy nie spłacę długu.

Nathaniel z trudem chwycił powietrze.

- Udało mi się, prawda?

- Tak. - Morgan zacieśnił uścisk i trwali tak przez chwilę. Dwaj bracia. Dwie dusze.

- Któż by to przewidział? - Nathaniel spróbował się uśmiechnąć. - Tym razem ja przyszedłem ci z pomocą. Ja byłem bohaterem. - Mówił coraz ciszej. - Będziesz o tym pamiętał? Pamiętaj, gdy czasem o mnie pomyślisz...

Zamknął oczy. Nie czuł już bólu, na jego twarzy zagościł spokój.

Palce stały się bezwładne.

Morgan pochylił się nad bratem.

- Nat! - krzyknął z rozpaczą. - Nat!

## Rozdział dwudziesty siódmy

Pochowali go następnego dnia, na pobliskim, cichym i spokojnym cmentarzu położonym na wzgórzu, z którego rozciągał się wspaniały widok na rzekę. Nathaniel spoczął w grobie pod rozłożystym dębem, wśród dzikich kwiatów.

Podczas ceremonii pogrzebowej Morgan - ubrany na czarno - trzymał się na uboczu. Później nie odezwał się do nikogo ani słowem - ani do pastora, ani do Stephena, ani nawet do Elisabeth. Natychmiast poszedł do domu i zamknął się w gabinecie, pozostawiając żonie smutny obowiązek przyjmowania kondolencji.

Przez następne cztery dni wpuszczał do siebie tylko Simmons. Elisabeth było wprawdzie trochę przykro, ale rozumiała, że Morgan sam musi się uporać z tragedią, jaka go spotkała.

Stephen uważał, że najlepiej będzie, jeśli Elisabeth pozostawi męża w spokoju.

- Daj mu jeszcze kilka dni - radził. - Znam Morgana i wiem, że on z tego wyjdzie.

Najpierw Elisabeth była przekonana, że Stephen ma rację. Czas leczy rany. Później jednak patrzyła z rosnącym zaniepokojeniem i dezaprobatą na kolejne butelki koniaku, jakie znikają za drzwiami gabinetu.

- Nic nie jadł od chwili, gdy się tam zamknął - wyznała Stephenowi. - Simmons usiłował go namówić, ale nic z tego nie wyszło. Wydaje mi się również, że nie spał. Na pewno zapija się na śmierć po stracie brata.

- Może masz rację. To zupełnie do niego niepodobne — przyznał Stephen. - Chciałabyś, żebym z nim porozmawiał?

I Stephen parę razy próbował nawiązać z Morganem jakiś kontakt.

Na próżno.

Piątego dnia Elisabeth zdecydowała, że weźmie sprawy w swoje ręce. I choć bała się, że Morgan ją znienawidzi, nie mogła spokojnie patrzeć na to, co się dzieje.

Zatrzymała Simmonsa pod gabinetem. Stary lokaj niósł właśnie Morganowi butelkę na wieczór.

- Możesz wziąć wolne. Reszta służby również - powiedziała, odbierając od niego tacę.

Simmons miał bardzo niepewną minę.

- Pan jest w okropnym humorze, lady Elisabeth.

- Zrób to, o co proszę, Simmons. Aha. Zapukaj jeszcze do drzwi i powiedz panu O'Connorowi, że przyniosłeś koniak.

Simmons skłonił głowę. Zastukał trzy razy i wykonał polecenie Elisabeth, która natychmiast go odprawiła. Gdy Morgan otworzył drzwi, szybko weszła do środka i zamknęła je obcasem.

Gabinet był pogrążony w mroku, a w powietrzu unosiła się ciężka woń zwietrzałego koniaku. Zaciągnięte zasłony nie przepuszczały światła. Elisabeth wyteżyła wzrok, bo z początku nie zauważyła męża.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? - Głos dochodził z lewej strony. Elisabeth aż podskoczyła ze strachu.

Na szczęście szybko odzyskała równowagę. Uniosła wysoko podbródek i wyprostowała plecy.

- Przyszłam zadać ci dokładnie to samo pytanie - odparła z godnością.

Tymczasem jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, więc mogła mu się dokładnie przyjrzeć.

Dobry Boże! Miał szarą, wymizerowaną twarz, przysłoniętą częściowo pięciodniowym zarostem, przekrwione, podkrążone oczy i wymięte ubranie.

- Zostaw mnie w spokoju. - W jego głosie nie było już gniewu, tylko ogromne znużenie.

Serce się jej ścisnęło, gdy podszedł do biurka. Poruszał się jak starzec.

Przełknęła ślinę i postanowiła stłumić w sobie wzburzenie.

- Dlaczego? Bo się nad sobą litujesz?
- Nie. Bo nie mogę zapomnieć - wycodził przez zęby.
- Ale ty nie próbujesz zapomnieć - powiedziała, stawiając tacę na biurku. - Ty się po prostu zadrezczasz.
- Więc wyjdź i zostaw mnie w spokoju. - Jego twarz wykrzywił brzydki grymas. Sięgnął po butelkę.

Ale Elisabeth była szybsza. W przypływie nagłej wściekłości odsunęła ją na bok. Butelka spadła z trzaskiem na podłogę, lecz dziewczyna nie zwróciła najmniejszej uwagi na bursztynowy płyn rozlewający się po dywanie.

- Już nic cię nie obchodzi? - spytała gniewnie. - Ja też nie? Nie rozumiesz, co czuję?
- Jeśli masz odrobinę rozsądku, wyjedziesz, zanim zniszczę również i twoje życie.
- Pleciesz bzdury i doskonale o tym wiesz. Twarz zastygła mu jak maska.
- Nie, Elisabeth. Ty nie wiesz, co się stało. Po prostu nie wiesz.
- Wiem. Wiem wszystko. Wiem, że Nathaniel był kochankiem Amelii. Wiem, że ją zabił.

Zbladł.

- Jak to? Skąd? - wyjąkał.
- Nathaniel powiedział mi wszystko. Wszystko.

Zareagował dokładnie tak, jak się tego obawiała. Odwrócił się do niej plecami - obcy jak nigdy.

Poniosły ją nerwy. Trzy zwinne susy i już go okładała pięściami po ramionach.

- Niech cię diabli! Właśnie, że mnie wysłuchasz!

Wyprostował się jak struna.

- Wiesz, co jeszcze mi powiedział? Powiedział, że kiedy byłeś chłopcem, twój ojciec tłukł cię laską po plecach, bo brałeś na siebie jego winy. Ale nigdy nie płakałeś. Nigdy. No więc na co czekasz? Płacz, wrzeszcz, bo cierpisz po stracie brata! Wściekaj się. Przecież Pan Bóg za wcześniej powołał go do siebie. Ale skończ z tym. Nie chowaj uczuć. Daj im upust, Morganie!

Łzy, których nawet nie była świadoma, lały się jej po twarzy, ale Morgan nie reagował.

Wtedy coś w niej pękło, z rozpaczliwym szlochem rzuciła się na podłogę i zwinęła w kulę, przyciskając kolana do piersi.

- Potrzebuję cię - załkała. - Ja też cię potrzebuję. Proszę, wróć do mnie. Proszę!

Przymknął oczy. Jej płacz ranił mu serce. Osunął się na podłogę i wziął ją w ramiona.

- Elisabeth, nie rób mi tego, błagam. Nie zniosę już bólu. Przywarła do niego mocno.

- Opiekowałeś się Natem zupełnie sam. Samotnie przeżywałeś zdradę Amelii. Ale teraz masz mnie. Pozwól tylko, że cię przytulę. Pozwól mi sobie pomóc. Pozwól, żebym cię kochała.

Znów przymknął oczy. Znów zaatakowały go bolesne wspomnienia.

- Leżąc na łożu śmierci matka prosiła mnie, żebym zajął się Nathanielem. Pamiętam, jak błagała, żebym go chronił. Ale ja wszystko zrobiłem źle. Może dałem mu zbyt wiele? Albo za mało? Chryste! Po prostu nie wiem!

Z trudem chwycił oddech.

- To wszystko moja wina. To moja wina, że on nie żyje. Gdybym był inny, on mógłby prosić mnie o pomoc. Ale ja go odtrąciłem. Odepchnąłem go od siebie po tej tragedii z Amelią. Nie mogłem mu wybaczyć i on o tym wiedział! Nie rozumiesz? On wiedział!

- Nie zawiodłeś go - szepnęła dotykając jego szyi. - Do końca byłeś wobec niego lojalny, więc nie obwiniaj się tak. Nathaniel miał własne życie. Robiłeś, co mogłeś. On sam mi mówił, że podejmował własne decyzje - często złe. Wstydział się, że cię skazał na takie piekło. Ale nie czuł do ciebie żalu. Więc i ty przestań się oskarżać.

Morgan zanurzył twarz w jej pachnących włosach.

- Powinnaś mnie nienawidzić - szepnął z desperacją. - Mówiłem tyle strasznych rzeczy. Oskarżałem cię o coś, co nie było prawdą. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Boże! Nie zapytałem nawet, jak się czujesz.

Cofnął się i powiódł dłonią po jej wypukłym brzuchu.

Po zapłakanej twarzy Elisabeth przemknął cień uśmiechu. Poczowała niewyobrażalną ulgę.

- Czy... - przełknął ślinę. - Czy ty mnie naprawdę kochasz? Ze łzami w podpuchniętych, zaczerwienionych oczach skinęła głową.

I choć ten widok łamał mu serce, dał się wreszcie ponieść długo skrywanym uczuciom.

- Możesz to powiedzieć?

Przestraszona, spuściła głowę.

A co będzie, jeśli daremnie odkryje przed nim duszę? Co się stanie, jeśli on jej nie kocha?

- Nie - szepnęła.

- Tak - tchnął jej w usta - tak.

Wtedy usłyszała coś, na co dawno straciła już nadzieję. A w jego oczach ujrzała to, o czym marzyła już od dawna: czułość i miłość tak czystą i ogromną że mogła tylko zamilknąć w zadziwieniu.

- Kocham cię - powiedział, otaczając ją ramionami. - Kocham cię. Moja damo. Moje serce.

Elisabeth płakała bez końca.

Noc zastała ich splecionych w miłosnym uścisku.

A rano Elisabeth przeciągnęła się leniwie w łóżku swego małżonka.

Była sama.'

Bardziej zaskoczona niż przestraszona wstała, ziewając śpiąco. Morgana jednak nie było w ani gabinecie, ani w bibliotece, ani nigdzie indziej w całym domu.

Myślała przez chwilę intensywnie i pobiegła po schodach na górę. Domyśliła się, dokąd poszedł.

Chwilę później włożyła pelerynę i wyszła z domu. Bezgłośnie wspięła się na wzgórze.

Właśnie tam, w bursztynowym blasku wschodzącego słońca, znalazła swego męża.

Stał z opuszczoną głową nad grobem Nathaniela. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu.

Przystanąła ze ściśniętym sercem. Wiedziała, dlaczego tu przyszedł.

Chciał pożegnać się z bratem.

Nawet się nie poruszyła. Wstrzymała oddech, pewna, że w żaden sposób nie zdradziła swej obecności.

A przecież odwrócił się. Kiedy ich oczy spotkały się, Morgan otworzył przed Elisabeth swe ramiona i serce.

Podbiegła szybko do męża, objęła go mocno w pasie i przywarła do niego tak, jakby był jej ostatnią deską ratunku. Morgan pocałował ją czule i obdarzył najcenniejszym podarunkiem świata - zapłakał. Płakał bezgłośnie i bezwstydnie, a jedynie najsilniejsi mężczyźni mogą pozwolić sobie na łzy.

Nie wypowiedzieli ani słowa. Nie musieli.

Gdy wracali do domu trzymając się za ręce, wschodziło słońce.

Świtało. Zaczynał się nowy dzień. Nowe życie.

## Epilog

Na początku sierpnia pogoda była boska. Chłód morskiej bryzy łagodził upał.

Morgan i Elisabeth spędzali weekend w domku nad morzem. Jeździli tam tak często, jak mogli.

A jeśli piski radości mogą świadczyć o uczuciach, ich synek kochał to miejsce równie mocno, jak jego rodzice.

Robert Nathaniel O'Connor skończył właśnie szesnaście miesięcy. Miał zielone oczy swej matki, smagłą karnację ojca, a po wuju odziedziczył skłonność do brawury, co często przyprawiało Elisabeth o przyspieszone bicie serca.

Biegł właśnie po plaży na tłuściutkich nóżkach, a tuż za nim pędził Morgan. Gdy pochwyił synka w ramiona i przytulił do piersi, maluch wybuchnął radosnym śmiechem.

Morgan pochylił głowę, obezwładniony siłą nagłych uczuć, jakie wezbrały mu w piersi. Nigdy nawet nie marzył o takim życiu. Miał wszystko. Syna. I drugie dziecko w drodze. Może córkę? Tak, chciałby, żeby to była dziewczynka.

Pragnął wierzyć, że śmierć Nathaniela nie była daremna, bo zmieniła coś na lepsze.

A na ganku siedziała kobieta, której słodki, spokojny uśmiech zagościł na zawsze w jego sercu.

Największa miłość jego życia.

Elisabeth.

Później, w nocy, gdy już dali upust swej namiętności, Elisabeth przytuliła się mocno do męża.

- Czy wiesz - spytała, gładząc jego tors - że właśnie w tym domku zrozumiałam, że cię kocham.

- Co? - zaśmiał się serdecznie. - Dopiero wtedy?

Pociągnęła go tak mocno za włosy na piersiach, że aż syknął z bólu.

- Byłeś dla mnie okropny. Sądziłam, że mnie nienawidzisz. Przynajmniej tak się zachowywałeś.

- Nie chciałem, żebyś wiedziała, co naprawdę czuję. I byłem przekonany, że to ty mnie nienawidzisz.

- A teraz pora na twoje wyznanie - powiedziała, patrząc na niego czule. - Kiedy ty po raz pierwszy zdałeś sobie z tego sprawę?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Jeszcze przed ślubem.

- Ach ty! - Pogroziła mu żartobliwie palcem. - Mów prawdę. Kiedy to było?

Objął ją gestem posiadacza.

- Pamiętasz bal u Stephena?

Skinęła głową tak energicznie, że włosy opadły jej na twarz złocistą kaskadą i połaskotały w podbródek.

- Pocałowałeś mnie wtedy, a ten wstrętny reporter to zauważył.

Wplótł palce w jej włosy i spojrzał na nią nie kryjąc wzruszenia.

- I to wystarczyło, kochanie - powiedział, muskając delikatnie wargami jej usta. - Ten jeden skradziony pocałunek - dokończył z uśmiechem.

James

## Pierwszy raz

*Pierwszy zawód miłosny, pierwszy prawdziwy pocałunek  
pierwsze seksualne wtajemniczenie...*

*Dwudziestoletnia Elizabeth, po śmierci ojca wydziedziczona  
przez macochę, przybywa do 'Bostonu, by wyjść za mąż  
za Nathaniela, który w Londynie poprosił ją o rękę. Zostaje jednak  
tylko jego starszego brata, Morgana.*

*Wkrótce się okazuje, że narzeczony Elizabeth jest  
nicponiem i oszustem; rozpaczona dziewczyna przyjmuje więc  
oświadczyzny zakochanego w niej Morgana.*

*Czy to zawarte z rozsądku małżeństwo ma szansę na powodzenie?,  
Czy związek Elizabeth i Morgana może wypełnić  
prawdziwe uczucie i namiętność? Zwłaszcza że nagle  
na scenę znów wkracza 'Nathaniel...*

*Samantha James to jedna z najwybitniejszych reprezentantek,  
amerykańskiej literatury dla kobiet. 'Pierwszy raz  
to kolejna z jej powieści, która przez parę miesięcy utrzymywała się  
na listach bestsellerów.*



- Rozumiem - odparł przez zaciśnięte zęby. - Cóż, skoro nie zaznam przy tobie rozkoszy cielesnych, poszukam ich gdzie indziej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Pierś zafalowała jej z gniewu.

- Będę zachwycona!

Puścił ją tak nagle, że się potknęła.

- W takim razie możesz spać spokojnie - poinformował ją z nieszczerym uśmiechem. - Mam kochankę, a skoro wolisz, żebym sypiał z nią, a nie z tobą... Więc zgoda: zostaniesz tu sama, ja zaś spędzę tę noc w miłym towarzystwie.

Odwrócił się. Szybkim, niemal gwałtownym ruchem pochwycił płaszcz i wyszedł.

Elisabeth - poruszona do głębi jego gniewem - przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zamknięte przed chwilą drzwi. Czuła, że zamiast żołądka ma węzeł. W głowie wirowały jej dziesiątki pytań. Na razie była bezpieczna, ale - na jak długo? I dlaczego, doznawała tego strasznego uczucia, że to wcale nie jest koniec?

Pozostało jej tylko prosić Boga, by Morgan nie zmienił zdania.

Morgan nie wrócił do domu tej nocy.

Nie poszedł również do Isabelle.

Spacerował bez końca. O tej porze ulice były zupełnie puste. Słyszał tylko stukot własnych obcasów. Nad miastem wisiała gęsta mgła. Droga do portu nie zajęła mu wiele czasu.

Zerwał się zimny, porywisty wiatr. Morgan jednak uparcie patrzył w morze, niepomny na deszcz i chłód.

Zacisnął szczęki.

*Nie chciałam tego małżeństwa ani ciebie!*

Przez chwilę, gdy zastał ją w swoim pokoju, myślał... Ale nie. Ganił się w duchu za swoją głupotę. Przecież ona przyjechała do Bostonu, by odszukać Nathaniela. Pragnęła Nata.

*Myślałeś, że lubię, jak mnie całujesz i rzeczywiście tak było.*

*Wyobrażałam sobie po prostu, że jesteś Nathanielem, rozumiesz? Udawałam!*

Na samo wspomnienie tego szachrajstwa zawrzała w nim krew. Nie rozumiał jednak, dlaczego. W końcu on również ją okłamał. Podobnie, jak samego siebie.

Pragnął jej.

Pragnął jej od chwili, gdy zobaczył, jak stoi w jego sypialni i patrzy na niego ogromnymi oczyma, w których czaiła się niepewność. Chciał, by stała się jego własnością. W głębi serca był przekonany, że skruszyłyby w końcu jej opór ognistymi pocałunkami i pieszczotami. Na pewno w końcu by mu uległa. Choć nie od razu.

Na myśl jednak, że posiadłby dziewczynę, która marzyła o Nathanielu, poczuł, jak zalewa go fala gorczy. Nic nie mogłoby skuteczniej powstrzymać jego zapędów. Nigdy w życiu nie nastawał na żadną kobietę wbrew jej woli, a już tym bardziej nie chciał zmuszać do uległości własnej żony.

Ale pod maską obojętności krył się gniew. Morgan był zły na Elisabeth za to, że go kusiła. Żywił również urazę do brata za to, że doprowadził do takiej sytuacji. A gdy się dowiedział, że jego żona wciąż myśli o Nathanielu, zaczął gardzić samym sobą za okazaną jej słabość.

Chciał, by go pragnęła. Wiedział, że tak by się stało. Nawet teraz - wyobraziwszy sobie, że zanurza się głęboko w jej kobiece ciepło - odczuł mrowienie w łądźwiach. Pomyślał przez chwilę o Isabelle, ale natychmiast porzucił ten zamiar, choć nie kierował się wcale szczególnym poczuciem przyzwoitości. Tylu mężczyzn miało kochanki. Lecz odejście od Elisabeth do Isabelle wydało mu się po prostu niesmaczne...

Nie, nie należał do ideałów. Nie potrafił być wierny nawet sobie... szczególnie sobie. Zdecydował się na małżeństwo wcale nie po to, by chronić reputację Elisabeth. Musiał ratować siebie. A gdzieś w głębi duszy chciał odebrać Nathanielowi to, co brat zabrał jemu.

Wiatr stawał się coraz silniejszy. Morze szalało. Morgan długo patrzył w ciemność z zaciśniętymi ustami.

Koniec małżeństwa - pomyślał ponuro. Nie mówiąc już o miłości.

Elisabeth nie sypiała dobrze. Ciągłe nasłuchiwała, czy Morgan nie wraca do domu i czy nie otwiera szeroko drzwi prowadzących do jej sypialni...

Miała tak napięte nerwy, że podskakiwała na najmniejszy odgłos kroków w holu.

Wkrótce stało się oczywiste, że nie było powodów do niepokoju. Mąż wyraźnie jej unikał. Do domu przychodził bardzo